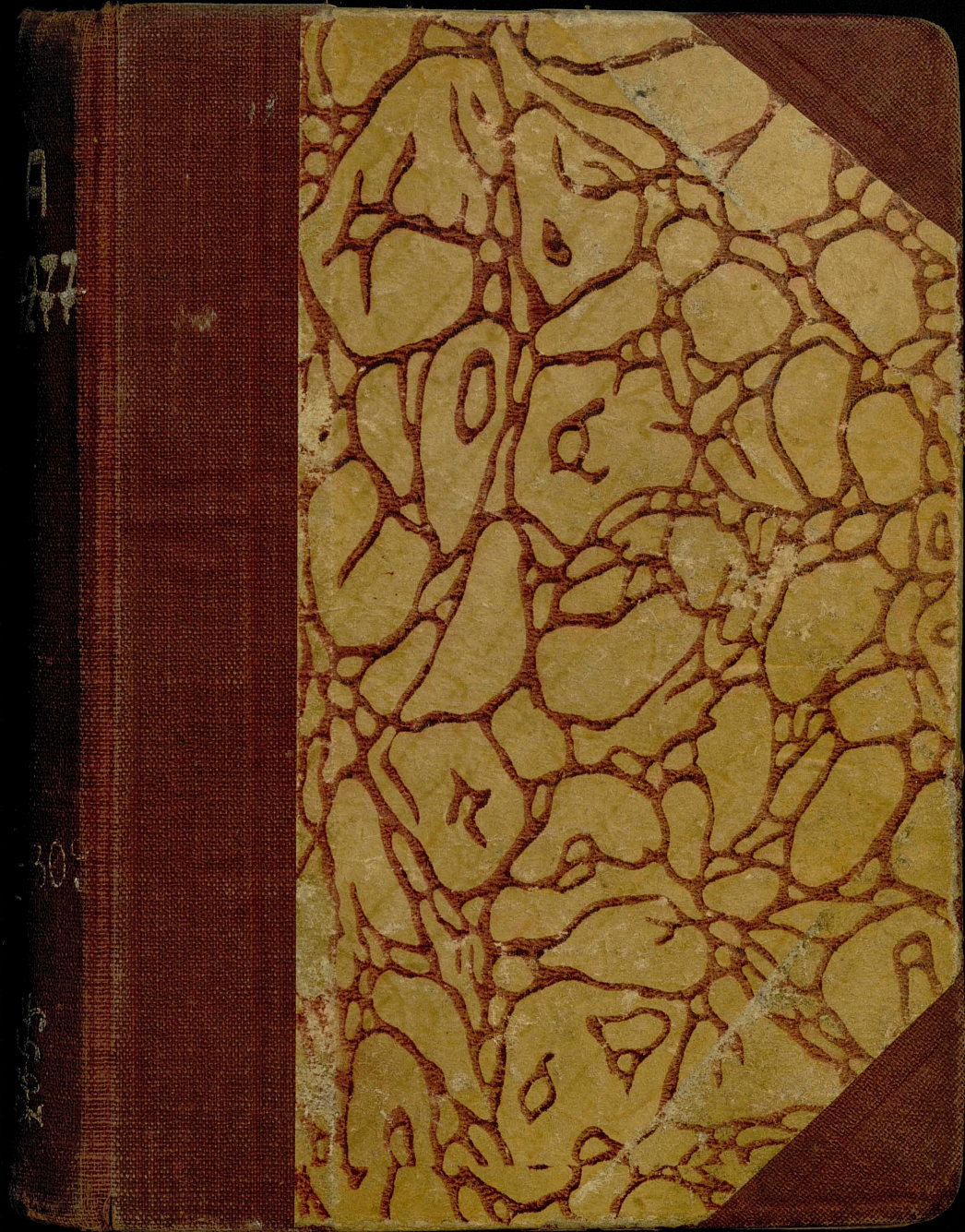
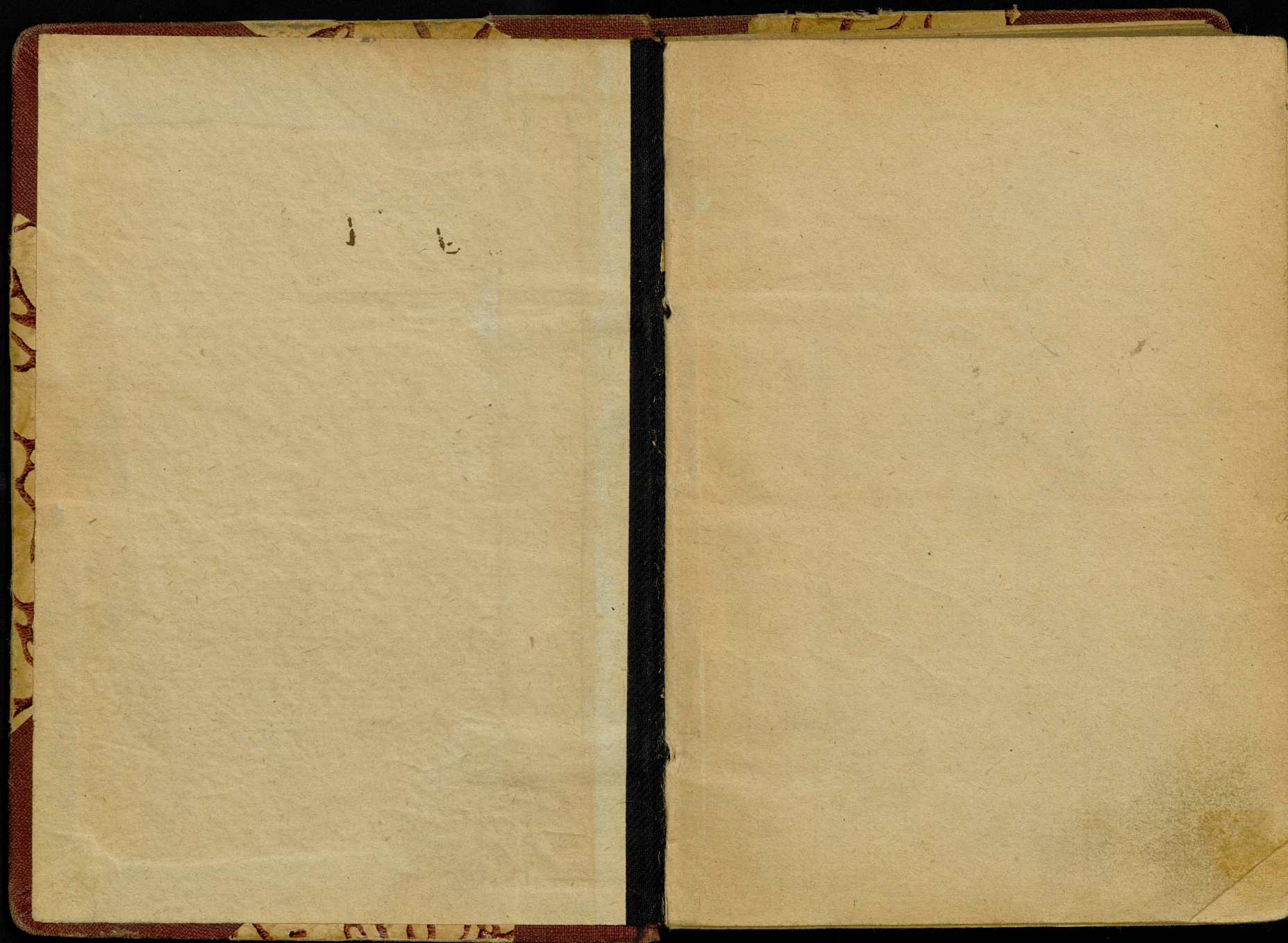






gim.

CHRCICIEL

2.



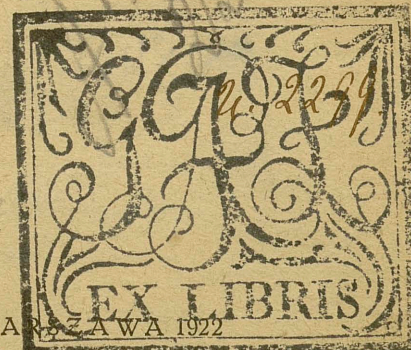
A
JADWIGA MARCINOWSKA

CHRZCICIEL

POWIEŚĆ

I-309

~~A 1277~~
~~7053~~
2655



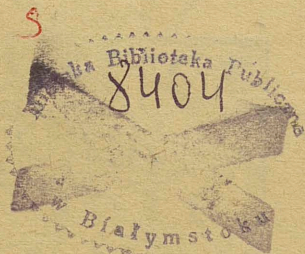
WARSZAWA 1922

SKŁAD GŁÓWNY: W INSTYTUCIE WYDAWNICZYM
»BIBLIOTEKA POLSKA«.

✓
x



13



884-322.2

Dar
20/10/15

ROZDZIAŁ I.

Wyczekiwanie.

Ben Zakkai odjął ręce od twarzy.

Przez długą chwilę siedział był z czołem w dłoniach, zatopion w dziwnym marzeniu; jak długo, nie umiałby powiedzieć. Szarawe światło świtania wkładało się już do izby pierwszemi smugami, poprzez kratę okienną wpadł na mgnienie dech wiatru i zaszałaszał płomykiem oliwnej lampy na stole.

Oczy obudzonem spojrzeniem obeszły przestrzeń wśród ścian.

Tak, przypomniał sobie: noc jeszcze była, gdy, jak się często zdarzało, gorliwością zdjęty wstał i zaświeceił lampę, by czytać. Zasię teraz mrok ranny uwidocznił przedmioty.

Spojrzenie osunęło się na zwój pisma rozłożony ku zbożnemu badaniu. Tak, powstawszy ze snu, zapragnął był powtórzyć dnia wczorajszego Haf-tarah¹⁾.

¹⁾ Ustęp z proroków czytany ludowi w dni sabatu rano, po odczytaniu ustępu z Thory.

Ale uczyniła się wtedy rzecz nadzwyczajna, może... wywołana znużeniem w niewczasach i pracy? Wzrok jakby zgoła nie widział czerniejącego na karcie pisania i prześliznął się tępy. Natomiast po krótkiej chwili wyrysował się przed patrzącym jak w powietrzu zjawiony inny ustęp, zupełnie inny, tajemnicze Izajasza świadectwo:

„Oto ja tworzę niebiosy nowe i ziemię nową, a nie będą już uprzednie w pamięci, ani przyjdą na myśl...”

I Ben Zakkai doznał przedziwnego uczucia, które zda się, wróciło doń z głębi przeżytych lat. Owładnęło tak nagle, że nie mógłby się bronić, poddał się.

Była to jakby słodka zaduma i spokojne spoglądanie w coś wielce jasnego.

Dźwignęły się odruchowo dłonie do czoła, aby uczynić zasłonę od wszelakich przeszkód zewnętrznych... Nie był jednakże sam. Obcowiała z nim przez te chwile młodość wrócona. Uczuł ją poza sobą w wyraźnej postaci. Nie weszła weń, stała blisko jako zjawy kształtem wysmukła, rozświetlona wewnętrznie tęsknym, cichym płomieniem... Patrzała nań, a on zasię pod jej spojrzeniem spoglądał w to coś ogromnie jasnego...

Zda się, jakieś bezkresne, a świetliste morze kołysało się szczęsnym oddechem. Czuł doskonale, że jest w oddechu tym szczęście...

I nie było by najmniejszego przestanku w ciągłości życia; współcześnie opadał i wznosił się rytm niezmierny, zawżdy przy znikających wstawały rosnące fale.

Myśl nie mogła nadażyć za ruchem ani objąć przestrzeni; tajemniczym sposobem przestąpiła własne granice, wylała się w bezimienną, rozradowaną bez dna świadomość...

We wstawaniu fal, w każdej fali rodził się byt i objawiał, z każdej wyglądała twarz bytu, „niebiosy i ziemia nowe...”

Opamiętał się Ben Zakkai. Ręce na kolana opadłe wyciągnęły się teraz z wyrazem nagłej grozy, cienkie wargi szeptały: „Odejdź, albo przekleństwem odegnam cię... Precz! precz!”

Trzęsącymi się ramionami wygrażał marze, widmu młodości swej. I zwątpiał smukły kształt, zgasło płomień, posłusznie odeszła zjawy.

Odetchnął i otarł pot z czoła.

Latami był w sile wieku, ale trud ciągłego ślęczenia wypił zeń krzepkość wszelką przed czasem... Na chudej twarzy kiedyś w chwili gwałtownego przełomu legło było znamień tragiczne jak pieczęć. Poglębiało się później z każdym rokiem, aczkolwiek Ben Zakkai świadomie nie toczył walki w sobie.

Opanowany był długo żalem za grzech. Za grzech, który go ongi wwiódł na początek kacerskie-

go bezdroża... I zżeran był gorliwością naprawy. Z nieskończenie pomnożonym staraniem zagłębił się w świętość Thory. I umocniwszy w niej serce zachwiane, jał się samodzielnych a usilnych prac w dziedzinie Haggady¹⁾.

Wmyślał się w każdy ustęp z Nabiiim²⁾, dający się odnieść do nastania Olam ha-ba³⁾ zaś w szczególności do przyjścia Pomazańca Pańskiego. Święty Izraela, Mosziah, syn Dawidów, był mu teraz przedmiotem tęsknot wstających z utrudzonego mózgu i krwawego serca jak wieczny krzyk... Mozolił się i dociekał z zapalczywością, w której drgała bolesna potrzeba: zadośćuczynić za winę... Zatrzeć pamięć tej chwili, gdy upragnieniem przepełniona dusza młodzieńcza nachylała się ku pokusie. Ku bezkresnemu jasnemu morzu... Ku zawrotnym przestrzeniom tajnych nauk kacerskich, niweczących w kosmicznym pojęciu osobowość syna Dawida...

Lata szły, sława rosła, zyskiwana uczonością i pilnem na przepisy święte baczeniem; rosło wewnętrzne poczucie zdobywanej zasługi. Ale pieczęć tragiczna wciąż widniała na twarzy; w cierpiącej zacietości wąskich warg leżał znak jej i wyglądał z głębin przepastnie smutnych oczu.

¹⁾ Wykładanie i objaśnianie historycznych i religijno-etycznych części zakonu.

²⁾ Prorocy.

³⁾ Świat przyszły.

Hillel Ha-Zaken przy zgonie jego, najmłodszego z uczniów swoich, wywyższył, błogosławiąc nazwaniem ojca mądrości i przewodnika przyszłych pokoleń. Tem ogromniej czuł się Ben Zakkai obowiązan i — związany. Przyjął dziedzictwo zasady mistrza: „Nie będziesz odstępował od ludu swojego ani wydzielał się zeń, albowiem jeno za częśćkę całości człowiek poczytywać się ma.“

I wtoczył w serce to, co mu ongi łopotało nad młodą głową jak ponurej przestrogi skrzydło krucze: „Dotąd pójdziesz, nie dalej...“

Dziś tak się w sobie zaciął, że umiał, nachylając się nad otchłanią Sodoth¹⁾, wyznaczyć: „Dotąd i oto dalej nie...“

Zdawało mu się, że umiał...

Drgnął ze zgrozy. Ustawicznymi mozolami wyścieńczył się był snąc nad miarę, aż dusza na chwilę w osłabionem ciele omdlała i skorzystał z momentu Mąż zły²⁾, Mąż północny³⁾...

Jakże sprawiedliwie, jak mądrze nauczał stary Hillel w swej szkole: „Nie będziesz sobie ufał do śmierci...“

Zgasił lampę, bo rozwidniło się już ostatecznie. Z czołem zbrózdżonem i spotęgowanym smutkiem w przepaściach oczu jał odczytywać Haftarah.

¹⁾ Tajemnice.

²⁾ ³⁾ Nazwy określające szatana.

Proroctwo było Ezechjelowe z dziewiętnastego rozdziału ksiąg:

„Mieszkać będą na ziemi, którą-m dał Jakóbowi słudze mojemu... W niej mieszkać będą, i synowie, i synowie synów ich aż na wieki. A Dawid sługa mój książęciem ich aż na wieki...”

„I uczynię z nimi przymierze pokoju; przymierze wieczne będzie, i ugruntuję je i rozmnożę, i dam świątynię moją w pośrodku ich na wieki.”

„I... będzie przybytek mój między nimi...”

„Poznają naródowie, żem Ja Pan poświęcający Izraela, gdy będzie świątynia moja w pośrodku ich na wieki...”

Czytał i usiłował przyłgnąć sercem do słów. Wszak tylekroć, tylekroć znajdował w nich mocną ostoję, wszakże jeszcze we dniu wczorajszym pił z nich zdroje pociechy...

Dlaczego dzisiaj niespodziewanie ból rozdziera mu łono?...

„Mowa Pańska jest prawdą pańską“, wyrzekł nagle donośnie i z wysileniem jak stwierdzając przed samym sobą, ale głos mu się wydał — obcy.

Cóż się to działo?... Targnął się rozpaczliwie uczuciem wylekłem wstecz. Przykładał miarę sądzącą do ubiegłych, skruszonych lat; nie było w nich uchybienia... W błysku przetrwał znowu dzień tamten; nie dzień, nie godzinę, jedno mgnie-

nie!... Większe od dnia i roku... Równające się żywotowi całemu...

„Słowo - światło od Ojca - światła schodzące w bezkres bytów przed wiekami, przez wieki, po wiekiistość wieków...”

„Ten-li ma być Mosziah?

Gdzie nadzieje ludu mojego? Utopione jest ufanie cierpiących w dalekościach bez nazwy, w ogromie nieogarnionym przez serce człowiecze. Zapomnian jest Izrael jak pyłek w nieskończoności pustyni, porównan ze wszystkimi jak kropla w nieprzeliczeniu mórz...”

Zarysowały się wonczas w przeciwstawieniu dwie smugi: jedna, linja świetlista, której widzisz początek, ale kresu nikt nie obaczy; druga, krawędź Syonu.

Ben Zakkai w pełni był świadom, że miłość ludu zatrzymała go na tej wtórej.

Wybrał i nie odstąpił przez lata. Powinienby dziś pożywać słuszny owoc zasługi...

„Mowa Pańska jest prawdą...” Obiecał Pan: „Przybytek mój między nimi, a będę Bogiem ich, a oni będą mi ludem...”

Świątynia moja w pośrodku ich na wieki...”

Wstał głos, nie z zewnątrz, ale z dziwnego buntu duszy: „Zaliż nie Pan i to mówi? Niebiosa i ziemia nowe, a nie będą uprzednie w pamięci ani przyjdą na myśl.”

Z żarem męki w żrenicach, ale mocno i twardo Ben Zakkai odpowiedział sam sobie:

„W okręgu niebios nowych, na ziemi nowej, Izrael będzie, Jeruzalem nowa i mieszkanie Pańskie w pośrodku na wieki...”

Ale tęsknota duszy po tylu latach nieutłumionym pociąganiem zwróciła się już była na rąbek świetlisty i poczęła wstępować w ocean.

Odegnął widmo młodości i obwarował się od działania Męża Złego. Aliści poznał teraz: nie Kusiela miał przeciw sobie, ani dawnych dni marę.

Pociągała go w przepaść własna dusza. Która w sobie jądro ma nieznaną starość albo młodość, przemiany lub zapomnienia.

Z przerażeniem zrozumiał, że tajemnicze to jądro bez jego wiedzy przebywało na tamtej stronie poprzez te wszystkie czasy pokuty, zadośćuczynienia i pracy...

Jasne morze już kołysało porwanego na nurtach wiecznych, już odnosiło od brzegu. Wtargnęła do świadomości przeogromność wód żywych, zalała niepowstrzymanym naporem. We wstawaniu fal, w każdej fali rodził się byt i objawiał, z każdej wyglądało oblicze niebios i ziemi...

Na mózg zszarpany myślami uderzył pęd zmywający wysiłków długich dzieło. Bo jeśli tam jest... prawda...? jeśli to — prawdą...?

Jarzące, nielitościwe światło wdzierało się pod powieki.

Zaiste zaliż nie w tem wypisane bezgraniczne imię El Olam¹⁾? Zaliż nie w tem jest imię Jego El-hai²⁾).

Serce, krwawem cierpieniem przyrosłe do krawędzi Syonu, natężyło się by ledz mostem na otchłani wieczystych przemian, natężyło się i nie mogło...

Uczyniła się ta najstraszniejsza chwila, w której istota człowiecza nie zdoła zginać a ginie... Ben Zakkai osunął się wszystkim ciałem na stół i ze łkaniem rozzdzierającym zapłakał:

„El Elohe Izrael!³⁾ O! El Elohe Izrael!...”

.....
Rozległo się kołatanie do drzwi ostrożne jakby nieśmiałe. Śmiertelnie zmęczonym głosem przemówił:

„Nie wchodzić! Kto jest?”

„Talmudim⁴⁾”, odpowiedziano z progu.

„Pan z wami”, wnijdźcie!”

Weszli dwaj dorodni mężowie.

Ben Zakkai już się był dźwignął i stał rękoma wsparty o krawędź stołu ze słodkim, powitalnym

¹⁾ Wiecznie trwający Bóg.

²⁾ Bóg żywy.

³⁾ Pan, Bóg Izraela.

⁴⁾ Uczniowie.

uśmiechem na bladej twarzy, po której jeszcze spływały ostatnie łzy.

— Rabbi! — rzekł jeden z przybyłych z pewnem wzruszeniem; — poznasz-że mię po latach?

— Nakdimon! — zawołał Ben Zakkai.

— Jam jest.

Rozjaśniła się twarz uczonego:

— Młodzieniaszkiem siadywałeś u moich nóg i miłowałem pilność twoją.

— I dzisiaj przystałoby mi z korzyścią sięść u twych nóg — odpowiedział z wytwornym szacunkiem Nakdimon.

Ben Zakkai uśmiechnął się życzliwie:

— Słyszeliśmy o zasługach twych w Joppie, że świeciłeś jako pochodnia nauką i przykładem...

— Usiłowałem ćwiczyć się w myśleniu o rzeczach... głębokich i świętych, alem aż potąd nie miał wszelkiej swobody. Po ojcu spadły na mnie bogactwa i sprawy pilnego żądające baczenia...

— Słowo Hillela — rzekł Ben Zakkai — było, iż nie osiągnie mądrości, kto sprawom handlu myśl swą oddaje...

— Nie nasyciło bogactwo serca mojego, Rabbi! I otom teraz młodszego brata postanowił nad wszystkim zarządcą, a sam-em tutaj, aby mieszkać wśród najbardziej uczonych i ze wspaniałości ich brać oświecenie...

— Dobrześ uczynił!... Azaż zgłębienie Thory

nie jest tą powinnością, dla której byliśmy stworzeni? Błogosławiony, kto cel ten rozumie...

Brwi mówiącego ściągnęły się przytem na chwilę wysiłkiem, który, zda się, coś wewnątrz gniotł; dokoła ust zarysował się wyraz twardy. Wnet jednakże znów uśmiech rozchylił wargi blade:

— Nie wśród Talmudim ale pośród Hakanim¹⁾ zajmiesz miejsce swe, przyjacielu!

Nakdimon rozpromienił się na te słowa. Stojąc obok siebie, tworzyli wyglądem przeciwieństwo dobite. Ben Zakkai zdawał się jeszcze bardziej smukły i wiotki. Nakdimon dorównywał mu wzrostem, ale miał bary szerokie. Na silnym karku siedziała dziwna i pyszna głowa. Ogromne, wydatne czoło wyrażało zarazem natężenie myśli szukającej uparcie i obecność głuchej ale głębokiej dumy; wszystka piękna twarz mieniła się namietnością jak przelewem rumieńców pod skórą; w wielkich oczach gorzał nie milknący niepokój, zaś ust rysunek wykazywał niespodziewanie — niepewność i chwiejność.

Drugi przybysz dotychczas nie brał był udziału w rozmowie. Odezwał się teraz, a Johanan Ben Zakkai zlekka drgnął na dźwięk tego głosu.

Bo też osobliwe było to brzmienie. Zdawało się przyplýwać z oddali. Równy, spokojny głos. Nie donośny a nalany metaliczną dźwięcznością. Pełny, a zawsze daleki. Nieosobisty, podobny do echa.

¹⁾ Mędrcy.

Mówił:

— Przyszliśmy do Cię, Rabbi, z wielkiem pytaniem.

Słowa były zwyczajne, do sławnego już mędrca często ze stron różnych zwracane, a jednak Ben Zakkai na gościa patrzył z lekką niespokojnością, której nie mógł stłumić narazie.

Zawsze tak się zdarzało, trwając oczywiście jeno przez chwilę, lecz powracając za następnem spotkaniem.

Twarz mówiącego odpowiadała osobliwości głosu. Była także — jakby daleka. Zamglenie przesłaniało jasno-błękitne oczy. W otoczeniu rudawo-złotych włosów i takież brody bardzo białe aż przezroczyste i jakby wszystkiemu obce oblicze zdawało się śnić zagadkowo lub nasłuchiwać.

Lazarus z Betanji od dłuższego już czasu, aczkolwiek dorywczo, uczęszczał do Bet Ben Zakkai¹⁾. Przychodził cicho, siadywał za innemi. Nie było w nim nic z nadętości pospolitej u ludzi bogatych, a że należał do nich, wiadano. Podobno pieniędzy nie cenił i nie umiał rządzić majątkiem; spojrzawszy nań, wierzyło się temu bez trudu.

Odzywał się rzadko i krótko, a Reb Johanan Ben Zakkai zaiste nie mógł wytłumaczyć sobie, dlaczego postać i głos tego ucznia za każdym razem wywołują w nim dziwne wrażenie. Może z przyczyny

¹⁾ Szkoła Ben Zakkai'ego, dosłownie dom.

ny, iż słuchacz ów wyglądał jak — nieobecny, a proste, zwyczajne słowa przybywały zawsze jak z dalekości i niespodziewanie.

Nakdimon podjął rzecz:

— Ben Zakkai! Nie wielu masz równych sobie w nauce i w tłumaczeniu, zaśię rozgłos powiada, że w Mahszebe Kazim¹⁾ nie dostoi ci nikt...

— Szaleńcem byłbym, wynosząc się z osiągniętej umiejętności; dla wpatrywania się w Thore byłem zrodzony — odrzekł nieco posępnie Rab²⁾.

— Wiadomości twoich z Mahszebe Kazim udziel dziś nam!

Prośba ta z ust Nakdimona wypadła nieledwie z krzykiem. Silny, barczysty człowiek drżał owładnięty jakowemś nagłem, a niecierpliwem wzruszeniem.

— Co-ć jest powodem?... — zapytał nieco zdumiony Ben Zakkai.

— Zaliż dni nasze nie zdają się być początkiem Hebele-ha-Mosziah?³⁾ Zaliż to nie są te dni?

Ben Zakkai wznosił chudą rękę i potrząsał palcami:

— Jeszcze nie całkiem — odrzekł.

Ale Nakdimon nastawał:

— Azaliż nie przyszedł na nas... lud wielki i mo-

¹⁾ Obliczenie dotyczące przyjścia Mesjasza.

²⁾ Według dawnej formy: Rab — mianownik, Rabbi — wołacz.

³⁾ Cierpienia Mesjasza.

cny, któremu podobnego nie było?¹⁾ Czy nie zasiadła Roma na piersiach synów Syonu? Nie policzyłась głów naszych w poddaństwo?²⁾ Bez królestwa jesteśmy, bez ochrony i czci. Nasyceniśmy w obfitości chlebem nieszczęścia i pocieszeni jeno w tem, jeśli koniec zwiastowan...

Ben Zakkai trząsł ręką:

— Przyjdą hufce bardziej okrutne... Skakanie ich jako grzmot wozów po górach, obecność ich jako szum ognia pożerającego słomę³⁾. I nie tylko po ziemi stąpając, ciągnąć będą; na powietrzu ujrzeni płynący jezdni i piesi...

Tu przerwał i spojrzał bystro Nakdimonowi w oczy:

— Nauczałeś, że... blisko?...

— Doświadczałem myśli swoich i radziłem się duszy... Jako mi się zdało, że mówią, mówiłem...

Był zmieszany, dotknięta duma i przyrodzona niepewność odbiły się skrzyżowaniem w wyrazie zmaczonej twarzy. Dodał:

— Ale oto widzisz, żem przyszedł by się przekonać — do Ciebie!...

Ben Zakkai skupił się i powieki w pół mu nakryły żrenice. Mówił:

— Podług Mahszebe Kazim dzieli się wszy-

¹⁾ Proroctwo Joela. Roz. 2, 2.

²⁾ Analogja do słów proroctwa Joelowego.

³⁾ Proroctwo Joelowe. Roz. 2—5.

skość ziemskiego czasu na troje: do nastania Zakonu, pod Zakonem i Królestwo Pomazańca Pańskiego. I obliczona jest w tajemnicy miara i stosunek lat. Przed nastaniem Thory dwie części jako dwa ramiona człowiecze, a władztwo Thory nad niemi panująca głowa, część trzecia... Co gdy pełni dobieży, znijdzie Mosziah — głowy korona...

Nakdimon podał się naprzód:

„Trzecia część?... Rabbi, rabbi! Zaliż się nie domierza właśnie ten czas?...

Odcień tryumfu zabrzmiał mu w głosie.

Ben Zakkai dzwignął powieki; błysnął rozżarzony wzrok czarnych oczu, przenikliwy i ześrodkowany w jednym kierunku:

— Nachyliło się ku nam przyjście króla Mosziah, aliści do zestąpienia onego potrzeba rzeczy, o których mądrość badająca wie w tajemnicy...

Nastała chwilka ciszy; Nakdimon zawisł spojrzeniem na wargach uczzonego i drżał z niepokoju. Ben Zakkai wymówił:

— Wiadomość jedna powiada, że oto przedtem wypróżnić się musi Guph, miejsce skryte, kędy w oczekiwaniu mieszkają dusze wszystkie stworzone we dni stworzenia świata... One wszystkie wnijsć muszą przedtem do ciał...

Wiadomość druga, i ja z nią wołam, zwiastuje: Niech się wprzód Izrael w całej liczbie głów swoich, od maleńkich dzieci do stuletnich starców, obróci ku

wiernemu pełnieniu Zakonu! Bowiem wybrany pański lud nasz, a Zakon przymierze, w którym, gdy się wykona, moc ogromniejsza nad zastępy Ofanim i Hajoth¹⁾...

Oczy w pośrodku twarzy dziwnie znieruchomialej płonęły jakimś szaleńczym żarem:

— Zaiste, gdyby nawet Najwyższy nie zamierzał uczynić, zniewolon będzie przez moc pełnionego Zakonu! Zaiste, nad Najwyższym samym ma władzę moc obietnic Jego w Zakonie... Izraelu, pojmij, kim-eś ty jest! Dwa doskonałe dni, Izraelu, dwa sabaty przez wszystkich lud zachowane bez żadnej skazy podolają sprowadzić Malchut Szamaim²⁾ na ziemię... Bo nie oprze się Pan obietnicy. Boć w Zakonie jest siła sprawiająca, że świat ten istnieje i że rozciągają się nad nim niebiosy!...

Głos stał się natężony i twardy, zda się, wymawianiem wyrazów nieubłagane miażdżący coś opornego:

— Wszystek Izrael i całym sercem swoim! Jeśli chociaż jeden człowiek zawiedzie, w niwecz zasługa i odwleczone znowu Malchut ha-Mosziah!³⁾

Jeśli jeden przepis opuszczon, w niwecz znów cała sprawa! Aż do najmniejszej kreski musi być wykonane! Każdą najmniejszą kreskę ma nosić

¹⁾ Najwyższe chóry anielskie.

²⁾ Królestwo niebieskie.

³⁾ Królestwo Mesjasza.

Izrael w sercu swoim... Biada! jeśli opuścim, biada, jeśli przepomnim, jeśli uchybim, biada!

O, Izraelu! wykonywuj przymierze! Aż Szaddai zmuszon będzie uczynić! Aż spojrzy na czas i na lud!...

W miarę jak mówił, twarz Nakdimona szarzała. Niepokój ocz stał się smutkiem, a usta wykrzywił wyraz gniewnego zawodu. Rzucił uczonemu porwczco:

— Pełnię przepisy, o, Rabbi, a serce we mnie schnie!

Ben Zakkai przez chwilę badał go wzrokiem.

— Strzeż się! — rzekł wreszcie — strzeż się, strzeż się...

Nakdimon zmacił się i jeszcze bardziej sposepniał:

— Nie schodzę z drogi ojców... — odpowiedział z trudnością.

Milczeli parę chwil, w końcu wyszło z ust Nakdimona:

— Imię Jego?

— Siedm rzeczy stworzonych było przed początkiem świata: Thora, Pokuta, Eden, Szeol, Merkabah¹⁾, Dom świętości i Imię Mosziah... W tajemnicy zachowane jest przed oczyma Adonai do czasu...

¹⁾ Wóz Przedwiecznego w widzeniu Ezechielowem.

— Nie może-li być, jak wykładają niektórzy, iż nie maż pojedynczy, ale wszystek lud odnowiony objawi się jako Kedesz Izrael?¹⁾

Tu ozwał się echowy głos Lazarusa:

— Rozmawialiśmy o tem we dniu wczorajszym w domu moim — do nocy...

— I cóż ty mniemasz? — zapytał z odruchowem drgnieniem Rab Ben Zakkai.

Głos przyszedł znowu echem zdaleka:

— Rzekłem, że nie...

— Słusznieś rzekł.. Korzeń Jessów, który stanie na znak narodom; jemu narodowie modlić się będą i będzie spoczynek jego w chwale²⁾)...

Różdźka z korzenia Jesse, kwiat z korzenia jego wyrośnie³⁾)...

Przyjdzie Maż...

Dnia tego Nakdimon i Lazarus wieszali w domu Arama małżonka pięknej Serafji, niegdyś wdzięcznej córki Meszullamowej, dzisiaj rozkwitłej pełnią nieco smętnej urody.

Gościnność gospodarzy wyraziła się w obfitej zastawie: garum⁴⁾), kurczęta mąką nadziane, chleb

¹⁾ Święty Izraela.

²⁾ Izajasz.

³⁾ Izajasz.

⁴⁾ Ryba w ostrej przyprawie.

najlepszego wypieku, tłuste mięsiwo baranie, czerwone wino saronkie, ciastka z rodzyneków i fig.

Serafja, zarządziwszy wszystkim, usunęła się skromnie; zaś gdy zaproszeni weszli do izby gościnnej, z maleńkim synkiem zasiadła, jak co wieczór bywało, w miejscu ochłody na dachu.

Maleńki Amandor był już gamul¹⁾) i żwawo zsunawszy się z kolan matki, bawił się na podłodze, marmrocąc coś do siebie w dziecięcym języku. Ręce Serafji przez chwilę błdziły we włosach dziecka, potem opadły na suknię, potem splotły się odruchowo w jakimś żalonym wyrazie. Myśli jej kołysały się cicho i smętnie w rytmie, którym niewiasty judzkie wspominając strapienia, głowami chwieją do wtóru łagodnemu wzdychaniu: ajaj, ajaj!...

Tępa żalność odsłaniała się na dnie serca w cichej wieczornej chwili.

Gwiazdy wyszły na niebo, mrugając z nieskończonej wyżyny tajemniczością złotych ocz, ciepły wietrzyk szeleścił, szeptał i opowiadał coś, czemu dziecko, podnosząc główkę, zdawało się przysłuchiwać od czasu do czasu. Serafja wtedy wykonywała ruch, jakby chcąc się do maleńkiego nachylić i zastęgała znowu w zadumie.

Mrok czerniał. Ze wpółotwartych drzwi izby gościnnej wypływało światło lamp żółte i migotliwe. Dobiegały też głosy.

¹⁾ Dziecko odłączone od piersi.

U wieczerzy za stołem prócz Nakdimona, Lazarusza i gospodarza zasiedli jeszcze dwaj, Natanael i Charinus. Wszystkich łączyła znajomość z dawnych lat, niektórych i pokrewieństwa związku.

Jedząc, mówili mało, ale gdy spożyto potrawy, rozmowa się ożywiła. W żółtawym, chwiejnym blasku rysowały się twarze ciemno-brodawe z wybitnymi liniami nosów i czoł i z jakimś stałym napięciem wyrazu. Jeden Lazarus odróżniał się złotawą barwą zarostu i obcością zapatrzonego kędyś oblicza.

Natanael opowiadał o Antypasie Herodzie; jako mieszkaniec Galilei miał o nim wiadomości dokładne.

— Czy wielce znienawidzon? — spytał Nakdimon.

— Aż potąd nie był. Lubuje się w budownictwie pysznem, jak ojciec czynił i pogańskie wznosi ozdoby, ale krzywd złośliwych nie doświadczone odeń i zgoda lud mu wdzięcznie za dobro poczytał odbudowę spalonej przed 9-ciu laty Seforis.

Ale oto nynie umyślił założyć miasto nowe. Na południowo-zachodnim brzegu wielkiego jeziora upodobał miejsce w pobliżu ciepłych źródeł. Owóż na miejscu onem znalezione są groby z dawnego czasu...

— Cóż tedy począł? — zawołali chórem słuchacze.

— Budować rozkazał na grobiech...

Zabrzmiął krzyk obrzydzenia i zgrozy¹⁾. Opowiadaający był dość spokojny i Lazarus według zwyczaju swego obcy i cichy, ale inni poprostu drżeli z gniewnego wstrętu, szczególnie Nakdimon i Aram.

— Zaliżem nie wygłaszał, iż dzieją się za dni naszych okropności, jakich nie było... Nie wygłaszałem, co jest?... — I tu Nakdimona wzburzone oblicze zwróciło się do męża z Betanji.

— Dzieją się... — odrzekł Lazarus echowo.

— Dosięgnie kara! — wymówił Aram. — Zginie Antypas jako już zginął Archelaus wygnany! Wymarnieje to plemię zbrodnicze.

— Oznajmiłem wam, jakie rzeczy są w Galilei, oznajmcież wy mi teraz, co tutaj... — rzekł Natanael.

Charinus odpowiedział:

— Posępnie jest... Kennaim²⁾ przytarci ale po cichu żar niecą wśród co młodszych Peruszim³⁾. Zasię obelżywość wyrządzona wszemu ludowi, aż potąd trwa...

— Arcykapłańskie szaty na myśli masz?

— Zaiste tak...

— Na pohańbienie Domu Pańskiego, dorzucił

¹⁾ Dotknięcie do zwłok lub grobu czyniło nieczystym na 7 dni, cóż dopiero mieszkanie na cmentarzysku.

²⁾ Gorliwi (zeloci) których pierwsze wystąpienie przeciw Rzymowi podczas spisu ludności w 6 roku ery naszej.

³⁾ Faryzeusze.

Aram, pod zamknięciem przez Goim w Antonji¹⁾ chowane, a czterykroć do roku we święta wydawa one poganin jak użyczaną rzecz!

Umilkli wszyscy, poczem Lazarus odezwał się nagle swoim dalekim głosem:

— Kupi się zło wielkie i małe, dojrzewa wszelkie zło...

Nakdimon ujął głowę w obiedwie dłonie i zakłosał nią żałośliwie.

— Nie napiło się serce me z uczoności Rab Johana! Przysychał język do podniebienia, gdy szedłem i nie odwilżone gardło, gdy wracam... Zdrój słów uczonych wsączył się w ucho moje, ale spieczona i smętna jest dusza... Nierozwigniona droga moja przede mną...

Natanael położył mu dłoń na barkach i nachyliwszy się nad nim, jął szeptać coś bardzo cicho. Ale plecy Nakdimonowe przebiegł gwałtowny dreszcz, a twarz dźwigniona z osłony rąk wyrażała większe niż kiedykolwiek zmaczenie:

— O, nie! — zawołał. — Wiesz, że stawilem już pierwszy krok... i nie! nie!

— Gdyby stary Symeon żył jeszcze, tenby-ć wszystko rozwidnił i wprowadził cię z bezpieczeńścią... — rzekł Natanael.

— O ojcu moim wspominiacie? — powiedział

¹⁾ Twierdza przytykająca z północy do świątyni. Nazwana tak przez Heroda, który ją odbudował.

Charinus. — Wiecież, co mu się przydarzyło ma-luczko przed zgonem?

Zwrócili się doń uważnie. Oczekiwanie pełne czci i przejęcia odbiło się we wszystkich spojrzeniach. A twarz Charinusa poczęła nabierać niezwy-czajnego wyrazu; był to jakby odbłask przeogromnego zdumienia i wrażenia rzeczy przeżytych, a które znów powstawały.

— Po leciech dziwno mi jak i wtedy... wyrzekł powoli. Poczem jął opowiadać:

— Opadał z sił i znać było, że miara dni jego pełna po brzeg. Ale nas, którzyśmy doń przychodzili, jeszcze nauczał z dobrocią... Ja osobiwie, przypomniawszy synowskie swe prawo, trwałem przy nim, jak mogłem i syciłem się, jakem mógł, jego wiedzą.

Owóz w dniu, w którym zasnął, jeszcze się był rankiem wydalil z domostwa, zasię wróciwszy, oznajmił: Odejdę dziś. I pozostawał w milczeniu z przymknionemi oczyma.

Ale serce moje trawiło jedno wielkie pragnienie i bałem się, że odejdzie, nie objaśniwszy tego...

Przeto ku wieczorowi, przystąpiwszy, prosiłem: Ojcze! poucz! Może-li myśl człowiecza wyrozumieć czas kiedy Memrah¹⁾, które jest Hokmah²⁾, wyja-wiło się w Nieskończonem Łonie?...

¹⁾ Słowo (Logos).

²⁾ Mądrość.

Nie otwierając oczu swych, odpowiedział:

— Objawiła się myśl, w której Wszystkość...
Jako pismo wyraża: Ha-Szamaim wa'et Haare¹⁾.
Natenczas zstąpiło Memra²⁾, a pismo mówi: Wajomer³⁾...

Zstąpiło, aby zasię obudzić światło... Wajomer
Elohim: Jehi aor, wa' jehi aor³⁾...

Pomnij, synu! jeno gdy posiedziesz uczucie,
żeś żyw przez tysiące lat, gdy wyrównasz tysiącom
lat, wyrozumieć zdołasz z... tego cząsteczkę jako
kropelkę w morzu...

Nagle otworzył oczy i spojrzał na mię, a wtedy
poznałem, że oblicze jego było zmienione, jak bywa
u człowieka, któremu się stała zdumiewająca rzecz.
Wyszeptał.

— A wszelako dzieciątko drobne miałem na
rękach swych, małego dzieciątka dotykały dziś
ręce moje...

— Ojcie, rzekłem, zgola nie pojme, jaki to zwią-
zek pomiędzy tamtymi, a temi słowy...

— Ani ja sam... wymówił.

Napełnionym jest świetlistością zdumienia, któ-
rego nie wytrzymują zmysły człowiecze. Tajemnica
przeszyła członki me, że rozwiązać się muszą...
Pryska naczynie znikome, które pomieścić nie zdoła...

¹⁾ Niebios a i Ziemia-Genesis I/1.

²⁾ Rzekł (rzekł Bóg itd.) Genesis I/3.

³⁾ Rzekł Bóg: niech się stanie światło i stało się światło.

Nie odezwał się już ani jednym wyrazem i za-
snął maluczko po tej godzinie.

Z tajemniczości, która podówczas w nim była,
upadł na mię jak odbłask i aż dotąd, gdy wspomnę,
czuję...

Słuchacze milczeli chwilę pod widocznem wra-
żeniem.

— Skoro-ć on nie podolał, tembardziej my... —
rzekł Nakdimon posepnie.

Natanael zapytał półgłosem:

— Czyjeż było to dziecię?

— Nie wiem — odpowiedział Charinus.

Ozwał się Aram:

— Słyszeliśmy swego czasu, że sędziwemu Za-
charjaszowi Ben Abia małżonka, długo niepłodna,
powiła syna i że Znak Pański widniał w owem zda-
rzeniu...

— Zaiste tak! — rzekł Charinus — zaiste tak!
Miłowałem Zacharjasza Ben Abia i gościłem w do-
mostwie jego... Narodził się syn nie mającym już
żadnej nadziei.

Zacharjasz zmarł, chłopiec pewnie pod opieką
krewnych się chowa, zasię według lat już być musi
Elem¹⁾ albo i Naar²⁾... Miłowałem rodzica, godzi mi
się zatroszczyć o syna, co uczynić myślę bez
zwłoki...

¹⁾ Podrostek.

²⁾ Młodzieniec.

Wybrawszy się do miasteczka górskiego, Charinus znalazł w figowym sadzie bujność zielska rosnącego samopas, a drzwi domostwa zamknięte. Na kołatanie ozwało się jeno w kamiennych izbach echo.

Przechodzień objaśnił, że gospodarstwo zmarli oboje, a zaś nieletni sierota wkrótce potem zniknął bez wieści...

ROZDZIAŁ II.

Na łonie puszczy.

Słońce ucałowało nagie ramiona i położyło się długim promieniem na piersi odkrytej.

Chłopiec spał na głazie równym jak płyta i wystającym z łagodnej tu pochyłości góry. Powyżej stok podnosił się bardziej ostro i rosnąca przy stromej ścianie kępa drzew pięknego karubu zdawała się zatrzymana w śmiałym pochodzie. Przystanawszy, poważne drzewa szumiały gęstym liściem.

Nieco opodał, od śpiącego na lewo, wzgórze cofało się nagle znacznem wgłębieniem, wytwarzając niewielką przestrzeń otwartą między dwiema ścianami. Mroczny otwór pieczary widniał we wnętrzu załomu, zaś na otwartym miejscu świeciła sadzawka precudna, oddychająca lekkim chłodem głębokiej wody, do cennego szmaragdu podobna z zielonkawej barwy, z połysku, z migotania iskrami złota...

Czepiające się po urwisku pojedyncze karuby

i figi rzucały na nią swój cień fantastyczny: miłosny, zmienny cień.

Dźwignął się chłopiec i siadając, oczy przecierał jeszcze nawpół dziecinnym ruchem.

Zaspał dzisiaj. Zazwyczaj o szarawem świtanu, gdy gwiazdy bladły, budziła go matka dotknięciem... Pamiętał matkę na marach, owiniętą w odzież i chusty białe; pamiętał jako mu rozkazano z przodku szatę rozedrzeć na szerokość dłoni ku oznaczeniu żałoby. Potem szedł jako onen¹⁾ za marami przez miasto i szła współcześnie z nim ciżba ludu, zaśię poprzedzali wszystkich grajkowie fletniści, oraz płaczkowie i płaczki z okrzykiem żałobnym: Hoi achot!²⁾ Widział, jak położono zwłoki w wykutym grobie... Po powrocie dano mu jadło: okrągły chleb, jaja gotowane na twardo i soczewicę, wszystko w kształcie kulistym ku podobieństwu życia ludzkiego, które tocząc się, stacza w śmierć...

Następnie przez siedm dni jako awel³⁾ boso siedywał na podłodze i dziecięcemi oczyma w milczeniu spoglądał na statki poobalane wzdłuż szarych ścian⁴⁾. Dnia ósmego przed świtem, nic nikomu nie mówiąc i przez nikogo niedostrzeżony, wyszedł z domostwa i z miasta.

¹⁾ Żałobnik w dniu pogrzebu.

²⁾ Achot — siostra. Hoi! — wykrzyknik.

³⁾ Żałobnik w okresie po pogrzebie.

⁴⁾ Obalano stołki na znak, że się ich nie godziło używać przez ten czas.

Ani jedno z tych zdarzeń przeżytych nie zatarło się w świeżej pamięci, a przecież nie przeszkadzało mu to bynajmniej do wiedzy, że matka obcuje z nim tutaj na puszczy... Na zaraniu przychodziła budzić go ze snu. Niejednokrotnie bywała przy nim w jarzącym blasku i uciszeniu południa, kiedy z niebios zlewa się potop złoty, a ziemia milczy oniemiała w miłosnym żarze. Chronił się wtedy w cieniu pieczary, zaśię ona stawała w smudze promiennej na progu, mając za sobą migotliwość szmaragdowych wód sadzaweczki ukochanej przez drzewa.

A nieodmiennie nawiedzała go przed wieczorem w niewymownej godzinie, gdy świat wszystek почина napływać tajemniczością bezdenne go spokoju, a zbladłe niebo rozciąga się kryształową zadumą ku przyjściu pierwszych gwiazd...

O tej to porze codziennie nastawały dlań dziwne rzeczy... A matka zawsze zwiastowała mu, że już czas...

Wstał powoli; nie schodząc z głazu, ogarnął wzrokiem wieniec wzgórz porośniętych drzewami.

Gleba tu była spodem skalista, o czym świadczyły gdzieniegdzie sterczące kamienie, lecz urodzajna warstwa powierzchni miłośnie sprzyjała życiu.

Drzewa siedziały nie gęsto, ale natomiast dostatnio rozpościerały konary. Rósł drobnolistny, a barkami potężny dąb, weselił się w świetle karub,

lekko szumiała figa. W odstępach pomiędzy niemi na niskiej murawie krzyżowało słońce ścieżki promienne, a mnóstwo nieprzeliczone kwiatków czerwonych i białych zasypywało kobierzec zielony. Ta puszcza górską zdawała się raczej być cichym sadem przez miłującą rękę sadzonym dla milczącego szczęścia serca i ócz.

Chłopiec wyprostował swą smukłą postać, zarysowała się na jasnym tle dziennym silna już, zbudowana wybornie z piersią szeroką. Zbyt krótki „k التونet“, mocno zniszczony, osłaniał ją zaledwo częściowo.

Stojąco i obróciwszy twarz w kierunku północno-wschodnim ku świętej Jerozolimie, począł wygłaszać powoli i uroczyście, jako ongi był nauczony, słowa najcenniejszej spuścizny: „Sz-ma Izrael¹⁾“...

Ale oto wypowiedziawszy zwrotkę drugą i trzecią:

„Będiesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i z wszystkiej dusze twojej i ze wszystkiej siły twej...”

„I będą te słowa, które Ja dziś przykazuję tobie, w sercu twem...” — umilkł nagle.

Nie doszedł do ustępów dalszych mówiących:

„I będziesz o nich powiadał synom swym...”

¹⁾ Słuchaj, Izraelu.

„Przywiążesz je jako znak do ręki swej i ruszać się będą między oczyma twemi...”

„Napiszesz je na podwojach i na drzwiach domu swego...”

Nie doszedł do szeregu obietnic wzamian za posłuszeństwo rozkazaniu Bożemu. Do obietnic „deszczów wczesnych i późnych, abyście zbierali zboże, i wino, i oliwę...” Do szeregu zakończonych słowami: „Aby się rozmnożyły dni twoje i synów twych w ziemi, którą przysiągł Pan ojcom twym, aby dał im, dopóki niebo wisi nad ziemią...”

Osunął się na kamień i tak siedział przez chwilę z niedokończoną formułą na ustach rozchyłonych jeszcze ku mowie. Po raz pierwszy zaiste wydarzyło mu się coś podobnego. Codziennie o poranku i w wieczór święte Sz-ma wypowiadał i oczywiście aż po ostatnie wyrazy. Dzisiaj było mu jakby znagła jakaś dłoń ogarnęła go, oddzielając od wszystkiego, cokolwiek się wiąże z urodzajami zboża, oliwy i wina, z rozmnożeniem się dni i mieszkaniem synów na ziemi ojcom nadanej. Wypisane w pamięci słowa za pierwszym dźwiękiem: „Sz-ma” wywoływały kolej obrazów i od tych to właśnie dłoń niewidzialna odgarnęła go, jakby wyjmując z okręgu rzeczy. Zaniemialo brzmienie na wargach, maluczko jeszcze drżało na nich niedostłyszalnie i zastygło urwane. Zbladły i zagasły obrazy, zachodząc mgłą oddalenia. Był ostawion wyodrębniony, jakoby sam najzu-

pełniej w przestworzu z włożonem w pierś przykazaniem, które wygłosić zdążył nim go odcięto od reszty świata: „Będiesz miłował Pana Boga swego...” A jednakże... bosc nogi tonęły w puszystej trawie, opartemi rękami odczuwał nagrzanie kamienia, a przed oczyma jego roztaczał się jak uprzednio półkrąg kwiecistych i leśnych wzgórz...

Po pewnym czasie podniósł się i z zamyśleniem surowem na bardzo młodej twarzy, poszedł w stronę pieczary.

Zsunął się zręcznie po krawędzi stromej, a szmaragd sadzawki zamigotał doń miłościwie na przywitanie.

W pieczarze miewał zapas suszonych straków karubu. Głód mu się przypomniał, boć już dość późno było, sięgnął przeto po garść owocu, lecz miejsce puste było. Zwierzę jakieś widocznie zakradło się tu, myszkując i rozrzuciło lub zjadło.

Chłopiec wyszedł na światło dzienne i przez chwilę wyraz niemal dziecinnej żalości odbił mu się na smagłym obliczu. Głodny był. Rozejrzał się powoli. Pomyślał o miodzie pszczoł leśnych, których liczny rój zauważył we dniu wczorajszym stąd niedaleko. Siedziały w skalnej szczelinie. Począł pisać się na zbocze.

Wtem u dołu na nikłej ścieżce wśród trawy pod cieniem tamarynd i fig zarysowała się drobna postać niewieścia.

— Omenet!¹⁾ — krzyknął chłopiec radośnie.

— Jam jest — odpowiedział głos cienki, dyszący ze zmęczenia. Kobieta dźwigała na głowie dość spory kosz naładowany. Wyrostek zbiegł teraz szybko i dopomógł jej do wniesienia ciężaru na brzeg sadzawki. Usiedli oboje na skraju zielonej świecącej wody w miłym chłodzie. Niewiasta dobywała zapasy.

Patrzył z zadowoleniem: — Dobra jesteś! — oświadczył z radością głodnego dziecka.

— Mogłażbym o tobie zapomnieć? — odpowiedziała. — Pierś, która cię wykarmiła, odgaduje, gdy łakniesz, synu... — Położyła przed nim chleb cienki, nieco zimnego mięsiwa i słodkie ciasto figowe.

— Uboga jestem, ale co przedniejszego potrafię zawsze wykołatać i przechować dla ciebie...

Spoglądała z upodobaniem, gdy jadł. Niebawem jednak poczęła żałośliwie kołysać głową: — Aiaj! aiaj! Miałbyś przecież w domu do sytości wszystkiego, nie jako dziś dopadkami... Dziecko! dziecko! długoż-li będzie onego przemieszkiwania w ukryciu, długo utrapień i niewygody?... Po co?

Przestał pożywać i podniósł na nią wzrok niespokojny: — Nie zauważył kto, gdyś szła tutaj? — spytał prawie surowo.

— Wystrzegam się, jakeś kazał, synu! Nie wi-

¹⁾ Mamka.

dzi mnie chyba ni kt... Okreżnemi wymykam się ulicami... Aliści długoż to tak?...

— Może niedługo... — odpowiedział z namysłem. — Może już niebawem, omenet, przestanę nawet dorywczo korzystać z troskliwej twojej pieczy...

— Dokąd chcesz się udać? — spytała z lękiem.

— Nie wiem... — odrzekł. Zadumane oczy patrzyły przed się z wyrazem skupionego oczekiwania. Nie wiedział jeszcze, ale pewien był, że już wkrótce stanie się coś, co obwieści mu rzecz i ukaże.

Od paru minut przyglądał się onym dwojgu niedostrzeżony przybysz, człek w średnim wieku. Stał za załomem skalnym, mając nieledwie całą postać ukrytą; życzliwość i ciekawość przebijały zarówno w spojrzeniu łagodnych oczu.

Po dłuższej chwili wysunął się naprzód i tuż nad głową chłopca zabrzmiało niegłośne pytanie:

— Tyś-li jest Johanan Ben Zacharia?

Wyrostek drgnął zaskoczony niespodziewanie i zanim zdołał coś odpowiedzieć, wzrok jego padł z wyrzutem na twarz kobiety.

— Nie zdradziłam, synu! — zawołała omenet; — nie! nie!

— Prawdę mówi — rzekł nieznajomy; — nie wiedziała, żem szedł za jej śladem.

Na imię mi Natanael, a rodem jestem z Kany...

— Jeden z koła przyjaciół moich, Charinus, znał

i miłował Zacharię Ben Abia, kapłana, ojca twego. I myśmy, wielu z nas, swego czasu słyszeli, jako w podeszłych latach rodziców udarował cię Pan żywotem... Czasy nynie są osobliwe, przypomnieliśmy ten wypadek... Charinus wybrał się do domu ojca twojego, a zastawszy je pustem, usłyszał w mieście opowieść o tem, iż się zagnęła oddalił i żeś może gdzie zmarł...

Zapraгнаłem się tedy przekonać...

— Dlaczego? — przerwał mu chłopiec surowo.

Oczy Natanaela spojrzały z rozmarzeniem pełnem tęsknoty.

— Czasy są osobliwe... — powtórzył. I ciągnął dalej. — Dopytywałem się w mieście; długo napróżno... Wskazano mi w końcu na tę niewiastę, dawną omenet dziecka Zacharii i Elizeby... Powiedziano, iż się niekiedy wydała niewiadomo dokąd i poco. Dziś postarałem się ostrożnie pójść za jej śladem...

Umilkł i z ciekawością badał smagłe oblicze chłopaka. Omenet zatroskana pozbierała zapasy i ułożywszy je w zawiniątko, wniosła do wnętrza pieczary. Późem w oddaleniu usiadła, nadczekując wyniku nagłych odwiedzin i niespokojnie, a pokornie wodząc oczyma.

Natanael zajął miejsce przy chłopcu.

— Odpowiesz mi na pytanie? — zagadnął.

— Pytaj...

— Gwoli czemuś przyszedł tutaj i na co?

W tej chwili przed duszą chłopca stało nagłe uświadomienie faktu, który zda się w niej drzemał długo. Było to, jakby się pamięć otwarła, wydając z siebie świadectwo jak dotykalny kształt żywy. Ujrzał znowu ten ranek wczesny i cichy... Tak, wszakże matka wtedy szła przed nim, wywiodła z domu i prowadziła aż tutaj... Nosił w sobie poczucie przeżożnego powodu; objawiło mu się teraz, iż była to ona. Jej przewodnictwo, jej dłoń...

Zamyślił się głęboko.

— Gwoli czemu? — powtórzył przybysz łagodnie.

Tać nie miał zamiaru, ale i wypowiedziećby nie mógł, albowiem nie wyraziłaby się rzecz ta słowami. Więc jeno odrzekł z nadzwyczajną powagą:

— Musiałem.

Od tej powagi moc jakaś uderzyła Natanaela, tak, iż zdumiawszy się, nie nalegał. Zauważył tylko po chwili:

— Młodyś jest, a młodemu pożytecznie być pod kierunkiem ludzi świadomych i mądrych, aby się znać sposobił do życia... Młody uczyć się musi...

— Uczę się — odrzekł chłopiec.

Natanael rzucił okiem naokół:

— Tutaj?

— Tak.

Tamaryndy, karuby i figi szumiały liściem za-

sobnym, słońce sypało roztrzęsieniem snopków promiennych, miłośnie uśmiechał się cichy sad.

— Dziwno mi... — rzekł Natanael półgłosem.

Rzecz usłyszana wydała się całkiem opaczna, lecz jednocześnie położył mu się na sercu jak pocałunek czaru.

— Kto cię uczy?

Ale chłopiec przytknął palec do warg czerwonych.

— Nie jestżeś ciekaw wieści i mądrości ze świata?

Chłopiec pomyślał chwilkę: — Skoroż się tutaj przedostał i pokąd mi widzisz, mów...

— Nie obaczę-ż cię, przyszedłszy raz drugi?

— Nie wiem... Aliści w każdym razie nie wołaj na mnie imieniem Johanan Ben Zacharia, bo nie odpowiem już na to imię...

— Nie zdarzyło mi się oglądać podobnego tobie wyrostka... — zauważył Natanael pocichu. Jeszcze powiódł w okrag oczyma: — Nie cięży-ć że tu samotność i niedostatek w pustkowiu?

— Nie.

— Radbym cię tu nawiedzał i kładł ci w ucho, co sam posiadałem... Bowiem dziwne są czasy i z ciebie dziwne pachole...

— Będę cię słuchał dzisiaj — zawyrokował chłopiec spokojnie.

Więc Natanael począł najpierw krótkimi słowy

kreślić stan rzeczy w Izraelu, wszystką posępnosć i wszystką niedolę.

— To mi nie obce... — rzekł słuchacz w odpowiedzi.

— Jakto?

— Czuję... Przychodzi i zda się, napelniając żyły, obcuje ze mną...

Natanael podniósł obie ręce ruchem zdumienia:

— Dziecię! — wymówił — dziecię! gdybyś się ty było urodziło w Betleem... Ale wiemy, że przyszedłeś na świat tu w górskim mieście...

Urwał, po chwili zaczął z innym wyrazem:

— A świadom-żeś ty, że jednakże danem będzie Izraelowi według słów tych: Ona, która chromała, uczynię narodem mocnym i będzie królowała Pan nad wszystkimi na górze Syon odtąd i aż na wieki¹⁾... Przez Izraela rozszerzy się Królestwo Pańskie na wszystek świat! Ojcowie nasi wiedzieli się być nasieniem wybranem, aliści my w zupełności dziś pojmujemy dla jakiego siewu. Bo nie jeno sam Izrael ma chwalić Pana Zastępów po koniec dni, ale w Izraelu, przez Izraela wychwalił go wszystek świat... Izrael przywiedzie wszystkich do Pańskiej chwały...

Mówił głosem wzruszonym. To jego nauczanie nie zyskałoby pewnie pochwały przodujących Peruszim w Jerozolimie i może ściągłoby podejrzenie: Amhaarez albo Min!²⁾ Lecz Natanael pochodził

¹⁾ Micheasz IV/7.

²⁾ Am-haarez — prostak, człowiek nieuczony. Min — heretyk.

z Galilei oswojonej z żywiołem heleńskim i bardziej wydanej na ożywcze i twórcze wpływy z Diaspory¹⁾. Idea braterstwa ludzkiego i posłannictwa synów Izraelowych przeniknęła do jego pojęć głęboko. Duch wytworzony w Diasporze nie rozwałił ram uświęconych Zakonu, lecz rozszerzyć je pragnął, by ogarnęły ziemię. I nie wyrzekał się przywilejów ni przodownictwa wybranego narodu; pod Izraelskim znakiem i jeno przez Thorę ukazywał drogę zbawienia, Syonowi zachowywał naczelne miejsce nad światem, lecz z drugiej strony wszystek świat doprowadzić pożądał do błogosławieństw Syonu. Był to zarazem duch wysokich narodowych ambicji i prozelityzmu wykarmionego pierwszym poczuciem wszechbraterstwa ludzkiego.

Omenet, siedząc zdala, przez dłuższy czas spojrzeniem badała twarz wychowanka, wreszcie śnać przekonawszy się, iż mu nic niemiłego nie grozi i zważywszy, że jest późna godzina, wzięła koszyk swój wypróżniony i oddaliła się cicho.

Natanael z przestankami przemawiał; w pewnej chwili zniżył głos, jakby pod uroczystem wrażeniem:

— Są, prawie szeptał, rzeczy tajemne, udzielane godnym po długiej próbie. Są ukazania... Życzę ci, abys kiedyś uznanym był za godnego... Ale, o bracie! którzy po za obrębem świętej Thory byli zrodzeni,

¹⁾ Rozproszenie, osady żydowskie poza Palestyną.

aczkolwiek wielce mądrzy, mylą się, przypuszczając, że zewsząd widać to samo i tyle samo. Wydawa im się wszystek świat równy, ale Izrael wszelako jest na tym świecie wzgórzem... Na wzgórzu wstąpić potrzeba... Szacuję wielce tych, którzy mnie pouczyli, od których odrobinę swą wzięłem i którzy tajemnic mają więcej, niżbym przypuścić zdołał, ja mały... Powiadam ci, szeptał głosem przejętym, znają rzeczy niewiadome najślawniejszym Sofe-rim¹⁾... A jednakże wzdycha serce moje do chwili, gdy się objawi wielkość ludu świętego...

Bowiem czuje serce moje sprawy nierozwikłane... i wygląda godziny, kiedy mądrość wszelka wstąpi na święte wzgórze... A czasy zdają się być brzemienne i bliskie już...

Mówię ci, żeś jest młody, a z urodzenia i statku wczesnego może powołan do zacnych czynów... Mówię ci, abyś potem w samotności tem karmił duszę...

Chłopiec powiódł ręką dokoła: — Co rzekłeś stoi tutaj pierścieniem. I czeka... Oraz wiele innych rzeczy jest czekających wkrąg. Spozierają na duszę moją, a ona patrzy w nie... Ale karmi się sama z siebie...

Natanael nie znalazł odpowiedzi. Powstał powoli, ile że się dzień już nachylać począł, a droga powrotna była dosyć daleka:

— Pan niech będzie z tobą, młodzieńcze!... Odchodzę. Żądałbym widzieć cię znów... Pommij, jeśli

¹⁾ Uczni,

wynijdziesz z pustkowia i zapagniesz pomocy, przyjaźni lub rady, daj mi znać...

Wieczór nadciągał. Jeszcze ukośne słońca promienie leżały na czołach drzew, ale z pomiędzy krzewów przyziemnych i z łona kornej ale świadomej murawy dobyło się już senne, spragnione odpoczynku westchnienie.

Potem niebo ociekło z ostatków barwy purpurowej i złotej, wykryształilo się srebrno-białem przezroczem. Oddech wzniósł się na skrzydłach wiatru lekkiego, zaszeleścił bogatemi kitami puszczy, przeleciał aż do skrajów i zgasł. Uczyniła się niezgłębiona cisza.

Mrok bez szelestu nadbiegał pośpiesznym, wielkim krokiem. Żywiące duchy drzew wyniknęły ze splotów podglebnych korzeni, z miąższu i soków pod korą, fantastycznym, widmowym kształtem ogarniając konary. Zbiorowy duch niemych rzeczy rozpostarł się na powietrzu, przepastnemi oczyma wyglądając nadejścia pierwszej z gwiazd. Wyszła gwiazda z niedocieczonych tajemnic ciemnej kopuły, zaiskrzyła się po królewsku, zagadkowością złotego mrugnięcia zajrzała duchowi w przepaści ócz...

Postać Elizeby stała przed synem.

Chłopiec osunął się z swego miejsca, padł pierśią na miękkie trawy zroszone, przylgnął czołem do ziemi. Wszystką jego istotą wstrząsnęło niewysłowione poczucie objawiającej się Boskiej Mocy.

Zdarzało się tak prawie zawsze; kształt matki rysował się jeno na mgnienie, rozwiązując mu duszę do pełnej chwili.

Od najwcześniejszych lat znajdowała się owa dusza jakby pod osobliwszem tchnieniem potęgi Adonai. Dziecko żydowskie wychowywane było w „czci i bojaźni Pańskiej“, ale tu zachodziło jeszcze coś odrębnego, nie mającego swych przyczyn we wpływie domu. Dusza zaledwo najpierwszej głuchej świadomości dosięgła, uczuła się sama przez się w obecności potęgi. Wypełniało to maluczką pierś Johanana i na dziecięce drobne oblicze kładło wyraz dziwnego skupienia i przedwczesnej niemal surowej zadumy.

Uczucie wzmogło się jeszcze, odkąd podrósłszy, zamieszkał w pustkowiu. Nie było bojaźnią, nie było grozą, ani też z drugiej strony jakowś szczęsną ekstazą. Przejawiało się jako trwanie wobec Ogromu. Bezgranicznego ogromu, przechodzącego wysilone pojęcie... Ztąd nic inego zarysować się nie mogło na tle wyobraźni lub myśli. Władze wszystkie natężyły się nieustannie w tym jednym kierunku i nieustannie znajdowały się jakby w niwecz zdmuchnięte na łonie bezdennej fali.

Każda kropla krwi Johanana wiedziała o niewymownej Wielkości, przenikało mu to żyły i nerwy, wszystko młodzieńcze ciało i każde serca drgnienie. W tym stanie rzeczy gotował się głucho do czegoś,

czegooby zgoła nazwać nie umiał, ale o czym nie mógł wątpić, że idzie. Gotował się z zaciętością poważną i srogą, przewyciężając głód, chłód, gorąco, niewczas i naturalne z początku odruchy sierociego smutku lub trwogi. A wszystką duszę zawierał w tem jednym namiętnem, a niemem trwaniu.

Tak przechodziły mu dni... Natomiast w pierwszych godzinach nocy następowało często wstrząśnienie. Nieme poczucie rozświetlało się kaskadami wewnętrznych błyskawic. Młoda głowa leżała wpośród traw oroszonych, mając nad sobą rozlegające się wszystkie pioruny, które grzmiały nad Izraelem, począwszy od twórczego momentu Synaju.

Uwydatniała się niemal namacalnie moc Jehowy, przybliżała się dotknięciem do ludu. Albowiem wszystko, cokolwiek lud czuciem przeżył w stosunku do Boga swojego, ześrodkowało się teraz w tym chłopcu, który oczywiście nie wiedział, że uosabia tak wiele.

Wiekowe dzieje serc czczących w trwodze nasyconej miłością i w miłości, której bojaźń było na imię. Wiekowe dzieje...

Od dni pierwotnych, koczujących ognisk pastuszych, kiedy złęknionym oczom zdawała się w kłębach dymu ukazywać groźna Twarz Boża.

Poprzez lata zamieszek i dziecięcych błędów, gdy lud niesforny odstępował Pana swojego i wracał, zapominał w dostatku, a kruszył się pod klęską

mi; gdy nie było króla, ni żadnej władzy widomej, a sędziowie sądzili „w Jego imieniu“.

Przez szereg nieszczęść, przez dojrzewanie wśród burz, wpośród miłości równej stopniem ze zgrozą, w niebotycznym, wielkim krzyku nabiim¹⁾!...

Z położeniem rąk modlitewnych na strunach i w niezmiernym wybuchu uczucia które zmiotło już wszelką trwożę, w namiętym, zapamiętałym śpiewie psalmistów-harfiarzy...

Do natchnienia apokaliptyków bezimiennych, genialnych, wlewających nadzieję w wyschłe serca narodu...

Do gorliwości Peruszim ostrożnych, niespokojnych o utratę jednej kreski albo joty Zakonu...

Do głuchych i splątanych westchnień Am-harez...

Stulecia budowały ono pojęcie Boga nad sobą jako Mocy. Aż dosięgły najwyższego pod względem tym natężenia i trwał lud pod kopułą pełną niewysłowionych błyskawic i pod oddechem mającym w sobie grzmoty tysięcy mórz jako drobny ułamek jednego drgnienia.

A przeto w tych godzinach wieczornych objawień, w każdej kropli krwi Johanana zapalała się iskra od gromu; poczucie zaostrzało się w świadomość tak wielką, iż zdawała się nie być do wytrzymania dłużej nad chwilę; w każdym nerwie paliła się wiedza o Mocy.

¹⁾ Prorocy.

Sciemniło się już zupełnie. Dokoła skroni chłopca poczęły ważyć się jakby wielkich skrzydeł dostojne ruchy; usłyszał je nie słuchem lecz duszą.

Podniósł się. Serce objęło mu nagle, głębokie, dziwne szczęście; zaczynała się oto nauka, którą pobierał tutaj w pustkowiu. Tak bywało. Po wstrząsającym napięciu te wiewy skrzydeł jak nieme słowa rzucane wprost i bezpośrednio w głąb duszy.

Chłopcu zdało się od pierwszego razu, że to Nabii: Izajah i Jeremjasz przemawiają doń ze zstąpieniem nocy. Co mówili? Właściwie kładli weń coś czyniącego, że dusza rosła, a nazajutrz w świetle dnia brała ten już przyswojony zasilek z siebie i żyła się nim, nie dając, nie mogąc nadać imienia. To miał chłopiec na myśli, gdy odpowiedział Natanaelowi, że karmi się z duszy sam.

Słuchał. Skrzydła szeptały: — Dokonana jest ta część rzeczy. Kwiecistość miłosna sadu podaną była dziecięciu ku ułatwieniu pierwszych trudów. Opuść; już czas...

Niewidzialna dłoń matki położyła mu się na czole: — Ostatni raz jestem z tobą, synu...

Nie uczuł żalu; wiedział, że oto przestaje być Johananiem Ben Zacharia i dzieckiem Eliszeby...

Wyjęty z okręgu spraw...

Kim jest? Kim będzie?...

Gdy noc zblednieje, wstanie by iść...

ROZDZIAŁ III.

Annas i Kajafa.

— Nie mogę się temu poddać! Nie mogę być zwyciężonym! Nie mogę z dostojęstwa ustąpić!

— Cóż uczynisz?

I Kajafa spojrział na teścia piękniemi, a posępniemi oczyma, w których teraz zamigotał przełotnie szyderyczy błysk.

— Przed kim ustąpić mam? Zali nie upokorzeniem jest dla mnie widzieć wyniesionego na miejsce moje męża bez roztropności, wartości i siły, Izmaela Ben Fiabi! Zaliż mogę dopuścić, abym był złożon z godności... Ja!

— Jesteś złożon! Mówisz, jakbyś zapomniał, że wola prokuratora zdmuchuje najwyższych w Izraelu, jak wiatr liście zmiata... Jesteś złożon!

I twarz Kajafy w tej chwili była biała.

— Heach!¹⁾ w to ugodziłeś! — rzekł Annas.

— Albowiem najboleśniejsem — to...

¹⁾ Wykrzyknik.]

— Zdmuchiwał uprzednio Herod i przecie Archelaus po trzykroć zmieniał arcykapłany...

— Woląłem z dwojga bezceństw tamto...

— Moc Herodjanów? Ja nie! Powiadam ci, dni wyniesienia mojego były mi tak bardzo radośne z przyczyny, iż współcześnie Archelaus sromotnie szedł na wygnanie...

— Archelausa pamięć przekłeta! Ale wy coście wonczas po Herodowej śmierci prosili Augusta by, usunąwszy podle idumejskie potomstwo, dozwolił nam być bezpośrednio pod ręką Romy... O!

— Rządzić się podług dawnych praw naszych, a jeno pod zwierzchnictwem Romy... — sprostował Annas.

— I skamlania waszego Imperator nie chciał wysłuchać...

— Należałem do poselstwa dwa razy! przypomniał Annas. A po naszym wtórem w Rzymie działaniu Archelaus wezwan na sąd i zesłany kędyś w głąb Galji...

— I owo masz dzisiaj zwierzchność Romy!...

Annas, nie zważając na gorzkie wtrącenie, mówił z namysłem.

— Wstąpiłem na drogę do celu... Zaliż przez onych dziewięć lat mej godności nie zaszły wielkie zmiany? Azaliżem znaczenia Sanhedrynu nie dźwignął? Ponizon był przez Heroda, a nynie dla Izra-

ela stanowi to, czem senat ongi był dla ludu rzymskiego...

— Prawda, że uczyniłeś dużo...

— Można powoli wzrastać w siły, choć dłoń Romy dotyka; — zaszeptał Annas; — można! Wstąpiłem na tę drogę... W Sanhedrynie Kohen ha Gadol¹⁾ jest głową. Podnosząc wszystko ciało, głowęm jak najbardziej wywyższył, zasię w tem najważniejsza rzecz! — Tu głos mu się nieco natężył: — Kto przed Herodem panował? Hasmonejczyki! A zaś kim oni byli? Nie arcykapłański-ż to ród, który potem...

Herodjanów moc przełamana... Nie będzie wyniesienie Hasmonejczyków wypadkiem jedynym; postanowiłem dźwignąć swój dom...

Urwał i przymrużył oczy; jakgdyby wywołując gdzieś w głębi rozkoszne widziadło.

Kajafa jeszcze bardziej sposepniał:

— Nigdy nie jest pewien, czy w twych zamiarach troska o Izraela, czy tylko o siebie...

Roztworzyły się powieki Annasa, stalowy błysk ze źrenic uderzył świdrująco w oblicze chmurnego zięcia:

— Nie kłopotz się rozdzielaniem...

— W każdym razie spotkał cię zawód — powiedział gorzko Kajafa. — Przekonałeś się, iż pod ręką Romy rośnie się jeno do chwili, gdy wiatr tchem

¹⁾ Arcykapłan.

jednym zmiata... I oto początki wielkości twojego domu współcześnie końcem są...

— Nie jestem z onych, którzyby z okrzykiem: *hoi!*¹⁾ i rozdarłszy szaty, płakali... — odrzekł Annas. — Mówiłem ci, że ustąpić nie mogę...

— Czy śnisz, mój świekrze? Ben Fiabi już wyniesiony!

Oblicze Annasa przez krótką chwilę drgało. Powściągnawszy się, odpowiedział: — Gorzkość porażki wypiszy, swoje zrobię... Jeżeli Ben Fiabi dzisiaj wyniesion, to — za rok zdjęty będzie! Musi godność odzierać mój dom!

Ożywił się.

— Nie przegrałem. Nie rzuciłem aż dotąd kostek ostatnich, w dłoni skryte je mam. Nie ostoi się wobec mnie zgoła przez ten rok Izmael Ben Fiabi! Mówiłem, że z dostojęństwa ustąpić nie mogę, przeto wezmę je z sobą! Obaczysz w Sanhedrynie, czy przy środkowym krześle arcykapłańskim rzeczywista godność zostanie, czyli się nieco przesunie na miejsce obok — ze mną!

— I takiś pewny, że powrócisz po roku?

— Dom mój powróci...

— Przez którego z twych synów?

Lekki uśmiech wybiegł na wargi Annasa. Z tym uśmiechem twarz przybliżył do zięcia:

¹⁾ Biada!

— Żadnego z nich tak nie pragnę oglądać w dostojństwie jak — ciebie.

Kajafa poruszył się niespokojnie:

— Własne syny masz... Pięciu przecie...

— Ale przez pośrednictwo twoje wróć — ja sam!

— Możesz się mylić — rzekł ponuro Kajafa.

— Czy się mylę?

Uczyniła się chwila milczenia; zdawali się mierzyć oczyma.

— Bywa, iż wpływowi twemu złorzeczę... — wymówił wreszcie półgłosem Kajafa; albowiem czuję go w sobie jak cierń wtłoczony.

— Nie wiesz-li, co w tym wypadku czynić potrzeba? Szamocąc się, cierpisz od klucia; zaprzestać tedy...

— Ostrzegam cię jednakże, iż zapragnąć mogę — nadewszystko cierń wyrwać z siebie...

Annas popatrzał chłodno.

— Spokojny-m o to — powiedział.

Zbliżała się godzina, o której w dniu tym miał się zebrać Sanhedryn. Wyszli przeto z domu Annasa, by w otoczeniu kilku przybocznych kapłanów i licznej służby udać się do Liszkat-ha-Gazith¹⁾.

Miasto przy dniu pogodnym świeciło się białością licznych marmurów, a na górze Moriah przybytek płomieniał złotymi iglicami dachu. Szli w mil-

¹⁾ Komnata w której Sanhedryn się zbierał.

czeniu, które im zagnała ogarnęło myśli i serca jakby szarą dławiającą oponą, uragliwą w rozkosznym uśmiechu dnia.

Na prawo zajaśniały w czystym powietrzu cudne korynckie kolumny Ksystosu¹⁾. Mijając je, wstąpili zaraz na most nad doliną, łączącą miasto górne ze świętym obwodem Moriah. Aliści w połowie drogi Kajafa przystanął. Chmurne jego oczy podniosły się ku murom od stóp świętego wzgórza spiętrzoną aż po wieniec ślicznych krużganków. Zapłoneło uwielbienie bolesne modlitewnym zachwytem lecące ku złocistej ścianie Hekal'u²⁾. Potem wzrok się zwolna obrócił na miasto i uwielbienie zgasając, odstąpiło miejsce swe — obok bólu — nienawiści zawziętej.

Nienawidziły te głębokie żrenice wdzięcznych zarysów uroczego Ksystosu, gryzły spojrzeniem precudownych kolumn głowice; poszły uragowiskiem złowieszczem ku widnemu nad smugą ogrodów pałacowi Herodjańskiemu, uderzyły wybuchem pogardy o marmurowe potężne baszty Fazaela, Hipikusa i Mariamny. I wróciły, skupiając się znów nad Ksystosem.

Nienawidzący ból wpijał się w pieściwość galerji świetlistej, a ukojonej, przedziwnymi linjami otwartej ku pełni nieba.

Wtem drgnawszy lekko, Kajafa spojrzał na stojącego obok Annasa. I ten patrzył na miasto. Prawie

¹⁾ Galeria pałacu Herodowego,

²⁾ Hekal — Przybytek.

lubieżny uśmiech rozchyłał mu wargi: — Piękne — wyszeptał.

Kajafa gwałtownie rzucił się w tył: — To, czy tanto? — zapytał, półkolem ramienia wykonywując ruch od miasta ku górze.

— I to, i tanto.

— Zrównałeś! Może słusznie, gdyż nie tylko na tem lecz i na tamtem hańba obcego dotknięcia leży...

— Z Peruszim jesteś, albo-li — bardziej jeszcze — z Kannaim?¹⁾ — zadrwił Annas.

Na zachodnim krańcu świętego wzgórza w wielkiej komnacie Liszkat-ha-Gazith już stali w pogotowiu dwaj pisarze sądowi, jeden ze strony prawej, a drugi po lewicy. Pomiedzy niemi w potrójnym rzędzie siedzieli wprost na podłodze uczniowie słynnych soferim²⁾. Krzesła dla członków ustawione były naprzeciw a w półkole, tak by siedzący mogli się wszyscy widzieć nawzajem.

Niebawem poczęli się schodzić „archiereis“ i „grammateis“ jak niekiedy z cudzoziemska ich nazywano. Zajmowali miejsca swoje poważni mężowie. Ale niepokój jakowyś przelatywał wśród zgromadzenia.

Jakób Ben Juda, syn Gaulonity, który był zginął w zamieszkach przed lat dziesiątkiem, i zawsze sercem młodzieńczy Zadok szeptali coś między sobą.

¹⁾ Zeloci, gorliwi.

²⁾ Pisarzy, uczonych w piśmie.

Joazer Ben Boethos, dawniejszy arcykapłan, poprzednik Annasów, rozglądał się niepewnymi oczyma po tłumie. Nielubiony był, czuł to. Młodzi Peruszim, a tembardziej Kannaim nie przepomnieli mu ugodowego działania w czasie rozruchów, gdy lud pragnął się oprzeć popisowi rzymskiemu. Opieka Annasa, aczkolwiek upokarzając jego dumę subtelną a skrytą, osłaniała go przez szereg ostatnich lat, teraz jednakże wobec ponownej zmiany wyczuwał jakby groźbę w powietrzu. Na wrażliwym jego obliczu raz po raz odbijał się lęk i frasunek, o czem wiedział i nad czem cierpiał dotkliwie, nie mogąc się powściągnąć przed złośliwością zewsząd patrzących oczu.

Wprowadzono oskarżonego. Stał bosi, jak zresztą prawo w tym wypadku nakazywało na znak pokory i żałoby. Całą postać dość wiotką oblekał aż do stóp „kuttonet“ lniany, którego białosc zbrukały plamy błota i zaschłej krwi. Trzymał głowę pochyloną na piersi.

Nie zwrócił nań nikt szczególnej uwagi. Śnać nie dzisiejsza sprawa sądowa przejmowała obecnych, ale coś nurtującego w myślach i spodem słów szeptanych.

Niektórzy spoglądali raz po raz ku stronie, od której miał wniść arcykapłan.

Rozległ się półgłos, że już nadchodzi.

Oskarżony w tej chwili podniósł głowę.

Johanen Ben Zakkai właśnie siedział naprzeciw i oto nagle spojrzeli sobie wprost w oczy.

Smagła a obojętna twarz podsądnego nie wyraziła żadnej zmiany, ale mędrzec wpatrzył się najpierw z wielkiem zdumieniem, a potem odbił mu się w rysach trud przypomnienia rzeczy bardzo dalekiej, wreszcie lęk, prawie zgroza.

— Eliud — zawołał.

— To imię moje — odpowiedział podsądny spokojnie.

Ben Zakkai trząsł chudemi rękami przy skroniach.

Ten i ów zauważył, że coś się dzieje. Rozbiegły się poszepty urągające.

Zaddok jako wychowan w mądrości Bet Szamai¹⁾ i sercem do tego przyrosły, a zatem przeciwnik domu Hillelowego, zapytał z jadem szderstwa:

— Może-ć to jeden z uczniów twoich o, Rabbi?

— Przerosłem i przestąpiłem naukę twoją, Ha-Zaken²⁾... — rzekł oskarżony, utkwivszy ponownie wzrok w Johanana.

A temu obie dłonie spadły na oczy.

Ben Fiabi, Kohen-ha-Gadol, wszedł i zasiadł swe miejsce należnie pozdrowiony. Zwróciły się ku niemu mniej lub więcej ciekawe żrenice wszystkich obecnych okrom Eliuda i syna Zakkai'ego.

¹⁾ Dom Szamai'ego.

²⁾ Tytuł nadawany mędreom,

Krzesło obok arcykapłana dotychczas pustem było.

— Nie przyszedł Annas ben Sethi? — spytał dostojnik.

— Niepotrzebny jest ku liczby spełnieniu! Dostateczniśmy oto w tem gronie! Można bezeń poczytać! — wołały głosy kilku Peruszim.

Oblicze arcykapłana wyraziło niepewność.

— Boi się — zasyczano gdzieś niedzie.

Jakób Ben Juda dźwignął się do połowy: — Oparciem dla cię będziemy, jeśli nas nie zawiedziesz. Pomnij, że oparciem dosyć mocnem jesteśmy, jeno nie zawódź nas!

— Co on mówi? — poczęto zapytywać wpośród Zadukim¹⁾.

Joazer przybladł lekko, a sam arcykapłan zżył się w stronę krewkiego Gaulonity:

— Zcichaj — rzucił mu słowem urwanem.

— Co wam zamąca myśli, mężowie? — zabrzmiał głos pełny, mocny, a tryskający szderstwem.

Spojrzeli, stał Annas.

Drwiły jego oczy w twarzy dorodnej, a nad czołem kosztowny zawój, „migba'a“, kapał od złota.

— Kohen-ha-Gadol! przystoi-ć twarz mieć wesołą, bo wszystką świętność Bet-Din'u²⁾ wyrazisz

¹⁾ Saduceusze.

²⁾ Dom sprawiedliwości.

wpośrodku jego będąc jak słońce o południu na niebie...

Potoczył wzrokiem po pierścieniu obecnych. Chłodne źrenice zdawały się każdego z kolei brać na chwilę i obciążać z pewności siebie i ze znaczenia jak z szat posiadanych nieprawnie. Ściągał ku sobie. A dokonawszy oglądu, siadł na swem miejscu z pozorą ciszą, w której bez słów krzyczała olbrzymia pycha. Wspaniałe suknie uwydatniały urodę nieugiętej postaci.

Przez mgnienie zdało się wszystkim i samemu Izmaelowi Ben Fiabi, że na stolcu arcykapłańskim będąc, szarzeje, bo wszystek blask zeń wycieka, by z żył otwartych krwi struga. Uczuł się jak za dni dawnych memuna¹⁾ wykonawcą posłusznym wyższych rozkazów, narzędziem, które ręka posuwa...

A głos Annasów już się rozlegał donośnie:

— Sąd zaczynamy! O co oskarżon człowiek, którego tu widzę? Niech wystąpią świadkowie!

Mówił, jakby się nie był zgoła pomieniał na krzesła z Izmaelem Ben Fiabi.

Zgromadzenie ochłonęło z dziwnego nastroju. Kanna'im poczęli się miotać i warczeć:

— Już nie po swoje sięga! już nie po swoje!

Ben Fiabi z wysiłkiem stanowczości zawołał:

— Rozkazuję, człowiecze, mów o co-c skarzy!

Eliud powiódł ciemną dłonią po czole: — Nie

¹⁾ Dowódca straży świątynnej.

mogę sobie przypomnieć odrazu... — rzekł zamyślony.

Wtem Babas ben Buta, siedzący nieopodal Zadoka, porwał się z twarzą bólem napiętnowaną.

— Powiadają o nim, że bluźnił przeciw świątyni, a bluźnierstwo takie winne jest śmierci, zaś my nie możemy zetrzeć go śmiercią z własnej mocy! Hoi! hoi!

W gronie Kanna'im zawrzało:

— Naród święty, by złoczyńce swoje pokarał, udawać się musi z prośbą o zezwolenie do poganina, do wroga!...

Annas uśmiechnął się drwiąco.

— Zaznacie teraz trudności...

Prokuratorzy ze mną liczyć się są zmuszeni... Był Kwirynus... Byłby Walerius Gratus... I dlatego ubezpieczając się, mnie ważkiego złożył z godności, a podniósł — I zakończył kaskadą śmiechu.

— Zatrzymaj się z ocenieniem! — syknął Ben Fiabi.

Zadok zwrócił się do Annasa.

— Chelpisz się, że umiałbyś u poganina wyjednać? Poprzez pychy swojej zasłonę nie widzisz sromu ludu Pańskiego?

— A któż ci oto powiedział, że tak samo jak tyś dokonywał, nie potrafię od dzisiaj ja! — krzyczał Ben-Fiabi.

Jakób Ben Juda ryknął jak zwierzę zranione.

— Ty! ty! zaliśmy taką kładli w tobie nadzieję! Zadok, a przy nim inni wołali:

— Nie zhańbim się prośbami o pozwolenie prokuratora! Pacholkiwie złoczyńcę za miasto wywleką, a lud kamieniami utłucze!

Porwali się z miejsca, wymachując ramiony.

Nad zgiełk namiętny wybił się głos Johanana syna Zakkai:

— Przekonajcież się przódy, zali na śmierć ten zasłużył!

Ucichli.

Eliud przez cały czas nie okazał żadnego wzruszenia. Teraz Izmael Ben Fiabi ze stolca arcykapłana począł wołać ku niemu: — Odpowiadaj! mów! mów!

— Niełatwo mi jest mówić — odrzekł powoli — przywykłem do częstego i długiego milczenia. — Po chwili dodał: — Nie pojmuję, czego ode mnie chcecie?

— Błuzniłeś! — krzyknął Babas ben Buta.

— Kiedy? — spytał Eliud, jakby myśli zbierając.

Wystąpił świadek:

— Widziałem cię i słyszałem na Ezrat Izrael¹⁾...

Eliud przeląkł się nagłym wspomnieniem:

— Biada mi! W oblędzie czy też w złym śnie powiodły mi nogi ku miejscu, gdzie krew się przelewała!...

¹⁾ Podwórzec Izraela.

— Słowami szaleńczemi przemawia jakby był z Essenai¹⁾ — zakrzyknięto w gronie Soferim.

— Skądś rodem i czem się trudnisz? — pytał Ben Fiabi.

— Ręce moje uprawiają ziemię, która mię żywi. Siedziba moja z bracią pospołu pośród wieńca gajów palmowych, przy źródle ciepłym, w pobliżu słonego morza.

— A więc tak! z onych jesteś! — rzucił mu Amnas wzgardliwie. — Z szaleńców, którzy się wyuczają rzekomych imion anielskich i ludzą się, że nie umrą, choć im śmierć stoczy ciała!

Tu Ben Zakkai zawołał głosem niezmiernego wzburzenia: — Nikomu z Zenuim nie wolno jest wstępować w obejście święte! Zakazano każdemu z Zenuim. Narówni z poganami są wyłączeni... Grzech! grzech!

Uczyniła się nagła cisza.

Wykazanie przestępstwa padło niemal na wszystkich wrażeniem wielkiej zgrozy. Syna Zakkai, dzisiejszą głowę Bet-Hillel, znano na sądach z łagodności nie z oskarżania, tembardziej uwydatniał się jego wybuch potępiający.

Eliud ściągał wspomnienia:

— Jakoby w złym śnie zawiodły mi tam nogi. Ale przeciwnie krótko przebywał. Oprzytomniawszy, zawołałem do ludu: „Wynijdźcie, tu obok jest miej-

¹⁾ Greckie nazwanie Eseńczyków po hebrajsku „Zenuim“.

sce krwawe! Skalani, którzy krew przelewają! Biada!

— Tak mówiłeś! — przytwierdził świadek. — I jeszcześ nazwał Ezrat Kohanim¹⁾ obrębem straszonym, a Ołtarz Całopalenia okrutnem igrzyskiem...

— Zgrzeszył zatem dwukrotnie, zawyrokował Jonatan Ben Uziel, mający mir wśród Peruszim. — Wstąpieniem w zakazany obręb i ciężkiem bluźnierstwem. Dwa godne śmierci grzechy...

— Musisz umrzeć... — powiedział Ben Zakkai z boleścią. Z głosu jego znikł już wszelki dźwięk gniewu. — Musisz umrzeć... Pacholęcą twą postać widywałem ongi u stóp mych i ręce moje błogosławiły twej głowie... Ale, o synu, popełniłeś zbrodnię najcięższą, przyczyniłeś się do wstrzymania godziny, w której Pomazaniec Pański stanie wśród stęsknionego ludu. Każde przestąpienie prawa odwołcza ten dzień... Złoczyńcą jesteś... Rozumiesz-li, jakim złoczyńcą? Skrzywdziłeś tęsknotę świętego ludu... I któż obliczy, ile jeszcze z przyczyny owej czekać potrzeba...

Nie przebrzmiały ostatnie wyrazy, gdy z gromady Kannaim buchnął krzyk, przenikliwy:

— Nie chcemy czekać, nie będziemy wyczekiwali!

— Jakto? jakto? — wyjęczał Jonatan Ben Uziel.

¹⁾ Dziedzinniec kapłanów.

Jakób Ben Juda zwrócił na swoich oczy rozżarzone weselem, a zaraz potem z tych źrenic strzeliła na wszystko zgromadzenie tryumfująca pogarda:

— Nie wiecież-li, co w nas dojrzewało od chwili ohydnej, gdy trzeba było zgnać karki pod szkaradą pogańskiego popisu, gdy lud poddany jeno Panu Zastępów rachowano na sztuki z bezbożnego rozkazu?... Zawiązało się to w nas wtedy jak początek owocu w łonie zapłodnionem od zelżywości... A rosnąc, syciło się rozpaczą i wzmagalo ofiarnem postanowieniem. Dojrzało dzisiaj... Mówię do was, ja syn mężnego, który położył żywot swój w boju... Tacy jak my nie wyczekują w hańbiącej męce! Nie wzdychaniem przywołamy dziedzica Dawidowego! Szczęk mieczów przyniewoli go, dźwięczenie zapalczego żelaza przyzwie go k'nam na obronę izraelskich świętości. Błogosławioną wojnę uczynim i tem go przymusim, aby przyszedł nareszcie wódz sprawiać hufce swoje!

Zgromadzenie w większości pobladło, zaś delikatna twarz Joazera stała się nieledwie sina z trwogi. Annas miażdżył arcykapłana szydzącemi oczyma:

— I cóż z tem poczniesz? — zapytał. — Jak postąpisz ty wobec tego?... Nie głuche są, tak mi się zdawa, uszy prokuratora, a Cezarea nie tak bardzo daleko... Zresztą wieści, które śmierć sprowadzają,

Chrześciciel.

zwykły słuchu panów dosięgać, pożyczając od ptactwa skrzydeł...

Ben Fiabi wił się pod ciosami tych zimnych żreń.

Kajafa, który dotychczas nic zgoła nie mówił, obrócił się gwałtownie ku stolcu arcykapłana. Piękna twarz jego gorzała:

— Dlaczego się ociągasz? — zasyczał. Nie bój się stanąć z niemi! Nie słyszysz głosu z krwawych wnętrzności Izraela?

Ben Fiabi żałośliwie zatrzepotał rękoma:

— Nie boję się... — wyksztusił... — Kto mnie ma, że ja się boję?... Stanę, jeśli potrzeba...

— Mocniej! twardziej! wyraźniej! — wołali doń z miejsc swych Jakób i Zadok.

Śmiech Annasa wytrysnął górujący nad wszystkim, a pełen lekceważenia:

— Nie boi się, jeśli trzeba...

A lekko zmrużone oczy dopowiadały:

— Jużem załatwił się z tobą, już pokonałem ciebie! Miazgą jesteś po której przejdę bez trudu...

Niektórzy z Zadukim niecierpliwiili się przedłużaniem zebrania, nadchodził bowiem czas przedwieczornej ochłody, który zwykli przepędzać w rozkosznych podmiejskich ogrodach, albo przy ucztach według obyczaju rzymskiego wytwornych, urozmaiconych muzyką, płasmi tancerek i kwieciami. Po-

czeli przeto nagiąć, by przystąpiono do procedury sądowej.

Uczyniła się chwila ciszy, wśród której pisarz z prawej strony, przedstawiającej „Hezod“ (miłosierdzie) stał w gotowości spisywania przemówień tych, coby chcieli uniewinnić oskarżonego. Ale nie podniósł się żaden głos. Natenczas przyszła kolej na pisarza ze strony lewej, która oznacza „Din“ (sprawiedliwość). Do tego należały mowy potępiające.

Wygłosił kilkadziesiąt słów Jonatan Ben Uziel twardo ale spokojnie, poczem wybuchnął krótkim lecz gwałtownym potokiem Babas Ben Buta. Insi przemawiać nie mieli ochoty, wypełniało im myśli coś bardziej zajmującego niż sprawa Eliuda. Więc wszczęto zbierać głosy.

W wypadku, gdy szło o życie, prawo nakazywało rozpoczynać odwróconą koleją od najmłodszego z soferim ku coraz starszym i znakomitszym.

Najmłodszy podniósł się, by powiedzieć swe zdanie, ale nagle spojrzawszy na zbiedzoną a zadumaną twarz podsądnego, zawahał się w niepewności. Wtedy stało się coś zupełnie nadzwyczajnego; Johanan Ben Zakkai, nie oczekując kolei swej, porwał się z miejsca. Bardzo prędko, a drżąc na wszystkim ciele, przystąpił do Eliuda. Wychudłe ramiona opłótły szyję dawnego ucznia, przyciągnęły głowę jego na pierś podnoszoną gwałtownym oddechem. Spieczona wargi mistrza wycisnęły na bladej twarzy po-

całunek tklivości. I natychmiast wyprostowując się, przemówił dobitnie:

— Zasłużył na śmierć; niechaj umrze...

Jak na sygnał posypały się teraz orzeczenia potępiające, a wśród tych pocisków mierzących w bezbronne życie Eliuda, Johanan Ben Zakkai uchodził podtrzymywany przez uczniów, niezdolen wytrwać dłużej.

Pozostawało ogłosić wyrok, aliści Zakon, w którym wypisane były stronice miłosierdzia obok stronic sprawiedliwości, pozwalał uniewinniać natychmiast, ale na śmierć skazywać dopiero w następnym dniu.

Jeden ze starszych Peruszim wydał raptowny okrzyk żalości: „Sabat!“

Tak, nazajutrz przypadał sabat; przepomnieli o tem, lecz jak mogli przepomnieć i cóż się teraz uczyni? Annas nasyczał się złośliwym rozradowaniem:

— O! jak roztropny, jak napełniony mądrością jest Kohen-ha-Gadol, który taką sprawę dopuścił sądzić w przeddzień sabatu!

Zapanowało gniewne zakłopotanie. Ci i owi przeszywali się wzajem niecierpliwym i pytającym wzrokiem. Na zatroskanego dostojnika w krześle arcykapłańskim już nikt nie zwracał uwagi; najwięcej spojrzeń pobiegło do Annasa. Ten po dłuższej

chwili milczącego triumfu wziął na siebie rozstrzygnięcie splątanej sprawy. Rzucił niedbale:

— Ubiczować go! Czterdzieści bez jednej¹⁾, a dotkliwie! Robak jest, wystarczy mu tego prawie na uśmiercenie. Zasię gdyby jeszcze potem był zdyban, kamieniami zatłuc każemy!

Według obyczaju żydowskiego skazany na chłostę przywiązywany był za nogi i ręce do niziutkiego słupka, a w ten sposób wygiętym będąc w kabląk, nagi i boleśnie napięty grzbiet wystawiał pod ciosy.

Gdy pierwsze, a według nakazu dotkliwe uderzenie spadło na sterczące kośćmi barki Eliuda, chuda, zakłęśła pierś zakofysała się skowyczącym szlochem. Za drugim i trzecim krzyk zatrzepotał i zdławił się w niemocy. Potem było już tylko głucho, a bardzo głębokie, jakby rozdzierające wnętrzności stękanie.

Członkowie sądu rozchodzili się chyżo do domów. Annas drwiącym uśmiechem pogonił za gromadą Kannaim.

— Rozżarzają się pragnieniem wojny! Szaleńcy! Nędzne węgle, które spłoną i strawią się na popiół... Mśziah przyjdzie sprawić dowództwo nad nimi! O, szaleni i głupi! Bezgłowy tłum z bezgłowym najwyższym swym dostojnikiem! Widzisz-li,

¹⁾ Przepis prawny brzmiał: 40 plag bez jednej, a to z ostrożności by ponad 40 nie było.

jak się to dzieje? Nie mając głowy, szaleją! Mosziah przyjdzie zniewolony dźwiękiem żelaza! ha! ha!

Ale tu w chrobot śmiechu wpadł szept namiętny, dyszący, wezbrany:

— Czemużby nie?...

Dwie młode, żylaste dłonie uchwyciły ręce Annasa, Kajafa rzekł nagłym, krótkim krzykiem, w którym uderzał rozkaz, a płacz się łamał:

— Uczyń mię arcykapłanem!

ROZDZIAŁ IV.

Zenuim.

Spotkał się z nimi raz pierwszy w ciemną noc przy ognisku. Spotkały ich jego oczy ze snu nagłego otwarte i badawcze ale nietrwożne.

Utrudzony był długą wędrówką i zaraz z wieczora zasnął twardo. W pobliskiej, głębokiej rozpadlinie piaszczystej koniki polne śpiewały; zasypiając, miał w uszach tę ich dziwną muzykę z tysięcznych lekkich syków złożoną.

Gwiazdy powychodziły na niebo dostojnym, złotym poczem; lśnienie ich królowało na wysokości niezmiernej, nie potrącając cieniów padolnych oblekających pustynię; tak rozciągały się nad sobą dwa światy.

Cykady coraz głośniej dźwięczały. W każdym piaszczanym jarze grał chór.

Urodzony na wielkich przestrzeniach, suchy oddech pustyni przechadzał się westchnieniami w ciemności. W miarę postępu nocy chłód i ziębił

śpiącego, który skąpy „kutonet“ odruchowo obcisnął dokoła ramion i bioder.

Brakło paru godzin do świtu, kiedy smuga nagłego blasku połechtła mu zwarte powieki.

Mały, od dłuższej chwili tłący ogienek buchnął, ukazując tę młodą głowę spoczywającą na piasku w odległości zaledwo kilku kroków. Sycący płomień, przerazili się tego widoku. Byli to dwaj ludzie, których rysy i białe szaty majaczyły w niepewnym rozświetleniu.

Skulili barki, jakby chroniąc się przed niebezpiecznym czy wstrętnym dotknięciem.

— Ktoś ty? — zapytał jeden.

— Nie mam imienia — odpowiedział pytany.

Popatrzeni nań, a potem wzajem na siebie.

— Dokąd idziesz?

— Nie wiem. Prowadzi mnie rozkaz Pana.

— Bracie! — zawołał starszy z mężów białodzianych — jeżeli tak jest, zali nie Pan to nas stawia na jego drodze?

Obaj wyglądali wzruszeni, natomiast młody wędrowiec przypatrywał im się z zupełnym spokojem.

Upłynęła chwilka.

— Nie pomnisz-li nic o swym ojcu? — rzekł znowu starszy.

— Należał do Kohanim¹⁾, ale odjętym jest od

¹⁾ Kapłani.

związku z nim i z macierzą, sam jestem i czekam objawienia Pańskiego.

— To dobrze — zaszeptał starszy — to dobrze... Wyzwolenie ze związków krwi!... Teraz pragnij i pracuj, zaś przede wszystkim poddaj się przewodnictwu mądrymu...

— Odjętyś od ojca i macierzy, natomiast braterstwa jednakowo myślących ci potrzeba, bowiem do celu dorasta się w gronie braci... — rzekł młodszy.

— Gdzie jest braterstwo takie?

— Za nami pójdź, a kiedy godnym będziesz, obaczysz.

— Nie mogę wyniść z pustyni, wszedłem na nią z rozkazu — wymówił wędrowiec stanowczo.

— Nie wynijdziesz, w obrębie jej mamy mieszkanie — odpowiedzieli.

Milczał przez parę chwil, rozważając.

— Co czynicie? — zapytał wreszcie.

— Doskonalimy się, — odrzekli; — w trudzie dochodząc stopnia pierwszego, weseląc się w stopniu drugim i wzdychając upragnieniem ogromnym, byśmy kiedy osiągnęli trzeci, najwyższy...

W podsyconem świetle ogniska spojrzął na nich wzrokiem młodego orła, badającego drogę przed sobą.

— Mogę przekonać się, zali to jest; pójdę z wami...

I nagle przygarnął się ku nim wesołym, prawie chłopięcym ruchem.

Uskoczyli:

— Nie tykaj!

Na łagodnych ich twarzach znowu odbił się przestрах.

— Musielibyśmy się oczyszczać kąpielą, a wody niemasz w pobliżu.

Nie zdziwił się, ale zamyślił:

— Jakże braterstwo mi dacie, brzydząc się tak ogromnie dotknięciem?

— Obaczysz! Przepisy są na wszystko ustanowione... Miłość wyleję ze serc swoich ku tobie, zaś się z czasem po szeregu oczyszczeń dostąpisz obcowania w braterskim kole.

Patrzył na nich, nie mówiąc.

— Eldadzie, — rzekł młodszy z mężów, — objaśnij go cokolwiek o świętej czystości.

— Dobrze, — powiedział Eldad. — Młodzieńcze! Gdy już będziesz wśród nas, słowa, które tu słyszysz, okażą ci się nasycającym chlebem i ożywczym wonnym napojem...

Chwała uświęcającej, doskonałej czystości! Je-no będąc w najczystszej ciele stać się można uczestnikiem Ruah-ha-Kedesz¹⁾ i naczyniem objawienia Pańskiego. A zatem w trudzie niewyczerpanym

¹⁾ Duch Święty.

przestrzegajmy niepokalanie ciała, których najłżejsza zmaza wywołuje klęskę i zgrozę!

Za dni dzisiejszych biada Izraelowi, bo kędyż jest niezmazana czystość lewity, którą Pan nakazał w Zakonie? Czy kapłani w Jeruzalaim poszczyciły się nią mogli? O, hoi! Unurzane to w krwi i obcowaniu lekkomyślnem wśród zgiełku świata... Czy Peruszim pod tym względem godniejsi? Przechwala ją się, ale nie są!...

My jedni na osobności pielęgnujemy ten święty kwiat... Czy rozumiesz? Aż kiedy nietknięty kielich zapłodni zastąpieniem swoim Ruah-ha-Kedesz... Bez nas biada byłaby pogrążonemu w odmętach świata!...

Urwał. Ku wschodowi przez ciemną oponę nocy przebiegło jakby drgnienie.

Jeszcze się nie rozwidniało by najsłabszym rozświetem, ale mroki znagła stały się czujne i zakolebały w przedziwnym dreszczu.

— Banasie — szepnął Eldad — zali śpiesząc ze sił wszelkich, wydadzę?

— Może...

— Całkiem w prostym kierunku?

— Tak, ciągle wprost przed siebie.

Odwrócił się Eldad bez szelestu i zniknął jakby go pochłonęły ciche, a jeszcze zwarte objęcia nocy.

— Do Toble Szachri¹⁾ należy — objaśnił Ba-

¹⁾ Ci którzy codziennie przed poranną modlitwą oczyścić się musieli zanurzeniem w zimnej wodzie.

nas. — Będzie usiłował dotrzeć do wody, uprzedzając pierwsze gońce świtania.

— A ty?

— Jeszcze nie obowiązany do tego, aczkolwiek oczywiście jestem z Watikim¹⁾.

— A teraz proszę-ć zachowaj pełne milczenie, bo nie wolno mi wyrzec słowa aż do chwili, kiedy modły odprowadzę współcześnie z wniściem dnia.

Trwali zatem w milczeniu.

Przed oczyma ich ciemna ściana poczęła zwolna wiotczeć i strzępić się nabiegami szarości. Utraciła spoistość i rozsnuwała się pomału, lecz ciągle jakby ciężkie, a przemienne opary. Jakaś ogromna fala napływająca z przestworza uderzała o mroki taranami barw ołowiano-srebrzystych. Przedarła się i wszystko wokrag zalała. Mleczno-białe surowe niebo rozciągnęło się nad niepewnymi zarysami pustyni. Stopniowo zaznaczyły się lekko faliste linie płaszczyzny, nasypy z piasków lotnych i zagłębienia mnogich rozpadlin. Wystąpiła przestrzeń w zimnym jednostronnym poblasku bez pocałunków koloru. Było zupełnie widno, nie było jeszcze jasno ni ciepło i dlatego ogromnie smutno.

Nie odrywali oczu od wschodu.

Nareszcie wytrysnęło pierwszym rozkwitem dotknięcie cudnie różowe. Obłoki nasączyły się

¹⁾ Którzy „Szma“ poranne musieli kończyć w chwili ukazania się słońca. Dosłowne znaczenie: „Mężowie mocnych zasad“.

tehnieniem przychodzącego życia. Odpowiedziały lekkością barwy rozplywającej się od różanego ośrodka do subtelnej ametystu po brzegach. A punkt środkowy zaostrzał się do czerwieni. Wybiegały zeń teraz nierówne, poszarpane smugi purpury. Niebo na całej stronie porannej przeświecało się ogniem dalekim.

Oblicze pustyni zaszło od tego mgłą rumieńca i czucia. Narodził się na rozłogach żółto-płowy kolor piasków połotnych i wzmagał się pożądaniem przemiany w świetliste złoto.

Banas poczał się modlić. Z wyciągniętymi nad głową ramionami, w tęsknej postawie, która zdawała się być jednym pragnieniem wylecenia ku jutrzni, wymawiał śpiewne słowa miarowo do wtóru królewskim krokom dnia wschodzącego w widnokreślne podwoje. A gdy ukazała się w progu koronna słońca głowa, dźwięk ostatniego wyrazu upadł przed nią w pokłonie i człowiek zaniemówił olśniony, mając jeszcze przez chwilę ramiona rozpostarte jak skrzydła ptaka.

W taki to sposób zapoznał się Johanan z temi, którzy sami się nazywali i przez lud nazywani byli: Zenu'im¹⁾, Watikim²⁾, Keszerim³⁾, Hasza'im⁴⁾, Keddoszim⁵⁾... i Assiim⁶⁾...

¹⁾ Czyści. ²⁾ Niezłomnych zasad. ³⁾ Nienaganni.

⁴⁾ Przestrzegający tajemnic. ⁵⁾ Święci. ⁶⁾ Pomocnicy, lekarze.

W osadzie dano mu białą szatę, „Kenafa“ czyli opaskę do osłaniania bioder czasu kąpieli i łopatkę ku starannemu zagrzebywaniu nieuniknionych nieczystości, aby widok ich nie obrażał świętego słońca.

Sypiał sam w ustronnym, niskim szałasie, opodal od budynków, w których się mieścili Haburot¹⁾. W przeważnem milczeniu, surowości, powadze i pracy miał się jako nowicjusz pierwszego stopnia gotować, aż wprawi się i osiągnie chasidut²⁾ i stanie się uczniem wyższym już w stopniu wtórym, uczestnikiem sakramentalnych obmywań.

Obowiązujące w tym okresie prawidła: gorliwość w zakonie, czystość cielesna i wstrzemięźliwość nie tylko przychodziły mu łatwo, ale punkt pierwszy i trzeci wprost wynikały dlań z własnego nawyku i z przyrodzonego usposobienia.

Nieco inaczej bywało z pracą.

Zenu'im utrzymywali się wyłącznie z rolnictwa i ogrodnictwa. O bardzo wczesnym poranku zaraz po pierwszych modłach wychodzono do robót, wyznaczonych przez starszych, którzy byli z wyboru ale zarządzili bez zastrzeżeń i bez żadnego ograniczenia. Tak pracowano do godziny piątej, licząc od wschodu.

Johanana silny był i skopywanie gleby łopatą, wrywanie zielska lub żniwny trud nie wymagałyby

¹⁾ Habura, stowarzyszenie. Haburot — liczba mnoga.

²⁾ Esseński sposób życia.

odeń zbytniego napięcia, ale tu zachodziła rzecz odmiennego rodzaju.

Może po części od wczesnego dzieciństwa powzięte przyzwyczajenie do kontemplacji, do ekstazy, do zadumy, a może jeszcze coś więcej... Oto z chwilą gdy uderzyła go w nozdrza woń poruszonej, żywiącej i łaskawej ziemi, z chwilą kiedy zgięte nad motyką ramiona owionęły oddechy urodzone na pustynnych przestrzeniach, pełne wiekuistych szepków i żądań, młode członki prostowały się, opuszczając narzędzie i nieruchomiały z pozoru; w istocie rozegrywały się jako struny. Wypełniał kości dźwięk przychodzący z serca, napięty i nieustanny, który wybuchał z niestrudzonego źródła ciągłą kaskadą, rósł, potężniał, zdawało się, że za mgnienie rozsadzi naczynie ciała.

W takowem zapamiętaniu bywał Johanan podobien pięknemu posagowi z jasnego bronzu, opłynionemu srebrzystą białą szatą. Eldad, przełożony nad robotami w tej części pól, niejednokrotnie budził go z tego stanu i strofował, zresztą w dosyć łagodnem upomnieniu. Ten nowicjusz był najzupełniej odmienny od wszystkich, których bracia kiedykolwiek widzieli tu w głównej osadzie; zastanawiał i może dlatego pomimo woli nie stosowano doń całej ścisłości wymagań.

Codziennie przed wschodem słońca widywał Johanan szeregi „Toble szachrith“ schodzących cicho

po osrebrzonych przedświtem stokach ku łożowanej tafli Gorzkiego Morza.

Na grzędach przeobfitych ogórków i melonów i na niskiej gęstwinie winnic błyszczały perły rosy. Tu i owdzie kępa palm daktylowych wybiegała w powietrze smukłością wysokich pni i szeptanie koronnych wachlarzy rozmawiało hen, w górze z łaskotaniem wietrzyka.

Sliczne zbocze wonne i rośne urywało się nagle, zstępując w obryw piaszczysty. Jeszcze kilka załamań w jałowej, raptownie zamarłej glebie i ostatnia krawędź wyścielala się równo, gładko, zlekka zeskorpowała powierzchnią ze śladami soli w przygodnych zagłębieniach.

Bezszelestnymi stopami szli po tym martwym wygonie zadumani „Toble szachrith“. Gęste fale morza podpływały z ciężkością, z utrudzeniem dźwigały posępne głowy i z głuchym pluskiem rozbijały się w kręgi na płaskim brzegu. Johanen widział gromadę w ciszy ze szat zwleczoną i wchodzącą do zimnej toni. Poniżej nagich grzbietów bieleły się Kenafaim¹⁾.

Morze pracowało obciążonemi pierściami. Do zrywających się ptaków podobni, modlili się bracia już oczyszczeni kąpielą i wyciągający ręce ku niebu. Skaliste góry Moabskie złościły się zwiastowaniem dnia. Wzdęła się smutna tafla ruchomego łożu,

¹⁾ Przepaski na biodrach.

przyjęła na się upadnięcie smugi słonecznej jak jasnej ścieżki, po której mogła zstąpić nadzieja...

Na godzinę przed południem gromadziła się Habura¹⁾ na pierwszy święty posiłek.

W półkłęgu drzew daktylowych stało długie domostwo z nielicznymi okiennymi otworami pod linją płaskiego dachu. Po kąpielu, wtorej dla „Toble szachrith“, a pierwszej dla innych braci, u drzwi tego domu w najgłębszym milczeniu składano odzież zwyczajną, by ją zastąpić przez cieńszą, godową. Potem do białych zjawisk podobni wnicali jedni po drugich wgląd zaciemnionej budowy.

Żaden najlżejszy szmer nie przenikał przez ściany. Budynek pochłonał paruset ludzi, a trwał tak cichy, jakby nie mieścił w sobie najsłabszych objawów życia.

Johanen wiedział już o tem, że owa cichość jest nieodzowną przy sakramentalnym obrządku spożywania. Sam miał wydany sobie posiłek: chleb, sól i zaprawę z hyzopu. Jadł pomału w niewielkiej odległości od domu, w którym znajdowali się bracia.

Słuch tonął w ciszy, ale oczy spokojnem spojrzeniem chodziły po okolicy.

Na południe i zachód za przezroczystymi ścianami tamaryszek, granatów i palm przeświecały się żółte, piaszczane stopnie piętrzące się ku Engadi. Na wschód oaza zsuwała się soczystą przyziemną zie-

¹⁾ Stowarzyszenie.

lenią ogrodów warzywnych i sznurami winnic starannie pielęgnowanych. Morze Martwe wysrebrzyło się w dziennym blasku i leżało jak ogromna połyskująca tarcza upuszczona na złoto-płowy padół pustylny z rąk Boga. Skwarne powietrze przenikał zapach soli.

Johanan uczył, że wrychle będzie mógł to wszystko ogarnąć dłońmi olbrzyma i podnieść błagalnym albo ofiarnym ruchem do wysokości swej piersi tak obszernej jak świat.

Nie nawiedzały go już oddawna głosy Nabijim¹⁾. Był pozostawiony sam sobie i trwał jakoby chwilowo zawieszon w świetlistej mgłę.

Banas i Eldad wykładali mu to, co nowicjusz mógł i powinien był wiedzieć, odsłaniali ostrożnie rąbek uprawianej przez braci nauki...

Cicho bulgotało gorące źródło, wylewając się cienkim strumykiem między białe kamienie i kępy wiotkiego ziela. Rosnące w pobliżu drzewo granatu rozpinało nad głową mówiącego Banasa pyszną osłonę. Johanan siedział w słońcu nieczuły na upalenie. Był dzień świętego sabatu, który wszystek obracano na słuchanie słów wieczystej mądrości; bracia wtajemniczeni zbierali się w tym celu w głównym budynku, trwając w nim do wieczora, zaś nowicjusz pobierał naukę na zewnątrz gdzieś w cieniu drzew i w należytym odległości od nauczyciela.

¹⁾ Prorocy.

Banas trzymał podniesioną dłoń, przez którą światło się przeświecało i także radośne światło zdawało się przenikać głos jego, gdy mówił przyciszenie, a uroczyście:

— Hasza'im... Albowiem zaiste godniśmy pielęgnowania tajemnic i mamy je powierzone sobie — takowej doniosłości, że serce upada w proch ze czci... O pismach naszych dzisiaj ledwo napomknąć ci mogę, że uwielbiamy je jako świętość równą pięcioksięgowi Moszeh¹⁾. Z czasem, a... może nawet dość rychło otworzą się uszy twoje na usłyszenie pierwszego, szczęśliwego zaklęcia mocy... Ale, bracie, już nynie uraduję cię oznajmieniem: nie tylko onego pisma stróżami jesteśmy — milczącemi przed światem. Chowamy skarb: napierśnik Mojżeszów, który był także na ciele Aaronowem... I... jeszcze więcej... Zatrzymaj oddech, gdy będziesz słyszał, pohamuj uderzenia serca, by nie mąciło przepastnej ciszy uwielbienia najświętszej rzeczy...

Tu głos Banasa opadł do szeptu i wymawiał wyrazy powoli ze drżeniem pełnem wewnętrznego szczęścia, które pierś rozsadzało... — Nie zginęła wszystka tajemnica Szekiny²⁾, złożona ongi w Arce Przymierza... Gdy odjęta była Arka ludowi w babilońskiej niewoli, nie niszczała z nią wszystkość tajemnicy, przez którą objawia się Szekinah... Mniema Izrael, iż tak się stało, lecz nie... Jenó, że już nie godzien w ca-

¹⁾ Mojżerza.

²⁾ Obecności Boskiej.

łości swojej Izrael... Nielicznym, oczyszczonym, stróżom przysięgłym część tajemnic najdroższych w pieczę oddana... Nam! Zgłuchnij w sobie na wszystko prócz odczucia nieskończonego wesela...

Ale wbrew nakazowi z piersi Johanana wydarł się nagle krzyk krótki:

— Przecz ukrywacie... dla siebie?

Zdumiał się Banas tak bardzo, że nie od razu potrafił odpowiedzieć...

— Wszakże mówiłem ci, że niegodzien jest w tym czasie Izrael... Wszakżeś pouczony o potrzebie i dostojęństwie czystości? Rozważaj, coś usłyszał i rośnij przez to w mądrość i szczęście...

Oczy jego z pewnem zmaceniem badały surową i dziwną twarz ucznia.

A myśl Johanana właśnie dygotała w świetlistej mgłę, poprzez którą wieszczy słuch już usłyszał nadchodzenie czegoś, co mgły te roztrąci. Ramiona przeżyły się, jak gdyby już podnosząc wszystkoś okólną do piersi obszernej jak świat. Naciskająca gotowość wyrwała mu z gardła ten krzyk. Dopowiadała się skarga spragnionej ziemi, miało się co rychle dokonać wyniesienie wszystkich skarbów pod słońce... A więc dlaczego ci ukrywają?...

Od tej chwili stało się uczniowi niedostatecznie w tem gronie cichych, rozmyślających i czystych. Prócz tego zachodziła w nim jeszcze pewna wielka odmiana. Otworzył mu się wzrok wewnętrzny na ca-

łokształt przeszłego życia. Poznał, iż dotychczasowem zadaniem jego było: brać w siebie głosy, zaś teraz poczuł się onemi napelnion i uświadomił sobie rozpierającą mu łono konieczność przemówienia... Nie wiedział jeszcze jak...

Niedługo potem, późnym wieczorem do głównej osady Engaddi przydzwigali dwaj bracia trzeciego, który był chory. Nieśli go z dość daleka, albowiem na dwa dni przedtem zakolał był do ich domu, położonego u wnijsia do Beteleemu. Dowlókl się tam z Jeruszałaim o własnej sile, ale to uczyniwszy, całkiem zaniemógł. Przetrzymali go bracia u siebie, pielęgnując przez dzień, ale iż wyraźnie żądał umrzeć przed oczyma starszych w Engaddi, nazajutrz do dnia puścili się z nim w drogę. Banas i Hamar, którzy słysząc głosy wstępujących w ciemną gęstwinę palmową, wyszli byli z pocho-dnią, rozplakali się, poznawszy chorego. Niebawem rozbiegła się wieść po osadzie, że oto przyniesiony umierający brat Eliud, którego kamieniami pokaleczono w Jeruszałaim.

Od Wielkiej Rady zapowiedziane miał sobie, że nie wolno mu krążyć dookoła miejsc świętych pod groźbą śmiertelnej kary. Wbrew temu znalazł się był kiedyś w pobliżu bramy Suzan. Prawdopodobnie zawiodła go tam melancholijna, najgłębsza zaduma, w którą często popadał, nie wiedząc już wtedy nic o swych czynach zewnętrznych i krokach.

Błądzącego dostrzegli uczniowie Jonatana Ben Uziel i na mniemane zuchwalstwo wzburzeni cisnęli weń kamieniami z zapalczywością.

W Engaddi przeżył jeszcze parę tygodni, nawet z początku zdawał się nieco poprawiać na siłach. Bracia leczyli go starannie ziołami, których własności przedziwne znali jak nikt w świecie.

W popołudniowych godzinach, gdy żar przygasał, wychodził chory na wonne stoki, aby zażywać słodczy dnia w złotym spokoju. O tej porze napotkał go tam kilkakrotnie nowicjusz i mówili ze sobą.

— Patrzaj na mą nędzę cielesną — szeptał Eliud — odchodzę!... Nie mogłem zdzierżyć uderzenia kilku kamieni... Byłem uprzednio wyczerpan postami. Zresztą nie posiadałem nigdy krzepkości ciała... Odchodzę, opadam jako kwiat zwiędnięty, niepewien, czylim dostąpił zapłodnienia przez Ruahha-Kedesz...

— Niepewien jesteś? — zapytał Johanan, obejmując go wzrokiem sędziego.

Starszy mieszał się z nagłym poczuciem bólu. — Tobie to tylko mówię, aczkolwiek jeszcze wiele rzeczy masz przed sobą zakrytych... Ale gdym spojrzał na oblicze twoje, stało się coś, że do ciebie to mówię... Wytrwaniem w czystości ciała osiągnęłam Chasidut, a pokorą i odrazą do grzechu ten stopień, na którym się otwierają oczy wewnętrzne

i człowiek żyje w Duchu... A jednak niepewność mię chwilami zejmuje, czy nie jest to aż potąd upragnieniem jedynie i przedsmakiem?... Ja, wątły kielich czyliż w istocie... zawieram?... Stało się, iż nie doznaję należnego wesela i w niepewności kwiat mój się zsyca... A jeśli się nie podźwignął do grona wybranych, cóż będzie z trzecim stopniem, z najwyższym, ze zmartwychwstaniem?... Kiedy przyjdzie wielki poprzednik Mesjaszów, potężny Elijah...

Nie dokończył, gdyż Johanan odwrócił się odeń nagle z podniesionymi ramiony, jakby porwany prądem silnego wichru. I zdawało się, że upadnie przed kimś niewidzialnym na twarz. Gdy po chwili znów spojrzał na Eliuda, twarz miał zupełnie białą.

— Co ci?

— Objęło mię jego tchnienie...

— Czyje?

— Którego imię nazwałeś...

— Eljasza?... Eliud zatrząsł się wszystkim ciałem: — Zali ty wiesz, co mówisz?...

— Zawszy wiem, jeśli mówię — odparł tamten spokojnie i twardo.

Eliud omglonemi oczyma wodził po jego postaci...

— Możem dlatego musiał wyznać przed tobą — zaszeptał. — Nadzwyczajnym cię widzę... Ty dotrwasz, ty osiągniesz i będziesz w kole wybrańców, gdy początek zmartwychwstania obwieści — Eli-

jah... Wybrani zmartwychwstana, wszyscy wybrani!... I owóż kto krom tych?... Szczęśliwym jesteś ty, bracie...

— Już nie długo przebywać tu będę — rzekł mu Johanana z przeświadczeniem.

— Jakto, o bracie?

Z ust Johanana wyszły słowa spokojne, twarde, potępiające:

— Pielęgnujecie czystość w odosobnieniu i oto usługa wasza jako skąpe źródło miasta rozlewu morza...

— Czy nie wiesz, że rozproszeni jesteśmy po wszystkiej krainie i nawet w mieściech żywią nasi pobożni bracia strzegący się kupiectwa i czyści jak na pustyni?...

— Odrobinę nakryliście dłonią, aby jej pod tem było bezpiecznie... Ale oto przychodzi godzina, kiedy i bezpiecznemu wzdyma się serce niespokojną tęsknością... Oczyszczeniście, i odgrodzeni, i policzeni pomiędzy sobą, a wszakże zali wam dosyć tego?...

Spiżowy głos brzmiał nad głową Eliuda jak wołanie rzucone w wielką przestrzeń i w czas. Pochyliło się nisko czoło chorego, śpiętkę od gorączki wargi szepnęły:

— Może prawdę powiadasz... Usycha kwiat pielęgowany w samotnej czystości... Może niedostatecznem jest oczekiwać jako kielich wybrany zastąpienia Ruah-ha-Kedesz... Nie mów braciom — popro-

sił jeszcze ciszej. Ja, którym już posiadał ważne zakęcie anielskie, nie powinienem być z tobą w taki sposób... Ale stało się, że wylana jest tęsknota przez usta odchodzącego... Skarży się, który niezaspokojon odchodzi...

W niedługi czas po śmierci Eliuda nastąpił dzień, w którym Johanana został dopuszczon do obrządku wspólnej świętej kąpieli. Uroczystość odbyła się na północ od głównej osady, w miejscu, gdzie Jordan szerokim ujściem wlewa się do Gorzkiego Morza.

Gdy ogarnęła go fala srebrnawa, w którą wstał po barki, Johanana poznał, iż szepce doń tajemnicę początków: „Ja wodna toń wykołysalam to wszystko ziemskie życie. We mnie zaklęta na wieki moc odnowy... Dlatego zmazy zdejmuję... We mnie znak pierwobytniej jedności, a przez tę przybliżenie ku Promieniowi, który zeszedł w głębiny, aby żyły...”

Wczesny zaranek przedzierał się przez ostatki nocy. Poświata przenikała nurt, srebrząc go chybotliwie. Johanana głowę pograżył pod wodą. Oblało go to chłodne ruchome srebro i jeszcze nigdy niedoznanem uczuciem w jedno mgnienie odniosło kędyś na macierzyste łono przedwiekowe i wieczne. Nie wysłowiona, sakramentalna moc uczyniła go złączonym ze wszystkim, co jest. Pierś napełniła się upragnieniem dla wszystkich, którzy stworzeni są... Gdy

po chrzcie wynurzył się z toni, góry Moabskie stały już w gorejących obrąbkach, a na Jordan kładła się łuska złota. Rozchylił Johanana wargi, przez które wyniknęło napisane już w sercu wezwanie: „Oczyszczajcie się wszyscy i chciejcie!”

Tejże nocy objawił mu się Nabi Elijah.

Jakby w obłoku zarysowała się postać i twarz męża. I zagnęła rozwidniło się dookoła od płomienistej jego włosów grzywy i gorejących ocz.

W pierś Johanana wstąpiła wiedza. Odlamało się i jak łupina odpadło dotychczasowe życie, które było słuchaniem. Odlamało się wszystko, cokolwiek jeszcze stanowiło cechę jednostki i właściwość ciała. Już nie odczuwał ciepła krwi, lecz przeżące się w żyłach wołanie. Wszechmocna, niepowstrzymana mowa napełniła kości i włókna cielesne, rozparła pierś, zaszumiała w mózgu jak wichur. Wszystek pragnący okół ziemi pomieścił się w tem łonie. Bezimienny, odcięty od ojca i od macierzy dostawał imię...

Obłok zdawał mu się teraz obwijać ramiona. Tuż ponad jego twarzą schyliła się twarz proroka. Uczuł nad swoim czołem płomienie jego grzywy, stopił się żrenicami z wielkim ogniem tych ocz...

Jeszcze na kilka godzin przed świtem złożył ze siebie białą szatę, oznakę przynależności do Zenu'im, zrzucił przepaskę i odłożył łopatkę. Wdział krótką koszulę z wielbłądniego włosa, odzież porzucaną przez biednego pastucha, którego litościwi bra-

cia wspomogli i zaopatrzyli, nalazłszy głodnym i słabym.

Pustynny suchy wiatr owionął żylaste ramiona i nogi, i włochatą pierś w pół odkrytą. Oddały się temu tchnieniu członki odarte z odzieży, pragnące nagości surowej i kornej, która nic nie ukrywa, a bierze na się wszystkie ukąszenia żaru i chłodu.

Świtało, gdy wędrowiec znów wyszedł nad brzeg Jordanu. Morze Martwe połyskiwało w oddali ku południowi. U rzeki krzewiny oleandrów i gąszcze młodych, cienkich topoli świeciły się bujną rosą. Ptactwo poczynąło świergotać radośnie.

Kilka mułów i osłów pasło się pod opieką słujących, a dwaj mężowie w dostatnich płaszczach podróżnych siedzieli tuż nad nurtem w cichej zadumie. Byli to Natanael i Nakdimon.

Gdy wystąpiwszy z zarośli, stanął przed nimi, Natanael poznał go i zdumiał się niepomniernie:

— Tyś jest?... Albo mię oczy tak bardzo mylą. Pomnę, zapowiedziałeś, iż nie odezwiesz się na swe miano syna Zacharji... A przeto jak cię dzisiaj nazwać? Ktoś ty?

— Jam jest Głos Wołający — odpowiedział, mówiąc swe imię.

ROZDZIAŁ V.

Kochankowie.

Kajafa był arcykapłanem. Zadukim odnosili się doń niechętnie i podejrzliwie, Peruszm naogół wyczekująco, on sam, szczególnie w początkach swojego wyniesienia, bardzo wyraźnie i bardzo niecierpliwie szukał zbliżenia z Kannaim. Nawet Annas zaniepokoił się był wtedy względami okazywanymi przez zięcia niespokojnemu Jakóbowi Ben Juda. Jednakże dosyć rychło przyszło do nadwreżenia, jeśli nie do zerwania owej przyjaźni. Powodów dokładnie nie wiadano, chodziły pogłoski, że obaj będąc gwałtownej natury, starli się w jakimś wielkim wybuchu.

Jakób, może wskutek owego starcia wyjechał do rodzinnej, wsławionej męstwem ojca Gamali w Gaulonitis. Doraźna przyczyna troski minęła i Annas triumfował, świecąc twarzą wyniosłą i złośliwą.

Największą rozkosz sprawiało mu teraz poczu-

cie pewnej przewagi nad Waleriusem Gratussem, tym samym, który go z dostojenstwa był złożył.

Prokurator musiał rozumieć, kto za Kajafą stoi i rządzi, a wszelako już nie śmiał nic zmieniać. Izmael Ben Fiabi i również niedołężny Simon Ben Kamitos przesunęli się tylko jak nikłe cienie, niezdolni wyrobić sobie miru u ludu i nie dający żadnej rękojmi na wypadek wrzenia. A czasy były wciąż niespokojne. Zarzewie od epoki śmierci Heroda nie gasło i w głębinach ludowych bulgotało coś nieustannie, wypryskując przy lada sposobności. Prokurator nierad odwoływał się do wyższej władzy legata syryjskiego, albowiem mogłoby to nań ściągnąć zarzuty niedołęstwa i zawistnym dostarczyć pozorów do starań, by go złożono z urzędu. A urząd wielkorządcy, choć w jednej z pośledniejszych prowincji Imperjum, przynosił zyski obfite, więc żalby mu było.

Dopiero od chwili naznaczenia Kajafy poczuł mocniejszy grunt pod nogami. W tym zwichrzonym i skołatanim narodzie, którym pogardzał, lecz którego się jednak bał, zaczynało się nareszcie coś układać, grupować, ciążyć ku jednemu punktowi. Kajafa obudził pewne nadzieje, które ogniskując w sobie różnorodność pożądań, uczyniły chwilowe uspokojenie. A za Kajafą Annas uśmiechnięty lekceważąco dawał do zrozumienia, że z utrzymaniem nadziei owych w wędzidle poradzi sobie, jeżeli chce i pokąd chce...

Szczególniej w sprawie usunięcia się Gaulonity, potrafił bardzo jasno okazać Gratusowi, komu ten arcypożądany wynik przypisać należy i coby nastąpić mogło, gdyby wicherzące żywioły nie miały przeciwwagi — u szczytu.

Codziennie bywał teść w domu zięcia. Czasami mówił do Kajafy niewiele, nic prawie, ale przesuwiał się w jego obecności spokojny, dumny, lekko szyderczy, w ten sposób dzień po dniu powtarzając dotknięcie swego wpływu na słabszą duszę. Potem ilekroć wspólnie występowali w sprawach publicznych, w stosunku do prokuratora albo na Wielkiej Radzie, był pewien siebie, czuł ją całkowicie w swym ręku, tę burzliwą, krwawiącą się i smutną duszę Kajafy.

Annas wogóle przeżywał dni upojenia. Dzięki jego planowym długoletnim zabiegom Sanhedryn coraz bardziej wynosił głowę nad topiel poniżenia, w którą wtrącony był przez gwałty Heroda i rzymską niewolę. Już oczy żądzy widywały — w przyszłości i spragnionem marzeniu — na głowie tej koronę...

Niekiedy cierń przelotnie kłuł serce. Poganie dotychczas posiadali w zawiadywaniu swoim uroczyste szaty arcykapłańskie, a była to w obliczu ludu wielka sromota i dopokąd trwać będzie, Kohen-ha-Gadol nie pozyska tego pełnego znaczenia, od którego już tylko jeden mądry, w porę stawiony krok...

Annas, nie zrażając się, działał w tej sprawie.

I właśnie okoliczności poczęły pomyślnie się składać. Prokurator miękł, zdawał się już rozumieć, że warto w tem dogodzić ludowi.

Aż przyszedł dzień, w którym dość wyraźnie dał do poznania, że nastąpi to pewnie i wkrótce.

— Ufam, iż zyskamy wzajemnie na stosunku przyjaznym i — że się nie zawiodę na tobie... — rzekł do Annasa.

Działo się to w jednej z przecudnych komnat dawnego pałacu Idumejczyka. Prokuratorzy zajmowali go teraz, ilekroć na dłużej albo krócej przybywali z Cezarei do Jeruszałaim.

Cedrowy sufit wyłożony w misterny rysunek skrzył się łagodnie, odpowiadając półświatłu wpadającemu ukosem przez portyk, którego kolumnada zastępowała tu czwartą ścianę. Złote i srebrne sprzęty: stoliki, krzesła i ozdoby szerokich ław do spoczynku grały odpowiedzią mocniejszą, lśniły się, migotały. Jak kwiat delikatnej bieli wykwiwały wśród tego przedmioty z kości słoniowej. Gorzała purpura tkanin zaściełających ławy. Rozchodził się zapach wonności, ponalewanych w pyszne amfory...

Annas wonność z lubością wciągał w lekko rozdęte nozdrza, wzrok sycił bogactwem świetnego otoczenia. Z przyjemnością, aczkolwiek oględnie, przyjmował gościnę prokuratora. Strzegł się, by w mieście nie zauważono odwiedzin, coby mu przez Chasydim poczytane było za srom; rozkazywał się no-

sić do pałacu okólnymi drogami w zakrytej lektyce. Wynik był ten, iż szeptano sobie w domysłach tu i owdzie, ale stanowczo i głośno nie oskarżał go nikt.

Żegnając prokuratora, powtórzył z podkreśleniem tegoż własny wyraz wyrzeczon przed chwilą:

— Tak, wzajemnie, szlachetny Gratusie... To bardzo mądre słowo: wzajemnie... Na wzajemności trzymają się najpewniejsze rzeczy...

Gdy wsiadał do lektyki, podskoczyło mu serce prawie młodzieńczym rzutem. Ten przepyszny pałac, godzien zaiste mieścić w sobie li królów, będzież długo w używalności głupiego poganina? Przez wszystką świętość Izraela, nie! nie!

Nazajutrz po dniu tym ze szczególnie błogim uśmiechem obchodził dom Kaifaszów. Zięcia nie było, jakoby bawił w swym podmiejskim ogrodzie. Teść wciąż uśmiechnięty cichemi, sprężystymi krokami wszedł w głąb mieszkania. Miłował córę swoją Hecybah, jedynaczkę wśród pięciu braci, zwykł za każdą bytnością rzucać jej słowo łaskawe, czasami przez mgnienie pieścił dzieci.

Napotkały go w podwórzu wewnętrznym przy komnatkach niewieścich. Patrzały nań czworgiem oczu palących pod gęstwiną kręconych posępnie czarnych włosów. Dziad podwołał je i wziawszy ze sobą w izbę, siadł w krzesło i bawił się niemi przez dłuższą chwilę. Zadawał żartobliwe pytania, na któ-

re obaj malcy odpowiadali, wciąż spoglądając cokolwiek z podełba, a najwięcej wodził rękoma po kędzierzawych czuprynkach, przyczem myśli jego marzyły:

— Czem będziecie wy wnuki, a przez was — kim stanę się... ja?...

Czuł w sobie siłę triumfującą, która mu napewno pozwoli — jeszcze za tych w przyszłości układać, myśleć i rządzić...

Na tej zabawie z chłopcami zaszła go chmurna Hecybah.

Znał jej z natury kwaśne usposobienie, ale dzisiaj wydała mu się bardziej niż zwykle skrzywiona.

— Cóżes, córko, tak smętkiem zasnęła i zepsowała swą krasę? — zapytał.

Odpowiedziała trochę żałośnie, a więcej szorstko: — Nie miłuje mnie mąż...

Poraziło go to by gwałtownem uderzeniem: — Jakto, córko? O, jakto?

Usiadła przy nim na chwilę na niskim stolku ślicznie rzezanym: — Nie od dzisiaj to widzę, że miłowanie jego zbyt skape... Zaiste niejednokrotnie w to wątpię, czy kiedy pożałował mnie prawdziwie...

— Duszę ma posępną i mowa jego częstokroć smutna, dlategoć się tak wydawa... — uspokajał ją ojciec.

— Odpycha mię ta jego dusza — wyrzekła. — Nienawidzi dusza jego mych pieśczoł. Niemiłowana jestem w tym domu, gdzie zrodziłam mu syny...

— Przystroj się i pielęgnuj krasę — doradzał.
— Nie może to być, aby poniechał ciebie, mej córy. Któżby się w Izraelu ośmielił córką moją pogardzić! Zali nie masz dosyć ubiorów godnych i klejnotów po myśli swej? A jeśli i czego braknie, zaraz jutro przyślę ci nie pod miarą. Przyobleczesz się i ozdobisz...

Ale ona wybuchła:

— Oblokę się w nienawiść ku niemu i ustroję w gorzkość, od której uskoczy. Nie będę mu płaciła inaczej niż biore...

O tej samej godzinie wiatr pieszczotliwie rozchyłał gałęzie oliwek i terebintu, całował smukłe kielichy lilji, które rosły na długiej grzędzie przez Serafją z zamięłowaniem pielęgnowane.

Nieduży, ale dosyć bujny ogród Aramów znajdował się pomiędzy wielu innemi na stoku góry Oliwnej. W mieście świętem obyczaj nie dozwalał na sadzenie drzew w większej ilości; samowolny wyjątek stanowiło przepyszne otoczenie pałacu Herodowego. Zamożniejsi, a nawet mniej zamożni mieszkańcy posiadali sady po za murami. Szczególniej ulubionem po temu miejscem była dolina Cedronu i skłon stojącej ponad nią góry. Widziało się tu wstępujące łagodnie obfite, zielone gąszcze i kręte wstęgi szarych, kamiennych murów odkrawających jedną posiadłość od drugiej.

Serafja zwolna podniosła głowę, odrywając

wzrok od ulubionej swej grządki, którą właśnie poczęła była z jakichś drobnych chwastów oczyszczać. Zanim podniosła, wiedziała, że ktoś na nią spogląda i że oczyma odpowiedzieć mu musi.

Nie zdziwiła się, ujrawszy postać Kajafy. Był bardzo blady i piękny we wzruszeniu, które przelaływało mu po obliczu jak błyskawica podskórna...

— Daj mi pić... — poprosił ją wielce cicho.

Nie sięgnęła do stągwi, którą miała w pobliżu, nie rzekła mu, iż opodał w jego własnym ogrodzie zapewne czeka nań służba z dostatkiem chłodzącego napoju. W milczeniu zerwała kilka śnieżnych wysmukłych lilji i podała mu je obiema rękami.

Wziął pęk białego kwiecica do piersi, a potem do ust, jakby się miał niemi orzeźwić. Aliści wnet potem rozplótł dłonie, lilje upadły, a głos głęboki wymówił:

— Nie dla mnie uspokojenie...

Serafja nie doznawała żadnych wstrząśnięć sumienia. Arama pod tę chwilę nie było w domu, udał się z Lazarusem do Jerycha, a może i dalej jeszcze do Betsaidy za Jordan, albowiem z okolicy tamtej nadchodziły w tym czasie jakieś przedziwne wieści. Ale gdyby nawet mąż patrzył na nią, nie miałaby, zda się, ani wyrzutów, ani obawy. Nie niosła ją do Kajafy żądza rozkoszy; namiętność, którą miała ku niemu, paliła się w straszliwych godzinach tęsknoty, gdy ją, rozkochane dziewczę, odtrącił i jeszcze długo

potem, kiedy sieroctwo przyniewoliło ją do poślubienia Arama. Może — nie wypaliła się całkiem, lecz się przelała w coś odmiennego.

Przez lata całe w domu mężowskim nurtowało ją głuche poczucie, że się nie dopełnia coś, co być musi, co było przeznaczonem... Podkładało się to przemożną podstawą pod wszystkie jej myśli i czyny. Pragnęła, czekała, szła ku czemuś wszystkimi dniami życia. A przeto nie zadziwiła się, gdy się stało... Gdy prąd przyniósł ich znowu do siebie oko w oko, nierozłączonych sercami, krwawych niezgonem rozdarcie poszarpanej młodości...

Jej był... Wyznaczon, od początku oddany przez jakoweś najświętsze, najgłębsze, żywe prawo... Poczynano się teraz wypełniać... Iść z nim będzie aż do pewnego, już w przeczuciu wiadomego kresu. Pójdzie z jego duszą i dołą, oplatając je miłowaniem rozpacznie wiernem, błagalnem i trwożnem...

Widywali się prawie codzień, najczęściej w jej zacisznym ogrodzie pod górą. Czasami wiódł ją obok do swego, który był obszerniejszy i piękny z rzędami drobnolistnych dębów i fig rozłożystych, z pieczarą wykładaną białym marmurem i zawsze pełną miłego chłodu.

Brał ją w ramiona z jakimś szczęściem tragicznem i upojeniem, w którym ciągle mieszkała świadomość bólu.

Wróciła doń kochanka wiosennych lat i leżała na

piersi jego, jakoby między dniem szczęśliwości zarannej, a spalonym południem dojrzałego wieku, przerwy w miłowaniu nie było. Nie dawali sobie prawie żadnych wyjaśnień, spotkanie i splot ponowny przecież nastąpić musiał, to wypłynęło z natury rzeczy...

Nieco później Kajafa urywanymi słowami wspominać zaczął, jak od dłuższego już czasu jej śliczna głowa wynurzała się przed oczyma jego we śnie i na jawie, jak widniała mu, kędykolwiek szedł, zawieszona w powietrzu, a paląca go smutkiem żrenic. Miał wrażenie, że oto sam wyrwał ją sobie z serca, które pustem zostało i rzucił przed się na udreczenie wzrokowi i tęsknocie.

— Mniemałem, iż nikogo i nic miłować nie mogę, krom Izraela...

— Pamiętam... — odszepnęła.

Dnia tego tulił głowę jej do swych piersi tak walcownie, jak gdyby pragnął wtłoczyć ją z powrotem w serce puste i krwawe...

— A teraz nie wiem, czyliś ty jest czem innem od miłości, którą kocham Izrael, czyli właśnie tem samem?...

— Nie rozdzielaj nas... — poprosiła.

Istotnie w tej podjętej na nowo pieśni kochanków spletało się w sposób, zda się, nierozwikłany uczucie osobiste z krwawiącymi węzłami nieszczęścia ludu.

Kajafa szarpał się w bezsilności. Było to jakby ręce jego w tym bezmiarze niedoli szukały czegoś, za co by chwycić się mogąc, dźwignęły wszystko: i upadła chwała Syonu, i gorzką miłość swoją. Owo coś musiało się kędyś znajdować, ale ująć go nie mógł. Dławił mu z zewnątrz duszę szydery ucisk Annasa, jednak to wiedział w głębi, iż byłby się zbyt tego wpływu, gdyby natrafił na rzecz upragnioną... Trysnęłaby od niej w niego siła niepowstrzymana...

Oto najwyższe dostojeństwo posiadał i widział, że dni uciekają wstecz po próżnicy...

Czasami cierpienie przywodziło go do stanu, w którym godziny miłosne zdawały się napięciem ostatniem męki. Serafja przytajała mu się w ramionach cicha od trwogi, a jego głos, w łkającym hymnie, wywoływał naprzemian najmiłośńiejsze dla niej imiona i nazwy, któremi uwielbiał Syon, rozpaczając nad jego dolą. Dochodził w tem do zapamiętania, że przerażona rzucała mu ręce na szyję z błaganiem: — Dosyć! dosyć!

Opowiedział jej kiedyś przyczynę, dla której z Jakóbem Ben Juda nie przyszedł był do bliższego porozumienia. Słuchała z zapartym tchem:

— Przejęło serce me obrzydzenie do małości tego człowieka. O, nędznik! Rozzuchwalił się snąc wspomnieniem, iż rodzic jego po śmierci Herodowej usiłował w Galilei ogłosić się królem... Nędznik! Gdy liczyłem, że stronnicy jego ruch wywołają...

— Przeciwno Romie?... — szepnęła.

Skinął głową.

— O, mój ty mężny! mój dostojny, mój najprzedniejszy!... Kto ci wyrówna w śmiałości? — I gorące usta przytuliła do jego rąk.

— Utęsknieniem strasznie tęskniłem do świętego szczęku żelaza, na zew którego przyjdzie Mossiah... Były-ć to przecie własne postanowienia i obietnice Kannaim... A wszelako, gdy chciałem, zwiódł mnie ów szalbierz Jakób Ben Juda, dowodząc, że lud nie ruszy się nynie, jeśli mu nie pokazać głowy naczelnej, że od tego zacząć potrzeba...

Zrozumiałem, do czego zmierza. I odepchnęło serce moje myśl, by w takim sposobie mizernym wyrazić to, co bardzo wielkiem być miało...

— Dobrześ uczynił! — rzekła śpiesznie.

— Bywa teraz, że nie wiem...

— Jakto?

— Gryzie straszne zwątpienie, iż nie doczekamy się Istotnego, Godnego... Strzegę miejsca jego na czele ludu, lecz jeśli się nie pojawi?... Opadną nadzieje świętego królestwa judzkiego do drobiażdżku jakim jest syn Gaulonity, lub inszy podobnej miary?

Serafja wpatrzyła się weń swojemi głębokimi oczyma; moc niezłomnego przekonania wystąpiła na twarz jej cudnym blaskiem, usta drżały wzruszeniem, gdy rzekła:

— Znajdziecie godniejszego...

Jakoś wkrótce po tej rozmowie rozeszły się pogłoski, iż Jakób Ben Juda powrócił do Jeruszałaim. Kajafie powiedział o tem sam Annas odrobinę niespokojny, a bardzo drwiący.

— Należałoby mu ułatwić dłuższe odpoczywanie... Zanadto się trzodzi... Należałoby wreszcie zabezpieczyć się od tej gorliwości nadmiernej... Dotychczas spoglądałem na to poniekąd przez palce, gardząc głupotą, ale odtąd nie będę. Rozkażę zagrozić mu... Nietrudno mi będzie udowodnić, iż działa jako Mesz¹⁾...

— Niechby tak działał... — zaszeptał Kajafa. O! niechby podburzał lud, lecz nie gwoli samemu sobie..

— Szalejesz... — odpowiedział teść chłodno. Proszę—ć porzuć niedorzeczności, za wysoko urosłeś, by stykać się z nimi.

— Jeżeli rosnę, to właśnie dorastam do tego. Nie ujarzmiłeś duszy mej, jak się zdawa... Nie wyrzucam, którą nazywasz niedorzecznością, wtłaczam ją w serca głąb...

Annas rozważał przez chwilę.

— Synu, zaczął prawie łagodnie, dobro nasze jest wspólnem, triumf wspólnością będzie, nie powinniśmy zanadto spierać się o sposoby...

Położył mu rękę na ramieniu.

— Jeżeli potrafisz użyć Jakóba... Jeżeli miasto

¹⁾ Podburzający lud.

tłumienia potrafisz chytrze ująć w swe dłonie... Użyj i weź!

Kajafa wzdrygnął się:

— Nienawidzę szalbierza, odkąd wykryłem, że śni o królewskiej władzy!...

— On! on! — I Annasowi wybiły na twarz krwawe rumieńce. — Przypomni¹⁾ sobie chwilę zamieszek, kiedy nikt nie miał powagi... — Nikczemny głupiec! Nikczemnik! O nikczemnik!

Uniósł się i krzyczał chrapliwie. Przed niedawnym czasem w takim wypadku byłby jeno gardził szaleństwem, ale teraz serce jego wzdęte nadzieją zadygotało jak od ukłucia i buchnęło ogromem złości jak przeciwko osobistej obrazie...

— Podły! — powtarzał. — Gad bezwstydnny, który głowę podnosi! Głupiec! mniema, iż dopuszczonem mu będzie utrzymać ją podźwignioną bodaj na jedno mgnienie... Trzeba zdeptać go jak najrychlej, zniweczyć, zetrzeć stopą...

W tej chwili przebiegał przez komnatę maleńki synek Kajafy. Dziad porwał go pod ramionka. — Twoje prawo! — wołał do zięcia. — Twojej krwi to przypadnie w udziale. Jeżeli nie zdołamy rzeczy tak poprowadzić, abyś ty sam to osiągnął, tedyć niechybnie jedno z twych dzieci... Ty, albo syny twoje... Patrz na swe dziecię!... — I podsunął twarzyczkę malca tuż pod ojcowskie oczy.

Ale ręce Kajafy szarpnęły dzieckiem i odrzu-

ciliy ie precz tak gwałtownie, że potoczyło się z płaczem żałosnym. Z piersi wyszedł krzyk przyduszonego: — Zabiłbym, gdyby się na to ważył! umierający przekląłbym syna, gdyby zakiełkowało w nim takie pragnienie. Strzegę miejsca... Ustrzegę!... Biada temu, ktoby się targnął! Przekleństwo mojej krwi, jeśli sięgnie... Nikt nie będzie królem syońskim jeno on, dla którego miejsce przysposobione, Mosziah!...

Jakób Ben Juda szukał dostępu do domostwa arcykapłana. Usiłował się z nim zobaczyć na osobności, w cztery oczy. Przez pewien czas zabiegi skutku nie odnosiły i Kajafa posłał szukającemu dumną odpowiedź, iż ma go za męża wyzbytego wartości, a przeto mówić doń nie widzi potrzeby. Aliści któregoś dnia wódz Kennaim urzeczywistnił swe chęci. Zdybał dostojnika wstępującego z wolna na schody ku Złotej Bramie świątyni. Wracał Kohen-ha-Gadol z zamiejskiego ogrodu i mało służby miał z sobą; siedł pogrążon w półbolesnej słodyczy, którą mu dały wonne objęcia Serafji, ogień jej pocałunku niósł na ustach jak pieczęć...

Ben Juda uchwycił go za brzeg płaszcza. — Odał pacholków — wymówił; — przynoszę wieści poważne...

Usta Kajafy drgnęły odrazą, w oczach zabłysły współcześnie podejrzliwość i żądza usłyszenia. To ostatnie przemogło, skinał na służy. aby ostali się w tyle.

Jakób wtedy powiedział śpiesznie:

— W Galilei szepcą o nadzwyczajnych zdarzeniach, rozchodzi się cichy gwar pomiędzy ludem... Można przypuszczać, że już dojrzewa czas... Obawiałeś się, aby... jego miejsca kto nie wziął, owóż może... już sam nie daleki? Może da się w imię jego... rozpocząć?...

— W Galilei?... — odrzekł wzgardliwie Kajafa. — Zali nie bredzisz? Czemże jest Galilea!

— Mówię ci, że należy to wziąć pod uwagę... Ja wezmę! Ja ci mówię!... Zbliża się, czegoś pożałował... Nie dajesz wiary?

— Nie daję tobie... — odpowiedział posępnie Kajafa.

Jakób odwrócił się odeń bez słowa i zbiegł po schodach.

Ale w sercu Kajafy pozostał od tego spotkania wielki niepokój. Nadaremnie Serafja kładła mu na pierś lekkie i ciepłe dłonie; nie uciszały szamotania się w niepewności. Myśl jego nie ufała zasłyszanej powieści, ale tęsknota niepomierne żądała, by w tem coś prawdy było.

— Nasłuchuje ucho moje we dnie i w nocy... — mówił z rozpaczą.

— Niech usłyszysz śpiew miłości mojej... — szepnęła.

— Piję śpiew ten i znajduję w nim właśnie to samo nasłuchiwanie!... Biada mi, że im bardziej na-

sycam się tobą, tem ogromniej woła pragnieni o nowy dzień na Syonie.

— I przeto naczyniem męki ci jestem zamiast dobrej ochłody... Napój mój wylewa się k'tobie jak płomień... — Nagle wczepiła mu się palcami w ramiona: — Pij ze mnie! więcej! więcej! Cierp i pragnij! pij żar! Umiłowany mój, pal się w mece... Otom ci wszystka podana jako bogactwo bólu... Przez dno pragnienia dotrzesz do źródła żywego... Wyczerpawszy swą mękę, najdziesz, gdzie źródło bije...

Była noc srebrna od światła księżycowego, kiedy doń przysła do domu. Uradował się, lecz i zdumiał ogromnie, boć pierwszy raz tak się stało. Wziawszy ze sobą służebnicę leciwą, wśliznęła się na zewnętrzne podwórze, gdzie jak wiedziała, lubiał przechadzać się o tym czasie. W izbach wszyscy już spali. Ujrzał ją wychodzącą z poza białej kolumny, a jeszcze bielszą niż ten marmur w srebrnej poświacie. Pochwycił umiłowaną w objęcia z cichym krzykiem. Podniosła ku niemu twarz bardzo jasną a rozperlona łzami radości:

— Jest... — wyszeptała. — Wielki mąż, wielki prorok... Może większy niż prorok...

— Gdzie? — zapytał ledwie mogąc przemówić. Czyżby... jak to Jakób Ben Juda donosił?...

— Nad Jordanem... — odpowiedziała. Wrócili... Aram, Lazarus. Widzieli... świadczą... Na pustyni koło Jordanu...

ROZDZIAŁ VI.

Chrzciel.

Dostojni i zamożni rozkazali byli pachołkom uczynić dla się znośne mieszkanie w obszernych namiotach. Zebrała się ich już cała gromadka: Natanael, Aram, Lazarus i Nakdimon rej wodzili pomiędzy niemi. Kilkunastu ludzi nieznaczących, uboższych przepędzało noce wedle możliwości; ten i ów budował naprędce rodzaj lepianki z mułu, nakrywając strzechą trzcinową. Wszyscy pozostawali tu od dłuższego czasu, a okrom nich rozchodzące się słuchy przyciągały nieledwie codziennie większą albo mniejszą liczbę ciekawych. Niektórzy zatrzymywali się, rozkładając taborem, inni każdorazowo przed słońca zachodem kwapili się ku siedzibom, albo w poszukiwaniu lepszego noclegu. Przeływała fala człowiecza, osadzając coraz rosnące koło stęsknionych. W wyteżonem sercu ludu izraelskiego poczynano z nieśmiałością uderzać tętno — osiągniętych już bliższych nadziei...

Niebawem wieść nadbiegająca z pustyni przybrała charakter wyraźny a bardzo dziwny, wprost nadzwyczajny. Mówiono: — Wszystkim, którzy przychodzą z wolą i skruczą, ten chrztu udziela...

Wstrząsnęło to tysiącami. Jakto bez osłony tajemnic, bez mozolnej, surowej służby dla nowicjusza? Rozradowanie przeleciało po tłumie pospolitych, niejednokrotnie wzgardzonych Am-ha-arez.. W wielu piersiach tłukły się boleściwe tęsknoty ku oczyszczeniu i dostojności życiowej; upragnienia poszybowwały teraz jak rój gołębi ku złotym piaskom ponad ujściem Jordanu.

Przypływ ludzki wzmógł się już bardzo i całe tłumy koczowały na miejscach ustronnych i pustych, gdzie można było usłyszeć przemawiający głos.

Który głosem był, wzbraniał się wyniść ku miastom, aczkolwiek przyjęłyby go skwapliwie zarówno z ciekawości jak i ze czci. Wysłańcom nalegającym nań o to, odrzekł surowo: — Nie wiecież, co zapowiedział o mnie nabi Izajah? Że na pustyni głos wola: prostujcie drogi Panu...

Prosili go kiedyś pokornie ludzie galilejscy zamilowani w wonnej, kwietnej i obfitującej ziemi swojej. Filip i Andrzej z Betsaidy byli w tem gronie. Serca ich gryzła tęsknota do domów, lecz jednocześnie przykuwała do miejsca moc ponadto silniejsza i którejby odjąć się nie umieli, chociaż jeno z nich samych wstała.

Więc mówił prośbami:

— Przyjdź do naszej krainy! Uśmiechniona jest i mieszkać w niej miło. Uczyń łaskę łęgom zielonym i ludowi, który ma serce łagodne. Przyjdź do Galilei, obaczysz, że godna tego...

Na dźwięk: Galilea, brunatne, posągowe oblicze omgłiło się niezwykajnem mu nigdy wzruszeniem. Niewiadomy dreszcz wynikł z wnętrza i zakołysał potężną postacią, kolana drżały. Odpowiedział: — Nie odebrałem rozkazu... Tu przebywać mam wyznaczone... Miejsce puste leży przed oczyma i uszami świata otwarte, a głos jak grzmot się tutaj rozlega...

Czasami wyruszał cokolwiek w górę rzeki, albo przeprowiał się na jej drugą stronę; co czyniąc, nie przybliżał się jednakże do miejsc zamieszkałych. Tłumy wszędy ciągnęły za nim.

Chrzcił...

Ranek tchnący świeżością młodzieńczą spoglądał błyskotliwie na przyrzeczne błonie mokre od ros. Perlilo się pod onem spojrzeniem. Potężny, surowy mąż stał nad maluczką zatoką, w którą wlewały się wody Jordanu. Pragnący obrządku wstępowali w oną po pas. I wtedy z rąk Chrzciciela oczyszczający strumień trzykrotnie spływał na głowy, a z ust przychodziły wyrazy, które się nad czołami ludzkimi przetwarzały się w moc sprawiającą drżenie najgłębsze serc... Przychodziły słowa niezwykłe, by

przez Cherubim i przez Serafim błogosławieństwo Najwyższe oblekło Nefesz i Ruah i Neszama¹⁾...

Natanael patrzył od progu swego namiotu. Wpółleżał na kobiercu, mając ręce zaciśnione na piersiach, w których kołatały gwałtownie niepokoje i zdumienie. Obraz ogarniał nieco z góry, gdyż namiot był na niewielkiem, już piaszczystym wzniesieniu. Widział zatoczkę w cudownej ramie krzaków oleandrowych, kwitnących różowo. Widział korne postacie ludzkie, jak jedne po drugich oddzielając się od gromady i z szat wierzchnich zwleczone przystępowały do Męża i za rozkazem jego szły w wodę. Światło całowało graniem złocistem brązowe bary Chrzciela, kiedy się schylał, aby zaczerpnąć z toni... Tłum, zaległszy kołem obszernem, oczekiwał kolei.

Natanael nie potrzebował obrządku, był już od dawna ponad tym stopniem oczyszczającym i cenił sobie to wyniesienie jak klejnot, ale właśnie ponieważ cenił, serce się w nim targnęło niepokojem niewysłowionym. Nie rozumiał jak to być może, aby skarb z trudnością dostępny zagnęła rzucono otwarcie gromadom.

Upadł na złoty piasek cień nadchodzącego czło wieka; leżący podniósł oczy:

— Bądź szczęśliwy łaską u Najwyższego — powiedział go Nakdimon.

¹⁾ Nefesz — siła życia. Ruah — „spiritus“. Neszama — najwyższy pierwiastek duchowy, *jaźń*.

— I ty, i ty... — odparł Natanael skwapliwie.

Usunął się, robiąc miejsce gościowi.

Nakdimon spoczął w ochłodzie płóciennych białych ścian:

— Jutro... do chrztu przystąpią: Aram, Lazarus i Józef z Arymatei... — oznajmił.

Zdawało się, że pragnie jeszcze coś dodać; głos mu się zachwiał.

— Z gminem pospołu!... — wyszeptał Natanael... — W pośrodku gminu... — przycisnął piersi rekoma.

— Rozumiesz-li, do czego to wiedzie? Grzmot wołającego Głosu wstrząsnął wnętrzości moje, dlatego tu jestem i czekam, aliści poczyną się plątać myśl moja — przecież do dróg tych nawykła, po których wznosić się trzeba...

— Aram, Lazarus i Józef z Arymatei... — powtórzył Nakdimon.

Jeszcze raz się zawahał, poczem dodał półgłosem:

— I... ja...

— I — ty?

— Może za tym idąc, nareszcie dojdę, kędy jest wszystka prawda... — wyrzekł głucho Nakdimon.

— Iść poczynasz i wracasz, wątpisz i nie dochodzisz — rzucił mu gorzko Natanael.

A tamtego twarz poczęła się mienić...

— Nie mogłem... waszemi sposobami!... — wybuchnął prawie z rozpaczą.

Z ust Natanaela wyszło długie syknięcie:

— Uląłeś się...

Krew zalała oblicze Nakdimonowe, aliści nie zaprzeczył. Purpura odpłynęła, ostawiając twarz trupio-błądą. Z natężeniem bólu i pastwiąc się nad swym wstydem, człowiek wyznawał: — Tak... uląłem się... Ja dumny uląłem się obelżywie tych przejść tajemniczych, których wylotu nie zdołała dobieżeć myśl moja...

Pragnąłem niepomniernie, a złamała mię trwoga.

Uderzała dusza skrzydłami z tęczy, kiedy przyszło obrzydłe wstrząśnienie. I ściągnęło z powrotem duszę do ciała...

— Pamiętasz Baltazara? — szepnął Natanael.

— Pamiętam łysą czaszkę, pod którą była wielka świadomość.

Pamiętam wszystko rozumiejące oczy... I upragnienie moje, by stać się uczniem Tajemniczego... I szczęście gdy dostałem zaszczytu... A potem... Uciążliwość prób pierwszych, które przecie z radością przetrwałem... A potem... Jam-li to był, czy nie ja? W ciele byłem, czy już bez ciała?...

Patrzę pamięcią w nieprzemierzone mroki długich podziemi; słyszę w pamięci przerażające łopoty i wycie, które śpiesznie nadbiega i nieustanny syk... Zwierają się wokół blisko, blisko, owinęły już

głowę, ramiona i piersi, wysysają mi do żył zastyganie ze strachu. Kosmatość potwornych łbów osunęła się na me członki zdrewniałe, uczułem na łonie rozdzierający szpon.

Ale dusza strach otrząsnęła i idzie... Zali w cielesnej odzieży? nie wiem! nie wiem! W obleczeniu powiewnem i lekkim, w płaszczu ze złożonych skrzydeł, które po próbie rozemkną się, by uczynić jestestwo człowieka jednym z Beni Elohim¹⁾...

Owo oddech wstający z nieprzemierzonych wód. Czarna noc; w czerni wilgotny, nieubłagany oddech; utopi się jestestwo w poczuciu ogarniającej zagłady...

Wzdrygnęło się jestestwo. Plusk nad głową... Noc weszła w serce... Rozwiąże się wszystko i zniszczeje, wróci się wszystko w prawieczne, ciemne łono.

Noc zalała myślenie.

I wtedy przyszedł strach — przeogromny jak człowiecza miłość ku żywotowi...

Targnął duszę z powrotem...

— Nie wytrzymałeś próby... — wyrzekł Natanael. Nie osiąga się dostojeństwa bez odwagi i bez mokołu.

— Niech będzie trud lecz pod otwartem niebem! — odpowiedział Nakdimon. Dlatego czepiam

¹⁾ Osmy z chórów anielskich, przynależny do Sefiry Hod, która wyraża wieczysty porządek rzeczy.

się tutaj nadziei... I gwoi temu poddam się obrządkowi chrztu. Zlej się na czoło me, jasna wodo!...

— I sądzisz, że ci to będzie tem samem? — spytał z drgnieniem szyderstwa Natanael.

Nakdimon znienacka dotknął go palcem w pierś:

— A ty? — zagadnął głucho. — Któryś przeszedł i doświadczył i osiągnął?

Natanael rzucił się gorączkowo: — Zcichaj, zcichaj!

Nazajutrz nad wieczorem po skończonym obrzędzie udał się do Chrzciciela. Ten siedział na sterczącym samotnie kamieniu, mając żylaste, bose stopy pogrążone w złocistym piachu. Jadł miód ze złotego plastra, przyniesionego przez któregoś z troskliwych uczniów. Gromady już się były rozeszły.

Oblicze Natanaelowe zwróciło się ku Mężowi blade i pożłobione niespokojnością, lecz oto porozumiewawczy uśmiech rozemknął wargi:

— Miód spożywasz... Przedziwnie się to składa, że gdy przychodzę pytać Cię o te rzeczy, oglądam pokarm, który szczęśliwym wiedzącym jest podawany¹⁾...

Oczy Chrzciciela przez chwilę patrzyły na mówiącego... Wreszcie nie odpowiadając mu wręcz, zauważył.

¹⁾ W misteryach Mitry znanych wtajemniczonym w Syrii i Palestynie.

— Nie oglądałem ciebie w gronie słuchaczy od kilku dni.

Natanael zasępił się:

— Mocowały się we mnie myśli, o których muszę w końcu otworzyć się przed tobą...

Pomnisz, że nawiedziłem cię, gdy byłeś chłopięciem na łonie puszczy w kwiecistym ustroniu?

Chrzciciel milczał, wciąż spoglądając ze spokojnem badaniem.

Natanael ciągnął:

— Mężem byłem, gdy ty chłopięciem... Wiedziałem, gdy przed tobą zaledwo roztwierał się świat... Azaliż nie dziwno ci, żem nynie wśród uczniów twoich?...

— Nie — odrzekł Chrzciciel krótko.

— Zaprawdę wielkim być musisz, jeśli tak czujesz swą moc...

I ja uczuвам ją w tobie... W przeciwnym razie zżymnęłoby się moje starszeństwo i nie stawałbym tu wśród prostaków...

Niech wynijdzie przed obliczność twoją ból, co mię gryzie...

Postępowałem za mistrzem, któremu obrał i uczyniona mi była przez niego wielka rzecz... Wyniknęło z osłon jestestwo, aby przeszło drogę i obaczyło... Stopiłem się z jednością wszystkiego świata w przedwiecznym, ciemnym żywiole wody... Wytra-

wionym jest potem w żywiole ognia, aby odpadło odemnie cokolwiek znikome... Znalazłem się zawieszon w powietrznej przestrzeni bez nijakiego oparcia dla samotności mojej¹⁾... Przewycięzyłem... I wtedy otwarły się oczy i uczy moje na związek wszystkich rzeczy...

Przyciszył głos:

— Ale ja ci powiem, ja powiem... Pamiętasz, co mówiłem chłopięciu? Izrael na tym świecie jest wzgórzem. Zali wzgórze wzniesione będzie niepożytecznie? Nie poto aby zeń można było wzbić się wyżej niż z dołu?

Rozwiane są kędyś rysy mistrza mego... Rozglądałem się po okręgu, gdzie mię ostawił i jest mi jakobym tkwił nad chmurami...

Szeptał:

— Aliści nie chce serce moje spoczywać w wiedzy o związku rzeczy. Wygląda mocy, któraby je jeszcze podniosła, aż w żywe upalenie ogniste, aż w świadectwo napełniające tętna nieprzepalonym radosnym żarem... Pragnie serce dolecieć przed obliczność Jedyne, ojca jedności... Nie zasycy się spojrzeniem Jego w kosmosie...

Mają wiedzę o Nim, ale radości z oblicza Jego płynącej — nie mają... Zaliż kto inny niż Izrael podola? nie Izraelowi-ż to wyznaczone? O, jakże cudnym będzie ten czas, gdy dusza izraelska wy-

¹⁾ Próby, przez które przechodzić musieli wtajemniczeni.

dźwignie mądrość na szczyt! Z Sodoth¹⁾ ojców naszych wyniknie wtedy ostatnie słowo.

Wołała tęsknica moja we dni i w noc: kto mi ukaże ze wzgórza izraelskiego wybudowane najwyższe wschody.

I napotkałem ciebie...

Ty świadom jesteś i przerosłeś swe mistrze. Spojrzawszy na cię, poznałem. Nie słyszałem, któredyś chadzał, ale poznałem po tej mocy płynącej od cię, ze wzroku twego i z każdego ruszenia. Uderzyła mię i znalazła w mem sercu odpowiedź. Zrozumiałem, że będziesz nauczycielem Izraelowi i światu całemu przez Izraela...

Ale oto poczynasz sobie tak dziwnie, że rwie się myśl, nie mogąc wnikać w powody. Przeciwno wszelkiemu obyczajowi w sprawach tych trudnych postępujesz, jakobyś nie dbał o święte przepisy!...

Wyciągnął rękę.

— Jakże to może być i dlaczego? Co czynisz? co czynisz? Tłumy, widzę, dopuszczasz, jakgdybyś nie miał dokonywać wyboru... Wyciągają dłonie i jest im dawane. Ze zdumieniem oglądam i z lękiem! Nie słyszano o tem od wieków... Przez wieki wypiaślowano święte sposoby. Ulituj się, mów co zamysłasz? Czy jakowys odmienny możesz zaprowadzić porządek? Gwoli czemu tak postępujesz? Mów! mów!

¹⁾ Z tajemnic.

Pobladła twarz wyrażała błaganie.

— Chrzest dam — odpowiedział pytany.

— Właśnie! bez uprzedniej służby i bez tajemniczych osłon im dawasz... Zaliż tych wszystkich zawieszysz na wyżyny?

— Niech wszyscy, którzy pragną, obmyją się w tej mocy, która ze skruszonego i tęsknego serca wytryska...

— Jakże to? — począł Natanael — tak rychło i całym tłumem?...

Lecz nagle twarz mu się poczęła rozjaśniać jakimś błogiem zrozumieniem:

— A może?... Czyżby... to? Ty mocen byłbyś dokonać takiego dzieła? Ze wszystkiego Izraela uczynić jakby jednego męża, który będzie na głowicy świata stojący, wtajemniczony?

Chwycił się za skronie i zakolysał całą postacią.

— O, jak pięknie! o jak świetliście! Izrael w obrębie świata tem, czem jest dzisiaj szczęśliwy wiedzący wpośród gminu... Ze wszystkiego ludu jedna postać ulana, jedna w nim myśl, jedna wiedza...

— Czy nie widziałeś pogan, w gromadach, którem chrzcili? — spytał Chrzciiciel.

— Byli?...

— Byli.

Dłonie Natanaela opadły.

— A więc nie to?... Mów, jaki zamiar cię wie-

dzie?... Otrzymałeś pozwolenie... odsłaniać? Jak to być może?...

— Pustynia leży przed oczyma świata otwarta, aby rzeczy, które się na niej dzieją, były widziane...

— Nie pojmuję, nie pojmuję! — krzyczał Natanael. — Dano-ć władzę do podcinania korzeni świętego hierarchicznego porządku, który wyhodowan przez wieki?... Zali wartość tajemnic może być obniżona?

— Nie bywałem w szkołach, o których mniemasz... — rzekł Chrzciiciel.

Wszystka krew odpłynęła od twarzy Natanaela, zbiegał straszliwie, z gardła wypadł jęk najboleśniejszej, najwyższej trwogi:

— Nie bywałeś... Niewiedzącemu — odkryłem! — Członki poczęły gwałtownie drżeć.

Chrzciiciel ściągnął prawicę i przez chwilę trzymał ją na ramieniu cierpiącego człowieka. Ciało Natanaela pod tem dotknięciem uspokoiło się i jakby stężało.

— Jaką moc masz... — szepnęły usta.

Mąż odjął rękę i Natanael zwałił się twarzą w piasek.

Leżał tak bardzo długo pozostawiony samemu sobie. Nie mógł słyszeć kroków Chrzciiciela, który odszedł, pograżając stopy w mial wyłożony ostatnimi blaski zachodu. Nie słyszał zgoła niczego, co przyływało od zewnętrznego świata. Okrywał go

chlód sztywnym płaszczem, pod którym członki drętwiały. Lodowata myśl wypełniła czaszkę: „Powiniennem zginać, bom wydał...” Rozpłynęło się we wszystkim ciele mrozące czucie: „Zginę...”

Wiedział, że umierali, którzy z wolą albo niewolnie odsłanili rąbek tajemnic uszom niepoświęconym. Rozumiał, że umierać musieli. Zgroza czynu popełnionego i pewność kary zjednoczyły się w zimno nieskończenie bolesne, szerzące się ukłuciami wielotysięcznych igieł...

Wtem od ramienia, na którym spoczęła była przez chwilę ręka Chrzciciela, przyszedł prąd ciepły. Tam, na owem ramieniu była jakby gorąca pieczęć, od której tajne strugi poczęły się saczyć ku sercu; tajało w uspokojeniu podobnem do nadchodzenia snu. Wzdął się cichy szloch i rozpłynął, nie dosiagając już nuty bólu. Zmęczona myśl dźwignęła się w osłupiałym podziwku ku Chrzcicielowi, zrodziły się niewyszeptane wyrazy: „nie wie, a wszystko wie...”

Mrok gęstniał. Rozciągnął się już był nad pustynią warstwą cichą a władną i zda się, przycisnął ciało człowieka do łona piaszczystej ziemi; utonął się, znikł rysunek oddzielnej postaci.

Poczucie nie zrównanej bliskości wpłynęło w pierś Natanaela. Głuche w zwykłych warunkach, a wielkie tętno pustyni mówiło teraz wprost do jego drobnego, smutnego serca. Przenikało we wszystkie

kości, rozegrywając je sobie jak struny tajemnicze. Wydało się człowiekowi, że musi leżeć tak przytłoczony, aż wszędzie dzień złocisty, ogromny, aby był wtedy na wielkim łonie wyniesion przed oczy świata i ukazany jako jedna z tych rzeczy, które dzieją się na pustyni.

W późną noc znalazł go ze sługami swojemi przyjaciel Lazarus.

Namioty posiadali sąsiednie; nie widząc wracającego, choć godziny płynęły, zaniepokojon, wiaższy pacholków, wyprawił się w głąb pustyni.

Szli z pochodniami, których płomyki za ledwo na maluczką przestrzeń rozdzierały opony nocy.

Nagle w pobliżu zamigotało jakieś inne, przyziemne, niskie światelko.

— Kto tam? — zawołał pachoł idący przodem.

— Galiilejscy ubodzy ludzie — odpowiedziały głosy.

Lazarus przybliżył się.

Ludzie rodmuchiwali słaby ogieniek. Załamane skaliste pagórki stanowiło tu ochronę, do której przyczepiona była mizerna ścianka; wytwarzało to rodzaj szałas. Przód otwierał się ku głębinom nocy.

Zjawiskowa, jasna twarz Lazarusa wynurzyła się w szczupłym kręgu ogniska:

— Czyście i wy słuchaczami? — spytał łagodnie.

— Tak! — odrzekli. — Koczujem tutaj, bo nie stać nas na schronisko lepsze.

— Szukam człowieka, który się odłączył i snąć zablądził, bo nie masz go do tej pory w namiocie... Nie napotkaliżecie wy zbłąkanego?

— Nie — odparli — ale możemy pójść z tobą i twą czeladzią, aby wam być ku pomocy.

Uradzili, że jeden z nich, Filip, ostanie przy ognisku stróżować, zaś dwaj bracia, synowie Jony, Andrzej i Szymon przyłączą się do gromadki.

Po upływie godziny jeden z pacholków natknął się na leżącą bezwładnie postać. Gdy oświetlono twarz pochodniami, Lazarus poznał w niej rysy Natanaelowe.

Znaleziony narazie nie dawał znaku życia.

— Zanieście go do naszego schroniska, przy ogniu łatwiej ocucić — rzekł Andrzej.

Czuwający u ognia Filip, spojrzawszy na omdlałego, zadziwił się: — Ja go znam! Widywałem. Z Galilei jest rodem.

— Tak — przyświadczył Lazarus.

Stopniowo rozgrzały się członki Natanaela, a oddech stał się głęboki i równy.

— Ostawmy go tak w spokoju; — poradził Szymon. — Przez sen powróci do mocy.

Jakoż ostawili go spoczynkowi sennemu, ułożwszy na pościelonym wygodnie płaszczu i w cieple od ogniska płynącym. Lazarus obok usiadł, cze-

kając, czeladź jego tuż za nim, zaś ubodzy ludzie jeli spożywać swoją wieczorną przez Filipa przysposobioną strawę.

Natanael, przychodząc do siebie, usłyszał głosy. Krążyła spokojna, ale uroczystością nacechowana rozmowa. Leżącego ogarniało jakoweś błogie, ogrzewające uczucie, przeto nie poruszał się i nie dźwigał powiek. Napływem cichej rozkoszy powracała świadomość. Nie była to jeszcze wiedza stanów i faktów ale sam żywiołowy szept życia i dlatego nie przychodził z tem ból, jeno rozkosz.

Coraz wyraźniej zaznaczały się dźwięki i słowa.

— Różnie o tem trzymają — mówił rozważny głos Filipów. — Powiadają niektórzy, iż jest prorokiem; prorokowałby gdyby chciał; nie czyni, bo nie chce.

— Są, którzy myślą, iż się to Nabi Elijah wrócił na ziemię... — rzekł Andrzej.

— Nabi Elijah wrócić się ma maluczko przed przyjściem króla, Pomazańca Pańskiego... — odezwał się jeden z czeladzi Lazarusowej.

Zapanowała chwila milczenia.

Potem głos Szymonów westchnął z wielką tęsknotą:

— Dłuży się sercu w oczekiwaniu tej chwili.

— Ja wyczekiwam spokojnie — oznajmił La-

zarus z właściwem sobie, przedziwnem, jakby dalekiem zabrzmieniem.

— Panie! co mniemasz o Mężu? — żywo zawołał Andrzej.

— Nadzwyczajnych rzeczy wyglądam... — odpowiedział, patrząc w dalekość.

Oczy Natanaela były teraz otwarte i spoglądał na siedzących w okręgu ognia, ale oni go nie widzieli. Obrócenie byli twarzami ku głębiom nocy; coś niesłychanie wielkiego zdawało się nadchodzić z pustyni. Wreszcie Andrzej przemówił:

— Może on czemś większym niżeli prorok...

— I zgoła... niżli Elijah... — odezwano się wśród czeladzi.

— Tak — stwierdził Filip.

— Dziwniejszego męża nie oglądano — rzekł Szymon.

Andrzej wyszeptał gorąco:

— Dlaczegożby to nie on miał się stać Wyglądanym... Królem — Wybawicielem — Mosziah?... —

Zawtórował chór westchnień, rozpierających piersi nadzieją.

Natanael dzwignął się nagle. Usiadł. Porwali się ku niemu, ale rąk ruchem nakazał milczenie. I on teraz patrzył w nieścigłość nocy. Po twarzy przelewały się fale niezmiernych wzruszeń. Rozprężało się serce. Zaliżby istotnie ten i dziwny i wielki nie mógł wyrosnąć na Najwyższego, Pomazańca, Chry-

stusa? Rozplątałyby się naówczas węzły wszelkich zawikłań, bowiem wszystko inne ustaje, gdzie królestwo swe rozpoczyna Mosziah... Niech wzmoże się Mąż i dosięgnie... Niech przetworzy się potęgą najwyższą, wyniesioną z wnętrzości ducha, wyteżoną nad gwiazdy, silniejszą niżli rwący bieg czasu...

Wargi słowem niewyszeptanem wołały: — Rośnij! rośnij!

A w tejże godzinie na obszarach pustynnych Mąż Chrzciciel wiodł rozmowę przeogromną sam z sobą...

Gwiazdy nikle świeciły zgubione w czeluściach niezgłębionego nieba.

Idąc wielkimi krokami, czuł w rękach, oną siłę, która zdławiła krzyk i dreszcz Natanaela. Wnet spotęgowała się do objęcia barków, i łędźwi, i nóg; napoiła mu wszystko ciało.

Zawsze kochał przemierzanie pustyni pędem władnym w te noce pełne spokojnej grozy. Ale dzisiaj stawało się coś innego.

Zatrzymał krok.

Moc rozpierała członki. Już nie od ziemi szła weń, ale od niego w ziemię i na wszystkie strony świata i wzwyż. Chód zmieniłby się w lot — gdyby chciał. Był źródłem siły.

Nasycał się szczęściem siły.

I wtedy roześmiał mu się w piersiach dźwięk pytający:

— I tybyś miał być — jeno Głosem?...

Uczuł na skroniach — boskość.

Którego od lat dziecięcych wychowywał sam Adonai, dostąpi teraz uwieńczenia godności swojej.

Rozkosz potęgi odpowiedziała:

— Już nie Głosem, lecz — Czynem...

W niewysłowionej ekstazie podniósł ramiona:

— Wybrałeś mnie!

Zrozumiał wszystko: wpierw Wsłuchiwaniami, potem Głosem, a potem...

Zatoczył ręką, jakby miał pod poziomem dotknięcia te tłumy, które chrzcił. Powiedzieć je... Był najprzeźrościej pewien, że zdoła je przewiać jak wicher i przeobrazić swą wolą.

Teraz widzi ku czemu dawanie chrztu miał kazane. Tęskny krzyk oczyszczonych woła o wypełnienie... Głos przeistacza się w czyn...

Przeświadczenie mową prawdy orzekło, że nie masz Godniejszego...

Oto stoi na obszarach pustyni: Czysty, nigdy chucią żadną ni słabością nie zmazan, twardy stoi, nieugięty i silny, przysposobiony...

— Ku czemu wybrałeś mnie o, El-hai?

Skronie poczęły gorzeć jak wieńczone kołem promieni. Ze wnętrzości wytęsknionej ziemi wydobyła się nazwa, z powietrza pełnego nadziei przy-

plynęła — nazwa i przyszła wyiskrzonym spojrzeniem z gwiazdzistych cudnych sfer...

— Ja-li, o, Panie?

Moc wewnętrzna odrzekła: — Tak.

Człowieczeństwo przestąpiło szczyt swój, iskra boskości rozpalila się w płomień, znikły granice mierzchołki i ciała... Tłumy stęsknionych uczuła pod stopami swojemi, podnosiły go i rósł na nich; wielowiekowe upragnienie wielu tysięcy owiewało go żarem szeptu: „Mosziah... Mosziah...”

Królewska najdostojniejsza pokusa położyła mu na piersiach swe dłonie...

Wtem na przestrzeniach ciemnego świata zarysowała się świetlista linia pozioma. Przecinała, gubiąc się w nieskończeniu... Objawiła się oczom jako uosobienie utęsknionego do płodności życia... Była jak jasny szlak widzianego w oddali oceanu... Była jak złota smuga nad wierzchołkami najwynioślejszych gór... Rozciągała się jak niewymowne westchnienie, które się samo podnieść nie może... Leżała — wieczyste pierwsza, zadrgania życiowego pragnąca, niezmierna myśl o bycie...

Dreszcz zgiał postawą Meza...

Zstępowała słoneczna linia pionowa... Łącząca wysokości z przepaścią... Najwyższa miłość twórcza, nieobjęta i niewysłowiona... Bez kresu w wysokościach i wśród przepaści...

Przecięły się... Na przestworzu zajaśniał świe-

tlny Krzyż...

Ramionami w objawioną wszystkość wwiódł
życie...

Miłość ku Najwyższej Miłości zalała serce
Chrzciciela. Z duszy, mózgu i wszystkich kropel
krwi w żyłach wydobyło się pełne, ofiarne, dosko-
nale świadome pragnienie:

Pozostać Głosem, który oznajmia Twój Czyn...

ROZDZIAŁ VII.

Dwór Antypasa.

Herodias chesała włosy. Były bardzo długie
i jedwabiste i posiadały kolor przedziwny, blado-
złoty, a zdawający się rozsypywać błyski i iskry.
Ongi babka Salome lubiła w nich zatapiać swe palce
drapieżnie rozkochane.

Pod ulewą tych włosów na mocnej, kształtnej
szyi kwitła twarz jak na judzką niewiastę niepospo-
licie biała. Rumieniec nie zabarwiał nigdy tych lic.
Zdawało się, że wszystka krew zbiegła w wargi,
lekko wydatne, które się na tej bieli czerwieniły pra-
wie boleśnie. Nos był cokolwiek orli; schodziły się
nad nim łukowate, zupełnie czarne brwi.

Była to twarz w spokoju delikatna i prawie
smutna. Głębokie, zielonawego odcienia oczy tały
się wtedy w sobie jak senna toń. Natomiast przy
każdem podnieceniu wybuchała piękność złowroga.
Białość prześwieślała się wówczas wewnętrzną po-
żogą, źrenice przeszywały jak ostrza, usta tryskały
krwią.

Znajdowała się dzisiaj w cichem i jakby marzy-
cielskiem usposobieniu. Odprawiwszy służebne, sa-
ma wodziła po złotych włosach grzebieniem z kości
słoniowej. Czesła coraz wolniej, aż palce jej przy-
stały w puszystych promieniach. Wtedy grzebień
precz odrzuciła i jęła z rozkochaniem rozczesywać
rękoma, jak ongi babka Salome...

Poczęło ją upajać i oszalać piękno własne.
Ekstazom takim podlegała częstokroć. Miłowała swą
piękność, a znała się na niej jak lubieżnik i smakosz.
Miłowała do szaleństwa każdy szczegół urody, oce-
niając go jednocześnie, a ściśle podług miary od-
działywania.

Teraz szeptała krwawemi jak zraniona żądza
wargami:

Słońce... słońce...

Podniosła się nagle. Luźna szata spodnia z naj-
cienszej, infantel tkaniny, osunęła się w tym ruchu do
biodr. Włosy opłynęły pysznie rozrosłe, a białe jak
marmur ciało, świeciły się na niem w olśniewającym
błyskaniu.

— Azaliz nie mam wspaniałości słonecznej? —
wymówiła z namiętą pychą. — Azalim pocałunków
jego niegodna?

Wyrzuciła ramiona ku górze:

Gdybyś miłowało mnie, gdybyś!
Schodziło marzenie, w którym się już kilka-

krotnie zapamiętywała do szału. Snił się na jawie
sen, że miłuje ją jak kochanek — słońce...

Przeolbrzymie mnóstwo promieni odwracało się
od oblicza ziemskiego, opuszczony padół zatapiał się
w ciemność i śmierć. Wszystko światło szło ku niej,
która była kędyś wyosobniona, sama ponad swia-
tem i życiem, w pysznej wzgardzie ku światu
i życiu.

Upalne, świetliste morze wznosiło się do jej
stóp. Promienie lasiły się jak stęsknione, błagalne
słowa kochanka. Potem jęły całować jak usta, które
z namiętą żądzą witają. Całowało ust tych tysiące
tysięcy, a pocałunek jeden był i ten sam.

Zapaliły się stopy od tego żaru, który napawał
rozkoszą dochodzącą do bólu i bólem, który tonął
w rozkoszy.

Dźwignęła się upalna straszna pieszczota do ko-
lan, pożerała ją bezpamiętnem głaskaniem. Dźwi-
gnęła się do biodr...

Wszystko ciało zatrzęsło się w krzyku miło-
snej męki...

Ale Herodias i wtedy nie zatracala swej pychy.
Olbrzymie, zielone, rozegrane szaleństwem oczy nie
nakrywały się powiekami. Żądała patrzeć mu
w twarz...

Ukazywał się w tem niezmiernem objawieniu
świetlistego pożaru. Spoglądał żrenicami, które ni-
gdzie były i wszędzie. Śmiał się do niej okrutna,

rozpasaną bezdenną władzą, która śmierć w szczęściu daje...

Oczy jej poczynaly się teraz krwawić od straszliwego blasku. Ogień wypijał z nich wzrok już niemocen opierać się temu dłużej... Ogień wyžerał wonność miłosną z ust buchających szkarłatem...

Ogrom rozżarzonej światłości runął na pierś i na głowę...

Znikło wszystko, roztopiło się wszystko w najwyższym słonecznym warze...

Po długiej chwili przytomność powróciła. Sen opadł jak ta u stóp leżąca potargana koszula. W świadomości były jeszcze łyzy krwawe wytoczone z żrenic w ekstazie...

Wzrok uderzył w przestrzeń i spoczął na błękitach jeziora...

Zewnętrzna ściana górnej ulubionej komnaty roztwierała się, czyniąc oddrzwia obszerne. Wyrastały po obu stronach po dwie kolumny prześliczne z głowicami jońskimi; środkiem widniał ukazany jak w ramach widok na okolicę.

Jezioro galilejskie kołysało się w obrębieniu wzgórz płonących dojrzewającym zbożem. Nieco ostre wierzchołki przeciwległego brzegu Gaulonitis łagodziły się pod tą barwą złotawą. W odstępach pomiędzy pasmami pól nachylonych spływały polaćie winnic, zieleniąc się szmaragdowo.

Woda ciemno-niebieska oddychała przedziwnie spokojem i ochłodą.

Od czasu do czasu pomykały łagodnie białe żagle statków różnego kształtu i rybackich łodzi.

Oszalałe oczy Herodias kołły się stopniowo. Już czuła na powiekach jakby musnięcie drobnych fal orzeźwiających cudownie i dobrotliwie. Wołała teraz drugiego snu — o czystości.

Przychodziło umiłować niewiastę Jezioro... O, jak łaskawie perliły się pocałunki z kropel cicho dźwięczących na rozgorzałym ciele! Jak miłościwie ochładzające westchnienie zdejmowało z ramion spiekotę!

Świat całkowicie znikł za przesłoną wód lejących się tęczowymi mgłami. W uszach miała szept nieskończenie wnikliwy... Toń wzdeła się i gubiła głową, gdzieś w niebie...

— Kochanku mój... — szeptały ukojone wargi niewiasty.

Wodził po postaci jej dotknięciami, które omywały ją ze wszelakich zinaż. Brała w siebie czystość — na chwilę. Oddawała mu dorobek życia swojego — grzech podobien do ognistego owocu i ze szczęściem widziała, jak rozemdlewa się to w przezroczej topieli.

Na piersiach grało przenajśłodsze pluskanie rozmiłowanych fal.

Nie było nigdzie nikogo, tylko ona i ten, któremu się oddawała, a który wypełniał świat...

— Ukaż mi oblicze swoje... — prosiła.

Niewysłowna zjawia zamigotała, rozwiewając się w temże mgnieniu. Szeleściały kaskady wielotyśiecznych szeptów jak łzy... Była chwila, że w sercu jej leżało widzenie.

Wyciągnęła ramiona do kształtu.

Spotkała próżnię...

Zwaliło się pyszne ciało Herodias i wśród zwolów podeptanej koszuli dygotało w ogromnem, namietnem, nieprzeplakanem szlochaniu.

Wbiegły na palcach ulubione służebne, Jezabel i Dinah. Przykucnąwszy z przestachu, poczęły z pewnego oddalenia sypać na nią garściami — kwieciami. Czyniły to rytmicznie a wprawnie, znać było, że nie raz pierwszy używają tego sposobu.

Jakoż Herodias uspokajała się, aż ucichła. Gdy rozgarniając róże i anemony, podniosła głowę, miała już twarz jak zazwyczaj — subtelną i smutną.

— Odziewajcie mnie! — rozkazała.

Przywołały jeszcze dwie drugie.

Nie było to rzeczą łatwą dokonać obrządku ubioru. Namaściwszy członki wonnościami, oblekły panią w srebrzystą, bardzo cienką koszulę. Była bez rękaw, posiadając w to miejsce zwisające od ramion szerokie wstęgi, któremi obwiązano ręce po łokcie.

Herodias przypatrywała się długo swym pier-

sion. Wyglądały z głęboko wyciętej koszuli. Podważyła je obu dłońmi z zamyśleniem. W przeciwieństwie do delikatnej twarzy cała postać była silnie rozrosłą, a białosc skóry jakby drażniaco uwydatniała tę moc.

Służebne na przyzwolenie do dalszego stroju czekały.

— Nie ma... kto ich całować... — wymówiła przeciągle.

— Jakto? jakto? — zdziwiły się niewolnice. — Zabrakło-by pocałunków najpiękniejszemu Ionu? Zaliż nie wzdycha wszystek męski ród z żądzy k'tobie?

— To wszystko takie drobne!... — szepnęła. — Całowania ust słabych upragnień nie nasycą...

— Bogi powinny-by być kochankami twojemi! — wyrzekła przypochlebnie Jezabel.

— Tak! — odpowiedziała Herodias.

I wtem uchwyciła służebną za ramię:

— Dlaczego już nie chadzają bogi po ziemi? dlaczego? — krzyczała z rozpaczą.

— Ja nie wiem, pani!... — wyjąkała kobieta sina z trwogi.

Herodias puściła ją z wielkiem, odpływającym westchnieniem.

Długo trwało pracowite piętrenie pysznych włosów, a jeszcze dłużej wybór sukien mających odpowiedzieć usposobieniu. Kazała sobie znosić stosa-

mi i odtrącała jedną po drugiej uderzeniem stopy, połyskującej jak marmur w złotym sandale. Pot perlił się na obliczach służebnic. Wreszcie przyzwoliła na szatę błado-zieloną, zahaftowaną w jakieś bajeczne, roziskrzanej białości kwiaty. Miały być podobnymi do lilji, będąc przytem potwornie piękne w drapieżnem rozchyleniu ogromnych kielichów.

Mozolnie układano prześliczne fałdy. Szerokie rękawy w kilku odstępach poujmowano w złote, przytwierdzające naramienniki; tkanina pomiędzy niemi wydymała się lekko i fantastycznie.

Teraz powinien był obcisnąć kibić pancerz mieniący się, złoto-srebrny, szmaragdami sadzony.

Dinah, podając go, zawahała się: — Jest gorąco!... Tu w Tiberias, ciągle spiekota! Nie tak, jak to bywa w Seforis, milej, dawnej stolicy...

— Żal ci orzechowych lasów dookoła Seforis? — zaśmiała się pani. — Czyliż nie oglądasz w to miejsce palm niepośledniejszych niżli w Jerychu?

Przeciągnęła się ruchem tygrysim: — Lubię żar tu bijący, wonności w nim silniej pachną... Radabym mieć świat jako kadzielnicę pod stopami mojami...

Pancerz był z najdroższego, utkanego grubo jedwabiu; z boków otwarty spinał się łańcuszkami złotemi. Od kibici sztywnem zaokrągleniem spuszczał się z przodu i z tyłu aż po kolana.

Szmaragdy na piersiach grały, szyja tonęła w rzędach pereł świetliste i subtelnie migotliwych,

ponad tem wszystkim, a pod koroną słonecznych włosów wznosiła się twarz złowrogo śliczna i zamysłona.

W dniu tym w samo południe miały się odbyć wielkie gonitwy gladiatorów po raz pierwszy w dopiero co ukończonym „stadjonie“.

Godzinę południową, pomimo upalnego klimatu miasta, oznaczył kapryśny rozkaz Herodias. Tetrarcha uległ, jak zwykł jej ulegać zawsze, chociaż tym razem było to z osobistą wcale dotkliwą przykrością, bowiem okazała jego tusza cierpiała od skwaru.

Nowe stołeczne miasto Tiberias było wspaniałe i smutne. Oparte o wysoką ścianę zachodniego wzgórza usiadło tuż nad jeziorem nieledwie w błękitnej wodzie. Było to największe wgłębienie u brzegów „Galilejskiego morza“ i najniższy poziom w całej krainie. To też w zaciszu panowało nieprzerwane nigdy gorąco, a roślinność na wąskiej ładzie połaci krzewiła się i bujała jak w wysileniu ekstazy.

Przybywającemu do Seforis lub Kany drogą górną wśród złotych łąk jezioro w pewnej chwili ukazywało się nagle kędyś w przepastnym jarze jak objawiona przesłodka tajemnica odpoczynku i zrozumienia...

Rozciągała się szyba przecudnie modra, wyłonią na znak pociechy ze skołatanych wnętrzości ziemi...

Miasto na szczupłym cyplu obrabionym przez

błękit bieliło się od natłoczonych budowli. Zaraz od brzegu, gdzie nurzało się w toni najpięściwsze bogactwo krzewów oleandrowych osypanych kwieciami różowem, poczynaly się, by iść nieco w górę, ulice powykładane płytami ze śnieżnego marmuru. Najznamienitsze miały po bokach cudne galerie z dwurzędnych kolumn, dźwigających lekkie nakrycie z kunsztownym, pięknym fryzem. Wszystko w tym grodzie uczynionem było ściśle na sposób grecki, w najgorliwszem, rozmiłowanem naśladowaniu. Zaś nigdzie nie użyto budulca innego niż marmuru. Pałac Antypasa królował w przepychu rzeźb. O jego pięknie rozchodziły się wieści budzące w prawowiernych sercach boleść i zgrozę; bo tetrarcha nie ośmielił się wprowadzić na ustawienie posągów bóstw, ale w atrium nad brzegami sadzawek i wpośród kolumn spoczywały lwy marmurowe. A zakon zakazywał wizerunków zwierzęcych, które na równi z ludzkiemi wyrastać mogły na przedmioty pogańskiej czci.

Roziskrzanie białych budynków stanowiło wspałałość nowej stolicy, a ludność wyrażała jej smutek...

Posępna była, obietnicami ściągiona lub spędzona nakazem na miejsce nieczyste i przekłete, do domów wznoszących się na grobach... Znajdowały się tutaj przeważnie osobniki mętnego rodu, niepewnego życia, niespokojnego sumienia. Obok tych

przemieszkiwali poganie. Wszelki mąż prawowierny omijał Tiberias zdaleka. Rzadko widywano tu głowę podniesioną śmiało ku słońcu, w wejrzaniach i ruchach ludzkich czaiła się jakaś wątpliwość. „Stadion” wykończono pośpiesznie; jeszcze przed samym dniem widowiska dokonywały się ostatnie roboty. Niepokalanie skrzyły się białe ławy po obu stronach i w podnoszeniu się coraz wyższem poustawiane. Środkiem leżała długa przestrzeń wyzywająca ku jaskrawemu światłu otwarta.

Brat Filip, tetrarcha gaulonicki, auranicki i batanejski, gościł na dworze Antypasowym. Stosunki z tym łagodnego serca człowiekiem nie nastęczyły nigdy żadnego zawikłania. Dziwnym zaiste wyjątkiem wyrósł był ten w krwawym gnieździe króla Idumejczyka. Nie żywił by najmniejszej chciwości i lubił dobrze czynić poddanym.

Herodias rozmawiała z gościem po uczcie porannej w krużganku, wychodzącym na niewielki, wewnętrzny ogród, który poprostu dyszał od młostwa kwiecia. Pnie kolumn i pnie palm zlewały się w smukły gał fantastyczny, zda się wyczarowany z rozbijałego snu.

U kolan matki siedziała jedynaczka nieletnia, imieniem prababki Salomy nazywana, dziewczę wiotkie i dziwne.

Podobna była do rodzicielki lecz cała cicha. W cichości tej wszelako nie tkwiło żadne zamię

pogody i zgoła nie niewinność przemawiała z dziewczęcej postaci. Odczuwało się, że władne dotknięcie obudzi natychmiast jakieś żądze przewrotne, które się po członkach we mgnieniu i w węzowych skrętach rozbiegą. Odczuwało się, że leży tam nieświadoma gotowość do wszelkiego grzechu.

Oczy dziewczyny spały. Ilekroć Herodias położyła jej rękę na włosach, jeszcze bardziej niżli matczyne złotych, krótki, urwany dreszcz przepływał przez drobne rysy i szczupłe prawie dziecińne ciało.

— Zali to prawda, mówiła pani gościowi, że dom nie chadzasz nigdy otoczony licznym orszakiem, jeno nie ledwie jak człowiek prosty z kilkoma sługi?

— Tak! — przyświadczył z uśmiechem.

— I to li prawda, zadrwiła, że rozkazujeś wozic za sobą siedzisko składane? Gdy napotykasz mających sprawę i skargę, wnet siadasz i sąd natychmiast jest uczyniony?

— Dlaczego ma ubogi czekać na sprawiedliwość? — odpowiedział łagodnie. — Ciężyłoby to sercu mojemu...

— Dobry jesteś! — rzekła nawpół z uznaniem, a nawpół zjadliwie. I dodała, wskazując córkę: — Dam ci ją w małżeństwo; nie zazna krzywdy...

— Ano niech rośnie! Bratanką mi jest po bracie Herodzie¹⁾, może z czasem być żoną... Cóż ty,

¹⁾ Herodias za pierwszego małżonka miała Heroda syna Mariamny, a wnuka Bretusa arcykapłana.

dzieweczko? — zwrócił się do niej z życzliwym upodobaniem. Błękitno-czarne źrenice nie drgnęły.

— Dam ci ją... Pieczołowitem staraniem otoczysz! Ona jest wszystka jak narzędzie rozkoszne ku graniu, cała jest z cienkich strun! Ale nie ty ją rozdzwieczysz! — roześmiała się nagle, — Nie ty!

— Tak-li mniemasz? — rzekł dobroduszenie. Wzrok jego wędrował po głowicach najbliższych kolumn. Okalała mu usta błogość większa niż kiedy spoglądał na dziewczynę. Smakował piękność rzeźby. W tem odnajdowała się wspólna rodowi, wzięta po ojcu cecha; w budownictwie rozmiłowane było serce Filipa.

— Śliczne dzieła poczyniliście tutaj — stwierdził.

— Chwalisz stolicę bratową!... rzekła pani.

— Aleć i ja dokonałem niezgorszych! — oświadczył. Czem była dawna Baniās, a czem jest dzisiaj przebudowana z niej ku chwale cesarskiej i mojej Cezarea Filipi?... Albo Julias, którą-m nazwał tak na cześć córy Augusta? Słyszałaś o tych cudach? słyszałaś?

— Szczęśliwy-ś i niczego więcej nie pragniesz! — rzuciła mu pogardliwie.

— Spokój miłuję! — powiedział. — Błogosławie opiekę Cezarów i przyozdabiam kraj mi oddany w spokojności...

Gdy domawiał słów tych, nadszedł Antypas.

Opuszczając się ciężko na łożo złożone, zwrócił się z wymówką do brata:

— Złe czynisz! złe czynisz! —

— Co ty miemasz? — przeraził się Filip.

— Czemużes kazał na monetach wytłaczać wizerunki Augusta i Tyberjusza imperatorów?

— Jakto? Pragnę, niechaj wie imperator, żem do głębi oddany sługa.

— A wrzask Żydów? — zapytał Antypas. A rozruch, który może być z tego wzniecon?

— Zafrasował się Filip na chwilę. Ale wnet różjaśnił się znowu. — Nieduża liczba ich w tetrarchii

mojej; Syryjczykom w większości panują Grecy.

— Zbawionys kłopotu! — mruknął Antypas. — Osobliwościom żydowskim wygodzić niełatwa rzecz.

Wszelako czy dość ostrożnie poczynasz, choć ich mało?

— Chwała sobie, że rządy moje taskawe.

Herodias przerwała im rozmowę. Zwróciła się do małżonka z swym dziwnym, kuszącym, a bardzo smutnym spojrzeniem.

— I tybys nie pożałował — kłopotu judzkiej korony? — spytała szeptem.

Zmącił się.

— Ty wiesz, że ostrożnym być muszę.

Filip począł wolać weselo:

— Nie łaknijcie przybytku, z którym troski przychodzą. Pożywajcie owoce chwili!

— Jednakowiście... Bracia! — wybuchnęła Herodias.

Antypas zadygotał:

— Przecie znasz, co jest we mnie, co mogłoby ze mnie być!

Wysunęła dłoń bardzo białą a śliczną, potrafiła go w pierś giętkimi palcami:

— Troska — korony judzkiej... — zaszeleścił jej głos.

Potem już zwyczajnie wyrzekła:

— Ciężki jesteś!...

— Niech ma spokój! — powiedział Filip.

Wyrzuciła ramiona ku górze:

— O, jak wiele, jak wiele, jak wszędy wiele umarłego spokoju!

— Burzę lubisz... — zauważył tetrarcha Gaulonicki. — Owóż powiem ci, com przypomniał sobie... Nie wszędy spokój, w Perei obiegają pogłoski jakoweś...

— W Perei? — przeraził się Antypas.

— Przy objeździe na batanejskiem pograniczu słyszałem!

— Powiadaj wszystko! — naglił gospodarz.

— Pono mąż wielce dziwny objawił się nad Jordanem po judzkiej stronie...

— Co czyni?

— Nie wiem... Powiadają, że tłumy chadzą za nim posłuszne jego grzmiącemu słowu... Powiadają,

że się niekiedy przewozić każe za rzekę, a naten-
czas tłum jest wkoło niego w Perei...

— O czemże słowo to grzmiące?

— I tego nie wiem...

Gdy tak rozmawiali, brat Filip dobroduszenie,
a Antypas wstrząśniony, Herodias kłaśnięciem
w dłoń przywołała wierną Jezabel:

— Idź — rzekła szeptem — i nie wracaj mi tu-
taj bez wieści, jakim on jest, ten człowiek, o którym
mówią w Perei... Choćbyś kamiennych płyt na uli-
cach rozpytywać się o to musiała, rozpytaj i nie sta-
wiał się przed oczy me bez nowiny...

A gdy ją będziesz miała... czy słyszysz? —
przybiegaj ku mnie, nie bacząc na czas igrzyska,
uczty lub snu... Natychmiast wiedzieć chcę...

W południe żar zlewał się na białą ławicę pia-
sku rozciągnioną środkiem „stadjonu“. Naprzeciwko
wniścia w dalekiej głębi purpurowa osłona ochra-
niała wysokie siedziska tetrarchy i dworu, ale He-
rodias, wzgardziwszy krwawym cieniem, wynurzyła
się wszystka z jakąś dziką rozkoszą ku pocałunkom
roziskrzzonej spiekoty.

Pot strugami opływał ciała ścigających się za-
paśników. Z pomysłu pani odbywał się bieg na wy-
trwałość, kto dłużej ponad wszystkich wydola.

Już dwu upadło z wysiłku i drgających wywle-
szono wzgardliwie poza obręb stadjonu.

Herodias przez czas pewien patrzyła z upodo-

baniem. Gdy przebiegali przed jej siedziskiem, zie-
lonawe oczy ze skrami w głębiach prześlizgiwały się
po piersiach pracujących z ostatnim móżdżem i po
członkach wprawionych w ruch śmiertelnego zapa-
mętania.

Jeden był bardzo młody, z pacholęcą nieledwie
smukłością, chyży, a śliczny jak dziewczyna. Dość
długo biegł wciąż przodem, nie zwalniając szyb-
kości, jeno za każdym razem, kiedy mijał miejsce
dostojne pod purpurową zasłoną, widziało się, że
twarz jego coraz straszniej białała. W wielkiem
świecie słonecznem migało młodzieńcze oblicze —
trupie...

Wreszcie zachwiał się przy którymś obiegu
i nawprost tronu tetrarchy obalił się bezwładnie na
piasek.

Biegnący tuż za nim współzawodnik przeko-
czył zwłoki, zaś Herodias odwróciła głowę ze
wzgardą.

Zaszeleścił u stóp pani szept korny; Jezabel
wśliznęła się, wiadomości przynosząc. Pozbierała je
wśród włóczęgów ciekawością widowiska ściagnio-
nych, pochwylała z gawęd przekupniów, ze słów
różnych, przelotnych zniżała jeden ciąg.

Twarz złowrogiej piękności pochyliła się nad
służebną w zasłuchaniu i zda się z zapomnieniem na-
głem o wszystkim, co się dokoła działo.

Antypas pożądał małżonki przyrodniego brata,

a dzisiaj swojej, nienasyconem aż po tę chwilę pragnieniem. Najczęściej dawała mu się kroplami... Bywały czasem nagle początki odurzającej hojności, ale wnet zamykała się, jakby pograżając się kędyś w toń. Wtedy napróżno skamlał namiętnością trawiony.

Zdarzało się i tak, że wszczynala sama. Rozniecała w sobie i w nim płomienie natarczywie, gwałtownie, pośpiesznie, jak gdyby pragnąc zgorzeć w wybuchu. Potem niespodziewanie miazdżyła go jakimś słowem tak twardem, jak uderzenie kamiennej bryły.

Znosił to, skarżąc się, czasem grożąc, lecz przyrodzona ocieężałość nie dopuszczała mu nawet próby stanowczej opanowania jej woli.

W targanym pożądliwością stosunku tych dwojga nie było może nocy dziwniejszej nad tę, która zstąpiła po upalnym dniu gonitw, nabijając wysokie niebo tłumami gwiazd wyraziście i cudnie.

Pół-swiatło lamp przesuwalo się tajemniczo po zloceniach komnaty.

Herodias wezwała małżonka do swego łoża.

Przyszedł szczęśliwy i prawie drżący od namiętności głodnej, bowiem przez parę ostatnich tygodni wzbraniała mu uporczywie wszelkiego przystępu do siebie.

Teraz była w niezwykłym, nawet przy jej zmienności najosobliwszym stanie...

Osypała mu oblicze pocałunkami, od których zamierał z rozkoszy. Były jakby dotknięcia onych potwornych lilji, które nosiła na szacie, niby czyste, a tajemniczo-przewrotne i straszne.

Gdy chciał ją ramionami opasać i garnąć do siebie, szepnęła nie gniewnie ale smutnie: — Zaczekaj...

Drżał z niecierpliwości, lecz czekał.

Odrzuciwszy głowę na poduszki srebrzyste i purpurowe, marzyła.

Rysował się wywołany słowami służebnicy obraz męża, którego jakoby nie ucałowały nigdy żadne usta niewieście, który na żadną dotychczas miłościwie nie spojrzał ciemnymi jak noc pustynna oczyma.

Wiatr surowy jego nagich członków dotyka, moc opasuje biodra pożądaniem niepokalane, ciało dziewicze i twarde... Płomienie gniewu przelatują po smagłej twarzy, płomienie panowania jarzą się w wieńcu nad czołem.

Nagle z okrzykiem cisnęła się sama w objęcia małżonka. Szalała.

Antypasowi, gdy jej ledwo mógł sprostać, wydało się, że jest wszystka naprzemian wyuzdaną pieśnią i strasznym szlochem. Upajał się nią i nasycał, podziwiał i prawie bał się, dyszał. A jej członki grały niezmordowanie zawrotny, wytężony, najwyszukańszy śpiew...

Zdawało się, iż się ćwiczy w nieskończonem

szaleństwie, że samą siebie wyzywa u kresu sił... Kiedyś w głębokiej toni uczuł, że nareszcie żar jej ostygł... Jednocześnie opanowało nim senne zadowolenie nasyconego a strudzonego zwierza. Jeszcze gdzieś nad krawędzią tego snu usłyszał jej głos daleki i tęskniący:

— Dlaczego porzuciwszy brata, złączyła się z tobą?...

— Bo zbyt nikłym ci był tamten; był niczem...

— odpowiedział jak echo.

— A ty, tetrarcho, zali wystarczyć możesz?

— Dopuść mi czasu...

— Nie poprzestanę na takim...

— Dopuść... — powtórzył już tylko nawpół świadomie.

Zasnął.

Ona nie spała. Znikł z jej myśli. Nawet oddech jego głośny, sapiący nie mógł wdrzeć się natrętnem świadectwem do stanu, w którym rozkoszowała się sama sobą.

Tak! przemierzyła swą umiejętność i moc... Wiedziała teraz, czego jest godną i co potrafi. Całe niewyczerpane bogactwo swoje posiada na zawołanie.

Gdy ranek świtał, spojrzenie jej upadło na śpiącą, mięsistą twarz Antypasa. Przypomniła sobie... Trąciła go ruchem lekceważenia... Otworzył jeszcze mętne oczy.

— Cóż mi ofiarujesz za łaskę, którą Cię nasycałam?

— Cokolwiek zechcesz...—odpowiedział z przejęciem.

— Zawieź mię na pustynię! ujrzeć pragnę męża osobliwego, o którym wieść się rozchodzi...

ROZDZIAŁ VIII.

Niepokój.

W Jeruszałaim szerzyły się pogłoski podniecające. Mówiono już zupełnie wyraźnie o mężu nadzwyczajnym, który nikim innym być nie mógł, jeno pomazańcem oczekiwanym, wyznaczonym na tron Dawidowy.

Daremnie biegli w piśmie, przypomniawszy sobie rodowód ojca jego Zacharjasza Ben Abia, objaśniali, iż było to pokolenie Aarona nie Judy, a więc nie dom Dawidów; Am-ha'arez¹⁾ brali rzecz sercem, wzburzona tęsknota przepływała nad dowodzeniem. Może potem do wątpliwości się zwróca szukać będą porównań z pismem i potwierdzenia, ale narazie lud ten był poprostu wstrząśniony i nie słuchał przestrogi.

Przelatywały po mieście pytania: — Azali się już objawił królem Mosziah? I odpowiedzi biegły: — Jeszcze nie... Tai to w sobie... Ale maluczko...

¹⁾ Lud pospolity, nieuczony w piśmie

Krzepmy serca, ujrzymy wielką chwałę! zadźwiewczy jako trąby tysiączne, zapali się jak tysiące pochodni... Maluczko!... za krótki czas!...

Kannaim poczynali się gorączkować.

Jakób Ben Juda mówił poufnie do brata swego Simona: — On-li, czy... ja? Przytem obu im oczy błyszczały ogromnem podnieceniem.

— Dlaczegożby miał pierwszeństwo przed tobą? — szeptał Simon.

— Nie wiem... Nie wiem! Bawiac w Galilei, słyshałem, jakem ci doniósł, wieści przeróżne, od których się serce moje rozdymało w pragnieniu i niepokoju... Przybywszy tu, znowu słyszę...

— Mniemasz-li, że ten sam jest, o którym tam powiadano?

— Nie wiem! Usiłuję wyrozumieć to wszystko. Zamyślił się:

— Wybiorę się na pustynię i spojrzę mu w twarz...

— Wybierz się! — radził Simon. — Ale patrz także w duszę swoją, ażeby była lwia aż do końca i podobną oicowej...

— Chciałbyś dla mnie godności?... — szepnął Jakób.

— Bo-bym jej sam nie udźwignął... — odpowiedział brat głucho.

— A ja? a ja? — pytał tamten.

Przez chwilę milczeli, obaj smukli i urodziwi

z twarzami, po których przebiegały drgnienia niespokojne jak fale pożądania i smutku.

— Już nie pragniesz? — zaszeptał Simon.

— Ach! — westchnął Jakób. Tak pragnę, iż znalazłszy męża godnego, wojownika wielkiego ramienia, stałbym się jego posłusznym sługą...

— Ojciec nasz był mocniejszy... — rzekł Simon z głuchym żalem.

— I zginął... — dodał Jakób.

Po chwili przysunął się do brata tak blisko, iż pierś na piersi dyszała. Cicho wymówił:

— W utęsknieniu ogromnem, nie widząc nadchodzącego nikogo, myślałem że... będę ja... Słaby lud nie powstawał, aby dźwiękiem żelaza przywołać króla swojego... Myślałem: pokażę się im na czele... ja!... Czy ty mniemasz, że rozpierał mnie nadmiar... siły i dumy?...

— Radowałem się... tem mniemaniem — odrzekł Simon.

— Splątała się дума z pożerającą tęsknicą! Zasię siła?... Modliłem się do Najwyższego: Przeniknij mię! Podnosiłem doń słowa żalosne i krwawe: Nasyć mię! Abym się ludowi twojemu pojawił jak lew ryczący, abym zatrząsł powietrzem nad głowami jego jak grzmot!...

— I nie zadławi-ż cię żalność, jeśli nie ty? spytał Simon.

— Zmierzymy się, spojrzę mu w twarz!...

A gdyby nie on był, krzyczeniem wszystkich wnętrności moich zniewolę Pana, by włożył na mnie zwycięską, największą siłę.

— Bo niełzia dłużej czekać... — rzekł Simon.

Wybrali się spodem do Jerycha. Tu Simon miał zabawić w gościnie u sędziwego krewniaka Obeda, Jakób zaś puścił się dalej, przepytując pielgrzymów napotykanych po drodze, kędy obecnie jest Mąż.

Tymczasem Annas Ben Sethi, faktyczny rządca świątynnego wzgórza i Wielkiej Rady, usiłował zlekceważyć pogłoski i panujące w mieście usposobienie. Gdy mu o tem napomykano, ręce podnosił do uszu ruchem niewysłowionej pogardy, a na usta wychodził mu uśmiech, ten jego uśmiech, który patrzącego zdawał się kłuć cienkiem ostrzem długo i drwiąco. Uspakajając tak innych, był jednakże zbyt trzeźwym, aby łudził sam siebie. Niejednokrotnie, nie będąc od nikogo widzianym, zrywał się nagle z siedzenia i trzepotał dłońmi przed oczyma, jakby odganiając groźne widziadła.

Istotnie ciężkie i krwawe mgły zasnuwały mu przyszłość, ku której zmierzał ostrożnemi, chytremi a mocnemi krokami. Oto rządy miasta świętego, zda się, już tylko oczekiwały na wyraźne zaznaczenie władnej prawicy; toć cugle w garści zbierał od tak długiego czasu. Ukoił był podejrzliwość, ugłaskał żarłoczność i butę prokuratora. Nad pragnie-

niami ludu czuwał bezsennie i kędy dotrzeć mógł, uspakajał — prześladowaniem. Już nie ledwie po królewsku spoglądał na Jeruszałaim, aczkolwiek bez nazwy króla...

Gdy wtem niespodziewanie z przygaszanych ciągle iskier tęsknoty buchnął ogień. Wszystek kraj płomienił się teraz w wyblaskach i wrzał nadziejami. Na domiar złego Walerius Gratus właśnie stanowisko opuszczał, odwołan przez imperatora, a przybyć miał Pontius Pilatus, człowiek nowy, nieuglaskany jeszcze i o którym zawczasu nie wiedziało się nic pewnego. Annas myśl wyteżał i nie mógł zgadnąć. Słuchy powiadały o tym Pilatusie, że jest w usposobieniu wielce nierówny, a jednak przytem dumny i twardy. Takimi rysami, nie budzącymi otuchy, wywoływał go dla się niepokój Annasów, wpatrzony w mgłę nadchodzących wydarzeń; przymierzał się doń mąż zabiegliwy i nie mógł poznać, czy trafi. Od tego serce w nim poczyniło dygotać gniewnym lękiem. Wstąpi nowy prokurator na ziemię tę nogą pańską, rozjątrzony odrazu; powtórza się czasy krwawego po śmierci Herodowej tłumienia. Zawrzy walka, w której może przepadną wszystkie pomyślnie i już tak bliskie widoki...

Annas miłował wielkość domu swojego, ale potem i łącznie z tem, na swój sposób—krainę... Radby ją widział pod ręką swą ukojoną i sytą, i zdobną wszelkimi pięknościami, które żywot rozkosznym

czynią na wzór helleński i rzymski. Wstrząsł się na przypuszczenie, iż zaleje ją krew.

Gdy dnia pewnego szukał tak w swojej duszy wzburzonej najrychliwszego poratowania, doniesiono mu o przybyciu córki Hecybał.

Jedynaczka weszła z kilku służebnicami, które jednakże natychmiast odprawiła gniewnem syknięciem:

— Precz!

Ostali sami.

— Z czem przychodzisz? — zapytał Annas cokolwiek zaniepokojon jej szarpliwymi ruchami. — Azaliś wciąż na małżonka żalosna?

— Niech mi da list rozwodny! — rzekła gwałtownie.

Zaniemówił na chwilkę:

— Czyliż to uszy me słyszą?

Głos był ze zdumienia zachrypły i cichy.

Powtórzyła:

— Chcę listu rozwodnego!

— Ty, córa moja!

— Gdy od boku jego odejdę z powrotem pod dach twój, może ustanie krzyk żądy wzgardzonej, może łaknienie nie sycone oddawna — zgaśnie!

Wyciągnął ramiona, które zadrżały od bólu:

— Cóрко!

Ale ona z objęć ojcowskich zsunęła mu się do kolan i stoczyła do stóp. Obejmowała nogi jego, szło-

chając, wila się przy nich po ziemi. Zdawało się, iż jej ulgę przynosi uderzanie głowy o marmur podłogi. Krzyczała:

— Stroiłam się doń w nienawiść jako inne niewiasty do małżonków swoich w perły i złoto. Mnie-małam, iż zaciekłością a wzgardą utłumię pożar krwie...

I nienawidzę go, mój rodzicu! A przecież niczego tak przeraźliwie nie pragnę, jak aby wziął mię w swe łóżce i zmazał z serca mego tę gorycz, która od lat je przejada!...

— Nie sypia z tobą? — zapytał ojciec.

— Syny mu już porodziłam, a sama-m w oczach jego na nic nie przydatna więc — odtrącona! Pomnę ongiś, w uścisku z nim ziałam złością i żalem, bo nie dawał mi miłowania podług tęsknicy mej, bezmiłownie mię brał! Lecz nynie powróciłabym, zda się, do onych nocy z okrzykami wesela!...

Annas zasepił się:

— Nie, córka-s moja, jeżeli nie potrafiłaś osiągnąć, czego chcesz.

Odparła, podnosząc głowę:

— Córka-m, bo jako ty mam żądze bez miary!

Powiedział twardo:

— Rozwodnego listu nie będziesz miała...

Jakby nie słysząc, mówiła:

— Po to przyszłam do ciebie... Mogłam była, napotkawszy go, sama rzec mu to słowo: Daj! Ale

wiedziała, że skoro głos doń skieruję, natychmiast przeleje się we mnie zbyt pełna miara... Że na piersi jego skoczę jak lwica, rękoma jako szponami wedrę się w żywe łono...

Powtórzył:

— Rozwodnego listu nie będziesz miała...

Przestała zanosić się od łkających krzyków. Z nagłym spokojem obróciła ku niemu twarz bardzo bladą.

— Dlaczego?

— Na wysoką godność wyznaczone są dzieci twoje... Jakoż mają być synami odtrąconej od łóża?

Wypowiedziała głosem suchym, z którego wyciekł już wszelki dźwięk:

— Obym nie była urodziła mu dzieci...

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy.

Potem ojciec pochylił się nad nią. Jakby małej dziewczynce począł gładzić włosy z pieszczotą. Twardość zelżała na obliczu. Z wąskich warg wydostał się parę razy szept żalospny, pocieszający jak do dziecięcia: — Ajaj! ajaj!

Ona tuliła się do tych rąk zwykle drapieżnych, a mających teraz miękkość prawie matczyną. Nagle spojrzała mu ostro w twarz:

— Nie o syny nasze ci chodzi!

Pieszczotliwe dłonie opadły.

A gorzki śmiech wykrzywił usta kobiety:

— Rodzicu! potrzebniejszy ci on niżli ja...

Chcesz go mieć aż do końca w rodzie swym i w swej władzy!...

— Tak!

Był znów drapieżny i chłodny.

— Niech zwiędnie ciało moje w męce nieugaszonej, niech skamienieje serce moje niewieście od obelg ciągłej wzgardy, ale ty, świekier, będziesz miał Wielkiego Kapłana do końca jak łatkę w rękach swych!...

— Tak — potwierdził wyniośle.

Stoczyli ze sobą krótką walkę.

Ojciec ucisnął ramiona jej dłońmi, w których teraz była żelazna moc.

— Zaniechasz wszelkiej myśli o opuszczeniu...
Musisz trwać w domostwie jego — do zgonu...

A nynie osusz oczy swe poddaństwem dla mojej woli, namaść się wonnościami, a wracając się, obwieść mu, iż wzywam go na naradę...

Zaszamotała się rozpaczliwie:

— Nie przemówię do niego...

— Obwieść, iż rzecz jest pilna ogromnie, że ponad wszelkie inne sprawy ta rzecz!

— Nie przemówię, bym snąć nie umarła z gorczy!...

Nie mógł zwyciężyć jej ostatecznie.

Przytłumioną lecz śmiertelnie zawziętą w sobie, wypuścił z twardych rąk.

— Idę usychać... — rzekła ojcu na pożegnanie.

Odpowiedział:

— Skoro nie umiałaś kwitnąć — usychaj! —
Jednakże gdy odeszła, uchwycił się za pierś z krótkim jękiem.

Wysyłani po dwakroć słudzy nie należeli arcykapłana w domu. Jakoby wydalili się był od rana, li tylko z paru powiernikami, których zwykle brał z sobą.

Wieści o częstych, długo trwających wycieczkach Kajafy dochodziły uszu świekrowych już od pewnego czasu. Budziły niespokojność nieokreśloną. Tym razem zatargały już jawną trwogą. Przeto ku zachodowi, wsiadłszy na muła, udał się w okolice podmiejską, na dolinę Cedronu. Słudzy postępowali za nim pieszo.

Cieniutka, srebrna taśma strumyka sączyła się po kamieniach dość głębokiego łożyska. Grunt opoczysty wyzierał tu i owdzie z pod wiotkich traw. Na podnoszącym się zlekka poziomie rozpoczynały się uprawne winnice. Niebo nad parowem leżało przezroczystym, przesubtelnym błękitem, cisza w parowie stała przedziwnie smętna i słodka.

Orszak Annasów wspiał się między ogrody. Góra Oliwna wyrastała tu ścianą szumiącą od drzew. U przyotwartej bramy sadu Kajafy ze sług nie było nikogo; świekier wjechał w posępnem milczeniu.

Po chwili, zatrzymawszy muła, zsiadł i rozkazał pacholkom ze zwierzęciem na miejscu tkwić.

Gdy szedł przez uliczki milczące, uśmiechały się doń figi hodowane starannie, bujne i rozkrzewione, i mirty, które osypywał drobny liść z wdziękiem nieśmiałym.

Ale oto za nagłym skretem ukazało się w tym pielęgnowanym ogrodzie miejsce dzikie.

Rosły bezładnymi kępami oliwki młode i stare; wpośród wysokiej trawy wybujały samopas wysmukłe i prześliczne, blado-liljowe irysy. Zdawało się, iż zakątek ten pozostawiono umyślnie czarowi swobody i zapomnienia.

Świekier stanął jak wryty.

Kohen-ha-Gadol leżał na szeleszczącej murawie. Serafja ponad nim wpółklęcząca utrzymywała na piersiach swych jego głowę.

Wykrzyknik: nałożnica! poderwał się na ustach Annasa. Ale nie wybiegł. Ze drgającymi niemo wargami patrzył świekier obezwładniony powagą bólu, który był w tej kobiecie.

I ona spoglądała na niego daleko widzącymi oczyma.

Nagle wydała mu się tak czystą jak dziewczeczka nietknięta jeszcze pożądającą myślą junaka. Wynurzała się z objęć ukochanego, sama nieskończenie dostojna cierpieniem, a tak litośna ku niemu, jakgdyby była z rzędu świętych cherubim osłaniających ziemię skrzydły białymi.

Oczy jej wpatrzone w Annasa rozpoznały w nim

uosobienie losu grożącego oddawna; badały przyszłość, rozdzierając tajniki czuciem. I musiała z tajemnic tych trysnąć krew, bo oto zaszły zgrozą. Rossła w niej teraz bojaźń do zapamiętania. Jedną ręką uchwyciła się szyi miłego, zaś drugą trzęsła rozpacznie, jak odganiając od jego głowy zło... Głos był cichy, a przenikliwy, nasiąknięty męczarnią:

— Odejdź! odejdź!

I źrenice Kajafy już dostrzegły pojawienie się świekra, wyraziły chmurną zaciętość. Przez chwilę ścierali się tak spojrzeniami we troje.

Annas otrząsnął się z niezwykłego dla się wrażenia. Zachichotał jego śmiech niegłośny, a zimny:

— Nie ja odejdę, kobieto!...

Padła na pierś miłego z jakimś przedziwnym krzykiem. Był to jakby ostatni szloch szczęścia, w którym należy wyzionać duszę. Jeszcze nigdy Kajafa nie doznał z rąk jej takiego odurzenia słodczy. Zdawało się, iż zginęły wszystkie kolce rozdzierające ich splot miłosny, zatruty hańbą Syonu. Róże upojen napelniły serca przecudną wonią. W momencie tym nie istniała dla nich postać Annasa, ani zmora przyszłości niosącej wielkie zło. Wszystkie myśli żatoneły w czuciu rozkoszy. Pili oślepiającą szczęśliwość, wyczerpując ją za wszystek ubiegły i wszystek następujący czas...

Zasyczał głos Annasów:

— Mój zięciu!...

Jak na krawędzi szczęścia, która się w przepaść osuwa, zatrzepotały się dłonie Serafji:

— Odegnaj go!...

— Ukoj się! — odrzekł miły — i maluczko usuń się; ja go przemogę...

Westchnęła, jakby wylewając w tem wszystką pożegnaną nadzieję. Gdy powstawała z uścisku, była w niej znowu wielka czystość dostojna. Otuliła się płaszczem i odeszła cicho jak wiew.

Annas pasował się przez chwil parę ze zgrzytem rwącym mu pierś. — Córka! — załkało w twar dem sercu. Ale wnet był znów sobą. — Jeśli z miłości niewiasty tej rość będziesz w moc i w pragnienie, miłuj ją... — rzekł powoli.

Oczy Kajafy mające wytrzymać i zgnieść napór, teraz wobec tego ustępstwa zmaciły się aż do dna...

Annas odmienił swoją myśl pierwiastkową, zamiast zgromadzenia w poufnem gronie polecił Kajafie zwołanie Sanhedrynu.

Zebrany mężom wyłożył w krótkości, o co chodziło:

— Meszit¹⁾ jest na pustyni... — rzekł pogardliwie.

— Wiemy, wiemy! — zaszumiało dokoła jak zrywająca się burza, w której dzwięczały różne tony i czucia.

¹⁾ Wichrzyciel.

— Lekceważyłem robaka, ale w umysłach ludu może się przezeń jednak coś — psować...

— Już zepsowało się wiele! — zadrwił Jonatan Ben Uziel.

I Peruszim w całej gromadzie poczęli parskać gniewnie:

— Przypóźno się do tego zabieracie, Kohanim!

— Wiemy, kiedy czas działać! — uśmierzył ich zimno Annas.

Zasię Kajafa na stolcu arcykapłańskim rzekł gorączkowo:

— Do rzeczy! do rzeczy!

Annas wyluszczył swój zamiar. Wspomnił, iż najwłaściwszem byłoby natychmiastowe wysłanie pachołków, by pochwyciwszy włóczęgę, przywiedli go tu; niech wytłumaczy się z swojej głupoty albo poniesie karę... Następnie zauważył, że jednak ze względów pewnych, trzeba zaniechać owej najlepszej drogi... Mógłby się lud... istotnie cokolwiek zaniepokoić, obruszyć... przywiązać do tego — za wielką wagę... Usiłował to wszystko mówić głosem bardzo wzgardliwym.

— Pośle się tedy nie zbirów, ale ludzi dostojnych, którzy zgromiwszy go i zmiażdżywszy, jak słuszna, rozkaza, by się, nie odkładając, kwapił przed nasze oblicza!

Zaledwo padły te słowa, gdy rozległ się głos Kajafy:

— Którzy zapytają, zali jest Królem — Mesjaszem...

W zgromadzeniu zerwał się zgiełk.

— Po co? po co? — krzyczał Annas, utraciwszy swój zwykły, drwiący spokój.

— Niech odpowie, czy jest Mesjaszem!

I Kajafa kładł w to wołanie taką namietność, że zapanował nad burzą.

Poczęły podnosić się mniej albo więcej potwierdzające głosy:

— Istotnie... — niechaj wyzna, kim mniema być!...

— Za kogo radby się podawać?

— Kim jest?

Przeważały te zdania; widocznie pod wzburzeniem i niepokojem wielka ciekawość zdejmowała nawet zaciekłych członków rady. Annas z pewnym wysiłkiem ratował swe przewodnictwo:

— Niech zapytają; przyzwalam. Obaczycie, iż dostojęństwo ich zmiażdży go; wylekniiony i starty nie wydobędzie z warg swych bluźnierczych słów...

Na wysłańców pomiędzy innemi wybrano Józefa z Arymatei, Jonatana Ben Uziel i Kaleba Ben Simon, który był bratem najstarszym Charinusa.

Tegoż dnia późnym wieczorem przez krótką chwilę dziwna rzecz działa się w domu arcykapłańskim, w ulubionej, odosobnionej komnacie Kajafy.

Kohen-ha-Gadol obejmował ramieniem szyję Józefa. Pochylony nad nim, szeptał z gorączką:

— Uczyń, by odpowiedział, że jest Mesjaszem!...

— Jakoż to mogę uczynić? — bronił się Józef.

— Tak go pytaj, tak w niego patrz!... Wydrzyj mu tajemnicę!... A jeśli nazbyt doniosła, by objawiać tłumowi, przynieś w skrytości mnie...

Józef czuł się strapiiony. Przyrodzona łagodność charakteru nie dozwalała mu na jakiś stanowczy opór, a dłonie Kajafy piekły go natarczywym żarem.

... ..
Nie mówił z nimi odrazu. „Meszit“, włóczęga pustylny, nie odrazu przed oblicze swoje przypuścił wysłańców Wielkiej Rady. Była to zniewaga, od której żółta twarz Jonatana Ben Uziel zapłonęła purpurą gniewu.

Zrozumieli jednakże dostojni mężowie, iż niepodobieństwem byłoby przedzierać się przez zwarte gromady. Tłum parł by usłyszeć i ujrzeć, tłoczyły się ramiona, wyciągały skwapliwie szyje. Dygnitarze musieli się trochę cofnąć, by uniknąć dotknięcia Am-ha'arez.

Słońce paliło nieokiełzaną zlewą promieni. Żar czynił oddech pracowitym i postój trudnym. Za natłokiem głów ludzkich na bliskim widnokręgu świe-

cili się na tle gorącego błękitu delikatne gałązki nadjordańskich topoli.

— Czemże on tam zatrudnion?...

Jonatan Ben Uziel rzucił to pytanie wzgardliwie, wprost przed siebie, nie zaszczycając niem w szczególności nikogo. Odpowiedział jakiś człowiek, właśnie powracający od środka zaciśniętej obręczy. Wymówił: „Naucza!...” A na twarzy miał jeszcze wyraz skupiony zasłuchania.

Jonatan, spojrzawszy nań, skrzywił się z wielkim wstrętem. Poznał Lewiego Ben Alfeus, o którym wiedział, że jest gabba¹⁾. Zebrał szaty, by bodaj rąbkami nie musnęły grzesznika.

Po pewnym czasie stało się nieco przestronniej, lud odpływał. Przejściem już dosyć szerokiem, drogą dostojęństwu należną, kroczyli z butą wysłańcy Sanhedrynu. Józef z Arymatei, z natury wcale cichy i dlatego lubiony przez wielu, przystosowywał się do ruchów swych towarzyszy; zresztą jego powszechnie znana zamożność nadawała mu w oczach ludzkich szczególniejsze znaczenie.

Ujrzeni Chrzciciela. Stał w całej pełni blasku. Krótki, niedochodzący do kolan „kuttonet” z sierści wielbłądziej był na nim jakby odzież pasterska, potężne członki połyskiwały nagością ogorzałej na wiatrach skóry. Dygnitarzom wydał się pogardy

¹⁾ Celnik.

godnym i prawie bezwstydnym w tem obnażeniu prostaczem. Zaiste, to-li był syn kapłański? O, żałości! gdy z zacnego nasienia wyrasta podle ziele!

Półkregiem na ziemi siedzieli i stali uczniowie. Lewi, który był jeszcze powrócił, przykucnął, obejmując kolana rękoma; po twarzy, lekko naprzód podanej, spływały wielkie łzy. Andrzej już ochrzczony i nieodstępny od tego czasu, słuchał ze spokojnem skupieniem. Nieopodal wpół leżał wsparty na łokciu młody Saturnin, urodzony w Patras w Helladzie z matki Żydówki i ojca Greka. Jego śliczna twarz wyrażała w tej chwili mocne wzruszenie.

Nadchodzący nie dosłyszeli słów, bowiem właśnie gdy byli bliżej, Chrzciciel zaprzestał mówić i zwolna skierował na nich spojrzenie.

Uczyniło się im cokolwiek mdło. Pogarda roztapiała się w jakimś dziwnem a dotkliwym uczuciu. W piersiach załopotał niepokój. Pamiętni na godność poselstwa swego doznali upokorzenia, iż nie mogą odeprzeć nacisku tych oczu. Zanim się zebrali na uroczystą, miażdżącą przemowę, spytał ich twardo:

— Dlaczegoście pragnęli przyjść do mnie?

Ogromny gniew zatamował oddech Jonatano wi Ben Uzziel, inni popatrzeni na się wzajemnie, zuchwalstwem oszołomieni, a Józef nagle przypomniał sobie polecenie Kajafy...

Ben Uzziel odsapnął głęboko. Teraz jak wartki

potok rzuciły się z ust jego słowa gwałtowne, szydercze, bez pamięci kąśliwe. Wyczerpywał się w zarzutach ciskanych włóczędze, prostakowi, który nie umiał uczcić dostojnych, śmiałkowi, który będzie przykładnie skaran. Gromił samozwańczego nauczyciela i jednocześnie obelżywie zeń kpił. Ukazywał mu klątwę i pomstę zawieszoną nad głowami zuchwałców; przestrzegał, że na jego czaszkę wnet spadnie.

Ale oto w pewnym punkcie owej długiej napaści nagle poczuł, że traci siłę. Miotał się jeszcze tak samo, naprzemiany grożąc i szydząc, ale wiedział, że spodem rzecz ciągle słabnie. Rwał się w wysileniu wewnętrznym po próżnicy. Była to męka, od której pot mu wybił na czoło. Już sam to słyszał, jak słowa jego, choć ze wzburzenia urodzone, nikczemnie bladły, jak krzyk się stawał wiotkim i czczym.

Wymowa nie urwała się, ale wyciekła strumieniem, a potem ciurkiem, niedołącznie i śmiesznie.

Milknąc, zakołysał rozpacznie rękoma.

Wtedy, niespodziewanie dla samego siebie, ozwał się gromko Józef z Arymatei:

— Człowiecze! zapytujemy cię uroczyście: kimś ty jest?

Rozpalone dłonie Kajafy, zda się, owinęły mu się dokoła serca, nagliły.

Po tłumie przebiegło drżenie.

Jakiś dziwny pół uśmiech począł obrysowywać surowe usta Chrzciciela.

Józef pobladał. Czyżże to żar płonie w sercu? dotknięcie-li to zmuszające, czy obudzone tętno własnej tęsknoty? Z głośnem biciem wszystkich pulsów zawołał:

— Azali jesteś tym, którego czekamy? Azali tyś jest Mosziah?

Uczyniła się cisza nasycona przeolbrzymiem pytaniem. Zapytywały wszystkie wargi w rozchyleniu milczące i wszystkie niespokojne aż do dna, bez słów wymowne dusze.

A twarz Chrzciciela przeistoczyła się w nagłym wyrazie niezgłębionej pokory. Surowe rysy stały się prawie słodkie. Wzrok orlich oczu skruszył się w tylko sobie wiadomej, wielkiej czci... Odpowiedział:

— Nie jestem...

Tłumem zakołysał szloch niewyraźny jak wiew.

Brat Charinusów, Kaleb Ben Simon, wystąpił naprzód. Na obliczu jego łamało się dziwnie zadowolenie z pewnym zawodem. Powinien się był cieszyć, że oto „Meszi“ nie rości sobie pretensji bluźnierczych i niebezpiecznych, a przecież upadło mu coś w duszy jakoby z głuchym żalem. Dostyc łagodnie zapytał:

— A więc za kogo podawasz się? Za Eljasza, który poprzedza przyjście Świętego?

Niezaszowana świadomość wzbudziła Chrzcicielowi tę chwilę, kiedy wielki „Nabi“ ogarniał go wie-

szczemi ramiony i wnikał piersią w pierś jego... Patrząc we wspomnienie oblicza Eljaszowego i mówiąc w tajemnicy, rzekł cicho:

— My dwaj...

Kaleb ważył swe myśli:

— Jakąż odpowiedź zaniesiem Wielkiej Radzie? Prorokiem jesteś?

— Nie prorokuję...

— Cóż wždy powiadasz o sobie?

— Nie słyszeliście, żem Głos Wołający: prostujcie drogi Panu!...

Chórem w kilku krzyknęli:

— Przeto dlaczego, nie mając godności, chrzczisz?

Odparł spokojnie:

— Ja chrzczę Wodą, by Ten, który przede mną był, a po mnie przyjdzie, chrzcił was Ogniem i Duchem...

Twarz mu się rozjaśniła jak od włożonego do piersi słońca. W powietrzu było teraz ciepło, od przygniatającego skwaru odmienne, ożywcze i twórcze. Promienistość wstawiała od ziemi, wykwiatała w pośrodku nieświadomej gromady. Snuła się dookoła każdej postaci i rodziła się ziarnkiem świetlistym w każdym łonie. Przenikające oczy widziały w każdej duszy zasianą możność wielkiego czynu. Jako kwiecie na wiosnę wynurzały się w sercach bezimienne jeszcze uczucia braterskiej słodyczy i si-

ły. Szczęście zakiełkowało, czekając jeno woli... Przepotężne, przesłodka Życie objawiło się w pośrodku ludzi, aby być przez nich i w nich...

Chrzciciel wymówił:

— Którego wy nie znacie, stoi w pośrodku was...

.

W przedpołudniowej, jasnej godzinie trwał cokolwiek nachylon nad szparą w skalnej ścianie.

Brzeg Moabski w tem miejscu odsłaniał zaciszny stok wyjątkowo zielony. W najbardziej ochronionym zakątku, w kotlinie nad maluczkim strumykiem kilka palm daktylowych wdzięczyło swe pióropusze. Wyżej na zboczu rozłożyste drzewa siedziały. Zasię jeszcze ponad tem poszczerbiona skała tu i owdzie w wydrążeniach dawała schronisko dzikim pszczołom. Okrężały ramiona i głowę Chrzciciela złotawym obłokiem pełnym brzęku, siadały mu łaskawie na rękach i na czole. Brał odrobinę miodu ostrożnie, błogosławiąc swym żywicielkom przyjaznemi wargami.

Gdy wyprostował się, jeszcze otoczony pieśnią pszczelną, wzrok zdumiony napotkał patrzące z dołu przepaściste i cudne, złowrogie, niewieście oczy...

Wóz Herodjady zatrzymał się w cieniu drzew. Złocenie niskich kół migotało, a muły potrząsały

brzękadłami i barwistej uprząży strojem. Na wysokim wzniesieniu jak na tronie siedziała Piękna...

W gęstwinie przezierały postacie i kolory licznej świty.

ROZDZIAŁ IX.

Herodias.

— I cóż zasz jest? — zapytał Simon Ben Juda.

— Mocny! — odpowiedział Jakób. — Mój bracie, nie mówiłem z nim, alem widział... Potęga try ska mu z twarzy! Właśnie w czasie bytności mej pojawili się wysłannicy od Sanhedrynu... Odym ich dostrzegł, odszedłem, nie chcąc zetknąć się z niemi, bo wiem nienawidzę chłodnych Zadukim i Peruszim, którzy jeno językiem walczyć umieją...

— Szkoda, iżś nie mówił z Mężem...

— Pomówię, gdy da im odprawę. Nie z takim on pójdzie do czynu.

— Nic ci nie żal? nic nie żal? — szepnął Simon.

— Wtórym po nim będę w zwycięstwie... Pierwszym byłbym... w czym? w klęsce?... Co lepsze z dwojga, mój bracie?

Milczeli przez chwilę synowie Gaulonity, poczem Simon rzekł w zamyśleniu:

— A jeśli nam jednakże kiedyś wypadnie wszcząć i prowadzić?

— Poginiemy... — odpowiedział Jakób posępnie¹⁾. Ale się wnet rozradował:

— Pragnę żyć w szczęśliwości! Wypełnione są żądze nasze, znaleziony Mesziah, który wnet stanie na czele ludu! Zali cię dochodzi, mój bracie, szczekanie mieczów zwycięskich? ja w sercu swem ucieszonem już słyszę! Gdy po dostojność królewską ściągałem ręce, te drżały... Zaś nynie umocnione mam ramiona, biodra i stopy, aby — za Królem iść chyżo! Wysokim i tryumfującym będę przy jego boku!...

Obed zawezwał ich na posiłek.

Dzień zachodził i na płaskim dachu obrębionym kamiennym murkiem, można było zażyć ostatniej, już nie piekącej, lecz słodkiej, pożegnalnej, złotej kąpieli.

Dolina Jerychońska nurzała się w barwie różowej z blado-liljowem załamywaniem się dalszych smug... Wonność biła z otaczających miasto ogrodów.

Rozmawiali, spożywając małe, okrągłe placki i mięso baranie. Wyborowe pszenne ciasto „solet“, a także ogórki i melony poukładane w metalowych misach były na drugie danie. Synowie Gaulonity chwalili sobie gościnę.

— Jeśli się wam nie sprzykrzył mój dom ubo-

¹⁾ Ponieśli śmierć za czasów prokuratora Aleksandra Tyberiusza.

gi, proszę, ostanicie aż gdy mnie kolej służby powoła do Jeruszałaim.

Obed należał do Kohanim, a zatem stawiać się musiał na wypełnienie obrządku co pewien kolejny czas.

— Nie mogę tu omieszkiwać; — odrzekł Simon Ben Juda. — Nie mogę, choć sercu miło...

— Gdy osądziłem zdatność Męża Mocnego, muszę doń co rychlej z powrotem... Wezwać go „niech dowództwo bierze...“ — rzekł Jakób.

A Simon dodał:

— Zasię ja do Galilei i Gaulonitis gromadzić stronniki.

W zapadającym mroku jakiś głos obcy dał się słyszeć na dole u wrót domu. Niebawem sługa przyszedł Obedowi powiedzieć, że nowy gość jest, podróżny.

Był to Itream Ben Tamaniah, którego gospodarz znał ze służby w świątyni. Umyto mu nogi; wyglądał nie tyle strudzon, co pomieszany:

— Myśli moje ociężały bardziej od stóp mych! — powiedział. Dlatego radbym głowę skłonić pod dachem...

Położono przed nim pokarm, lecz jadł niezbyt chętnie:

— Strapiony jestem! — powtarzał.

Jonatan Ben Uziel pośpieszył wprost, pędzon silnym gniewem... No! to jest wielki i mądry czło-

wiek; on rozumie, za co i kiedy najbardziej gniewać się trzeba. I jam dotychczas pojmował wszystko, jak należało... Ale teraz myśli moje wkrąg chodzą!...

— Czyliś ty z liczby wysłańców Wielkiej Rady? — żywo zagadnął Simon Ben Juda.

— Przydany byłem Kalebowi... — odparł Itream.

— I wszyscy już powracacie?

— Dwaj się tam pozostali...

— Opowiadaj! — krzyknęli obaj bracia gwałtownie.

— Oznajmił nam, iż nie jest Mosziah...

Jakób chwycił się oburącz za głowę.

Gość wytaczał jeszcze przed Obedem rzecz całą, jak się odbyła. Utyskiwał, iż mężowie z najprędniejszych, Józef z Arymatei i Kaleb, jakoby dziwnym pociągiem przyniewoleni, przyłączyli się do słuchaczy niewiadomego człowieka... Bracia wyszli, nie czekając końca powieści.

Poczynili niezwłoczne przygotowania do drogi. Byli obaj jak płótno bładzi. Simon prawicę przycisnął do piersi Jakóba:

— Nynie ty musisz... Musisz!

— Widzę, że muszę... — odpowiedział tamten z urwanym jękiem.

•Brat mówił:

— Gdybym jak ty miał od Pana dane ramię do boju, umiejętnie, waleczne, chyże!... Oczy wartkie jak

strzały i dłoń umiejącą dobrze utrafiąć!... Nie pomyślałbym na mgnienie o ustąpieniu innemu!

A Jakób odrzekł:

— Do Najwyższego wołać będę, że jam jest... Niech mi okaże — że ja!...

Znać w nim było postanowienie pełne wewnętrznej męki, nie z pewności budowane, lecz z rozpaczego zawodu. Wczesnym przedrankiem, jeszcze na schyłku nocy, żegnali się z gospodarzem.

— Do Galilei udajecie się? — pytał Obed.

— Tak! — odpowiedzieli.

Jakób objaśnił:

— Słuchy tam były, które za jedno braliśmy z wieścią o tutejszym proroku...

— Usłyszałem od Itreama, że Antypas z swym dworem podle Bethabary koczuje tu wprost za rzeką... — powiedział Obed.

— Temci lepiej... — odparli bracia.

— Swobodniej dla działania naszego... — dodał Jakób.

— Wyprostować musim błędne mniemania, albowiem tutaj nic się nie okazało... — rzekł Simon.

— I obaczmy, co naprawdę jest... tam...

W głosie Jakóba zadrgało jakieś tłumione, niepewne, ociekające smutkiem chwytnie się nowej nadziei.

Z dźwiękiem tym odjechali.

W nierozproszonej jeszcze ciemności przez dłu-

ga chwilę dochodziły głośnie stapania mułów po twardej, kamiennej drodze.

Dwór Antypasa istotnie rozłożył się za rzeką na południo-wschód od Jerycha. Właściwie był to przedewszystkiem dwór Herodjady. Przybyła tu z całym przepychem świetnego otoczenia i — czekała, nie wyjawiając jeszcze, co postanowi i czego chce.

Małżonek w tej podróży upatrzył też swoją rzecz. Najczęściej tak bywało. Jej zamierzenia rwały w przyszłość jak ciosy, a on przy tych gwałtownych porywach umiał pomysły swoje posunąć i wić kunsztownie, chytrze, niezmordowanie. W tym otyłym i miłującym wygodę człowieku mozolił się mózg przebiegły, któremu wynajdywanie kombinacji dowcipnych i lisich nieopisaną rozkosz sprawiało.

Ciężka a niedoleżna ponurość, którą miewał w latach młodzieńczych w otoczeniu krwawego gniazda, z biegiem czasu i z poczuciem bezpieczeństwa starła się i zniknęła. Wyrzało prawdziwe usposobienie. Wždy ociężałe, ale jednakże przeplecione przedziwnie żyłami wielkiego sprytu. Wyjawiała się pewna pogoda. Nynie Antypas smakował życie i cieszył się sobą. Śmiał się do swych chytrych wybiegów całkiem lubieżnie, jak do pieszczot ust całujących, jak do swawolnych objęć kochanki.

Synowi Idumejczyka łatwiej było o nienawiść niżeli o przychylność ludu, to też tetrarcha galilejski nielada umiejętność wykazał, przemyskając się przez lat sporo pomiędzy trudnościami, które się jeżyły jak skały. Nie robił ustępstw ze swych upodobań heleńskich, albowiem niemożliwością byłoby dlań odmówienie sobie jakiegokolwiek rozkoszy, a jednak nie kaleczył zanadto przekonañ żydowskiego ogółu. Gdy zżymano się na budowę Tyberjady na grobach stawianej, potrafił do pewnego stopnia powstrzymać wybuch goryczy ludu, udając się uroczyście i z ogromnemi darami na paschalne święta do Jerysalaïm. Niecierpiano go, ale trzeba było uznawać szczodrość i rodzaj dobrej woli...

Miękki, rozmiłowany w ucztach i wczasach umiał jednakże utrzymywać ład w kraju; ustały rozboje w okresie zamieszek rozplenione; pod niektórymi względami drażnił i kłuł boleśnie dusze Zakonowi oddane, ale z drugiej strony roztropnie zaspakał potrzeby.

Tak trwało...

Ale oto upadł zbyt wielki cień.

Związek tetrarchy z bratową, z niewiaścą żyjącemu, przyrodniemu bratu odjętą, obudził rozjątrzenie. Jawny, bezwstydný grzech uragał Prawu, pluł szyderstwem w oczy ludowi! W Galilei mniej o to było wrzenia, ale wszakże rozstrzygające wpływy

przychodziły z Jeruszałaim, zaś tam zgrzytano zębami.

Antypas po raz pierwszy nie znajdował wyjścia z kłopotu.

Chwilami ogarniał go strach. Cóż będzie, jeżeli to oburzenie powszechne zgórzy umiejętność, z którą aż dotąd utrzymywał rzeczy na wodzy? Czyżby nawałnica przesądów żydowskich w końcu oderwać odeń mogła to cudne ciało i to upojenie, którego mu wprawdzie dozwolano jeno kroplami, ale przy którym był blisko i mógł mieć ciągłą nadzieję? Na taką myśl poczynano coś w piersiach skomleć, zaś jednocześnie czuł, że mu zabraknie tej linji, po której jedynie zdołałby rość z powodzeniem...

Bo Herodias była mu niezachwianie wierną w pewnem znaczeniu, wierną jego dziedzicznym na przyszłość widokom. Poślubiła pychę, która powinna była rozkwitnąć w piersiach Antypasowych, podniecała jej kielek trudem nieukojonym i słowem przychodzącem jak ugryzienie, albo smagnięcie batem, albo słodka pokusa, a zawsze w należyńy czas...

Sprzął ich węzeł mocny a powikłany. Jego żądza płonęła wciąż jeszcze dosyć głodna, a spryt, widząc korzyść, przypasowywał się do prawie niesamowitej siły dziwnej niewiasty. Jej pragnienia miłosne szybowały daleko, ale w Antypasie z tklivością mistrza dla dzieła upodobała ziarno, z którego wyprowadzić chciała wielkość w przyszłości.

Niežnośnie szaro bywało jej w mizernym domu pierwszego męża; teraz, na dostojęństwie galilejskiego tetrarchy wsparta, mogła rozbłyski swych tajemniczych oczu wypuszczać w dal...

Gdy przychodził do niej, zbierającą się burzą zakłopotany, podawała mu dość łaskawie swe pyszne łono, dozwalając po niem wodzić rękoma. Mroczyły mu się od tego źrenice i po chwili gwałtownie przypadał do wonnych piersi ustami. Wtedy śmiała się z niego i jego troski rozgłośnie, srebrnym a chłodnym śmiechem, wzgardliwie. Myśl jej przemieszkowała w jakimś królestwie rozpętanej i złowrogiej fantazji, oglądając stamtąd to tylko, co leżało na wykreślonej przez dumną wolę drodze.

Nie znalazłszy rady nazewnątr, pogrążał się znowu w swej przebiegłości, natężał ją, by nareszcie dostarczyła sposobu.

Dnia któregoś czasu podróży, mając na wozie swym ulubionych dworzan Ozjasza i sędziego Chużę, spytał się ich znienacka: „Cóż mniemacie, że uczynić chcę z tym... prorokiem?

— Nie wiemy, panie — odparli zadziwieni.

— Oby tylko moc miał... Oby istotnie mir posiadał u ludu...

Zdumienie ich jeszcze wzrosło:

— Ty, panie, życzyłbyś sobie dlań mocy?

Tetrarcha zachichotał. Trząsł mu się mięsisty

podbródek. W piersiach odrastało, na pewien czas przyduszone przez troskę, zadowolenie.

Gorący dzień ział złotem.

Niskie koła wozu toczyły się mozolnie po wąskiej, nierównej drodze. Na widnokregu w łańcuchu skalnym odznaczał się coraz wyraźniej okrągły szczyt góry Nebo.

Antypas jeszcze powtórzył półgłosem, sam do siebie:

— Niechby posiadał moc, niechby moc miał...

Po przybyciu na miejsce Herodias nie kazała wołać przed swe oblicze proroka. Oczy jej w pierwszym niespodziewanem spotkaniu objęły jego postać i teraz wizerunek miała pod powiekami; skryła się z nim, jakby pragnąc osądzić wartość i przemyśleć co dalej... Parę dni przesiedziała w purpurowym namiocie, nie puszczając do się nikogo.

Chrzciciel zniknął i doszły słuchy, że przeprawił się znów na judzką stronę Jordanu.

Obozowano na potrząśniętej kamieniami płaszczyźnie w obliczu piętrzących się gór. Herodias nie życzyła sobie pobytu w mieście, aczkolwiek niedaleko stamtąd znajdowała się Bethabara.

Strumień ciekł przez równinę, rozlewając się w paru miejscach dosyć szeroko. Oleandry pasmo jego znaczyły, siedząc zwarcie na brzegach; krzewy smukłe ze smętną zielenią sztywnych gałązek i liści i pysznem rozweseleniem kwiatów różowych. Po-

nad szerszemi rozlewy, wybuchając, splatały się ramionami. Tworzyły się w ten sposób osłony dla maluczkich, zacisznych stawków na które poprzez siatkę cieniów zwikłanych sączył się uśmiech kwiatu.

Roślinności inszej nie było.

Spiekły, jałowy grunt ścielił się aż do progu, gdzie z nagłą przychodziło mu wstawać w kamieniejących podrzutach, w zjeżonych stopniach, w poszarpanych załomach. Wysoko wśród skalistego wału góra Nebo wznosiła swoją okrągłą, wyodrębnioną, wieczyste samotną głowę.

Antypas niecierpliwił się nieco. Ziewał, spoglądając na kolorowe i białe czuby namiotów rozsiadanych po równinie. Plan mu dojrzywał w mózgu i pilno było rozpocząć stosowanie.

— Spieszyłaś oglądać Męża i oto nie wzywasz go! — rzekł do małżonki.

— Ty wezwij... — odpowiedziała, nie podnosząc powiek ocieężałych zadumą.

— Uczynię! Obiecałem ci jego widok... A przysięgam... na perejskim brzegu, na mojej ziemi gromadził sobie słuchaczy... Niechaj da sprawę, dlaczego...

Wysłańcy napotkali Chrzciciela, gdy właśnie zstępował z tratwy, która go przewiozła przez rzekę. Byli z nim Andrzej, Filip, Kaleb, Saturnin i Lewi. Zgodził się na rozmowę z tetrarchą, ile że mu obozowisko wypadało po drodze. Szedł w stronę góry Nebo.

Herodias zażądała, by posłuchanie odbyło się nawprost jej namiotu.

Antypasowi przygotowano krzesło złociste na wzniesieniu.

Piękna nie wyszła i nie odrazu uchyliła opony.

W purpurowym zmierzchu dobiegł ją głos małżonka, a potem inny, mający proste i twarde, prawie chropawe brzmienie. Przez chwilę z kołyszącą się piersią piła ten dźwięk...

Tak! obraz pod powiekami i pełnia tego głosu mogły się złożyć na wartość godną jej bezcennej urody... Wyciągnęła ramiona jakby już bliska potężnego zespołu...

A tymczasem na zewnątrz rozmowa odbywała się w dziwnym sposobie.

Ze złocistego krzesła wyrzekł Antypas łaskawie:

— Przystąp bliżej!...

— I stąd cię dojrzę — odparł wezwany.

— Ty... mnie... — syknął tetrarcha.

— Mów! — rzekł Chrzciciel.

Co to? kto komu udzielić miał posłuchania? Odwracał się tu stosunek z tak nagłym, niespodziewanym zuchwalstwem, że Antypasa uchwyciło za pierś zdumienie. Był jednakże nadto przezorny, by to okazać po sobie, przytem zaraz po chwili zadrgała w nim ciekawość.

Począł śmiać się dość dobrodusznie:

— Szczególny z ciebie człowiek! powiedział. Wolisz gniew mój wprost wyzwać, niżli nań oczekiwac, chcesz przyspieszyć mowę moją karcącą, pełną sądu... Ale ja także bywam łaskawy... I nynie nie zdruzgocę cię odrazu; wysłucham... Nie sprzeciwie się twym uczynom, jeśli nie najdę winy... Wytlumacz się! Gromadziłeś tu rojowiska ludzkie; czego nauczasz?

— Nie nauczam! — rzekł Chrzciciel.

— Jakto?

Przymrużyły się wąskie źrenice Antypasowe, świdrując tego człowieka spojrzeniem:

— Zaliż wymysłem być może wszystko, co powiadają, że lud cię otacza i słucha?

— Słuchają Głosu!... — odpowiedział spokojnie.

— Chytryś! — zachichotał tetrarcha, ale ponownie spojrzawszy na twarz, śmiech swój urwał. Zaprawdę pojęcie o chytrłości nie mogło mężowi temu przypelznąć nawet do stóp.

— Cóż Głos obwieszcza? — zapytał zcicha już i niepewnie.

— Że idzie Ogień i Duch!...

Antypas utracił grunt pod nogami. Czegoś podobnego nie słyszał nigdy jeszcze ani w mowie, ni w Piśmie. Uczzone rozprawy soferim obijały mu się o uszy i nawet przysłuchiwał im się niekiedy, gdy

wypadało okazywać szczególniejszą gorliwość, ale to zaiste nie było z Hallachy¹⁾ ani z Hagady²⁾).

Przez chwilę zastanawiał się, czyli nie ma do czynienia z szaleńcem. Na wszelki wypadek postanowił go zażyć sposobem, który mu się wydawał nie do zmylenia. Bo nawet jeśli szaleniec, toć przecie nie całkiem godny pogardy, zważywszy, iż umie przyciągać lud. Zaczął surowo:

— Nie pomoże-ć, że wypierasz się nauczania! Wychodzą ku tobie ze wszystkich stron: z ziemi judzkiej i z Jeruszałaim, z Galilei i stąd... Gromadzisz słuchające na judzkim brzegu i tu, zaśię tutaj moje władanie... Mógłbym cię uciemieżyć, tembar-dziej, że odpowiedzi dawasz... niejasne. Ale...

Głos nagle zmieknął:

— Niech się nie trwoży serce twe...

Przybrał ton tajemniczy:

— Jakżebyś się zdumiał, człowiecze, gdybym ja, książę tych dziedzin, zamiast zgromić cię i przegnębić, wydzwignął z pospolitego tłumu na dwór swój i do swej łaski?...

Prawie wyszeptał:

— Dźwignę cię, będziesz w łasce...

Na mgnienie zapanowała cisza.

Do wnętrza purpurowego namiotu doszła odpowiedź spokojna, silna, twarda:

¹⁾ Wykład strony prawnej Zakonu.

²⁾ Wykład strony historycznej i obyczajowej.

— Nie sięgasz mi ty po kolana...

Herodias zakołysała się w czerwonym zmroku. Tam za ścianą stoi oblubieniec jej, pół-bóg urodziwy... Wreszcie! wreszcie!

Chwila dojrzała; upragnienie staje się ciałem, wielkość oczekuje na objęcia rozkoszy... Nie omyliła żądza: to on! to on! Błyskawicznym ruchem dłoni, już rozkochanych, rozchyliła opony.

Na ulewę złotego dnia wyrzała twarz jej prześliczną, w obramieniu szkarłatnych płócien biała białością złowróżbną, wykwitającą z krwi. Unosiła się na czerwonym tle jak zjawisko.

Nie zmrużyły się oczy przed światłem; były już na nim, na oblubieńcu, rozmiłowane, władne, obiecujące bezmiar ognistej pieśzcoty.

Antypas na krześle swem coś bełkotał, mieszając gniew i zdumienie z bezsilnym, cienkim śmiechem. Nie słyszała. Wzrok jej kolejno brał w posiadanie każdy z członków półboga; pieczęcie swoich ogromnych żrenic przyciskała do niego. Gdy po mgnieniu również gwałtownie puściła z powrotem opony, te zafalowały — jak krzyk.

Przed zachodem, rozkazawszy namaszczać się i stroić, czego od paru dni nie bywało, rzekła do Diny:

— Żydzi Marsa lub Zeusa chodzącego po ziemi nazwaliby Mesjaszem? Czy tak?...

— Jestem nieuczona, biedną kobietą, odpowie-

działa służebna, ale tak myślę, że gdyby się pojawił ktoś bardzo mocny, to byłby Mosziah...

— Kłamstwem jest, że bogowie już nie chodzą po ziemi!... zaśmiała się pani, a w tym śmiechu zamigotał i zawrzał złoty żar szczęśliwości.

Antypas rozmawiał z Chużą. Spoczywał na kobiercu i wzorzystych poduszkach u wnijsia do swego namiotu; Chuża przykucnął obok w postawie wyrażającej połączoną z szacunkiem poufalość starego sługi.

— Odprawiłem go z niczem... — mówił tetrarcha.

— Zatrzymał się stąd niedaleko... — powiedział dworzanin.

— Nie dokończyłem rozprawy. Ten człowiek szaleńcem być musi... Ja mu nie sięgam do kolan... Cóżem mógł odpowiedzieć? wytrysnąłem chichotem! Gdybym miał w sercu surowość, skarałbym go krwawą chłostą... Ale serce moje łaskawe... Nieprawdaż?

— Tak! — stwierdził sługa.

— Szaleniec albo śmiałek, jakiego tutaj jeszcze nie spotykano...

I dodał ciszej.

— Potrzebny mi byłby śmiałek...

Umilkł, lecz poczekawszy maluczko, spytał Chużę:

— A więc jest niedaleko?

— Podobno ludzie mają doń jutro ściągnąć... Pozostanie tedy przez pewien czas...

— Należy mieć nań jeszcze baczenie... — mruknął tetrarcha.

W tej chwili lektyka pani przesunęła się niesiona ku strumieniowi. Dźwigało ją czterech niewolników o czarnej, połyskującej skórze; dwie służebne i trzech pacholków szło z tyłu.

— Małżonka twoja chce zażyć przedwieczornego chłodu... — rzekł Chuża.

Antypas podniósł się dosyć szparko.

— Czy co rozkażesz?

— Nie!

I chęć odmieniając, opuścił się na poduszki. Zamknął się w sobie, poczynął coś w głowie ważyć.

Orszak, dotarłszy do smugi krzewin oleandrowych, nie zatrzymał się tutaj, jakby wnioskować można, a więc nie o spoczynek przy strumieniu chodziło. Skierowano się dalej i wprost na wschód, gdzie grunt wstawał.

Dzień był nachylon i zmierzch wypełzał ze skalnych parowów i szczelin.

Góra Nebo na pół widnokregu, z którego ściągnęły się promienie, na pobludłej, chłodnej przestrzeni stała jeszcze bardzo wyraźna i zapatrzona w pożegnálną pożogę przeciwległych, dalekich skał Judei.

Przelewało się tam, od doliny aż nad wierzchołki, jezioro światła czerwono-różowych i złotych.

Jardein¹⁾ znikł już pochłonięty topielą, unicestwiły się wszelkich kształtów zarysy. Toń od spodu ciemniała, rozpalając się wzwyż obłokami nieźrównanie cudnego blasku. Po archanielsku obrebiły się ostre szczyty.

Ze świętej góry Nebo mogłoby teraz umierające spojrzenie Mojżeszowe popłynąć ku obiecanej w światłości ziemi...

Na pewnej wysokości w zacisznym miejscu za wystającym obłamem tlił się ogieniek. Łysa głowa Andrzeja połyskiwała, czerniejąc tylko po bokach mizernymi kępkami włosów. Lewi na okrągłym, rozpalonym kamieniu piekł placek. Nieopodal sączył się wśród głązów potoczek.

Przerazili się ludzie spokojni nagłym odgłosem stąpań i kroków i zamajaczeniem lektyki. Zeszła ku nim z ruchomego łoża postać wyniosła, czarnym płaszczem okryta, z głową świetlistą, uragającą cieniem wieczoru.

Rozejrzała się wokół błyskawicami oczu spragnionych i groźnych.

— Kędy jest mistrz wasz? — rzuciła uczniom krzyk pytający i, nagle z roztworzonego płaszcza lunęła ku nim błękitną zieleńią, srebrem i klejnotami szat.

Zaniemieli w olśnieniu przed tą władną piękno-

¹⁾ Hebrajska nazwa Jordanu.

ścią i przepychem tych barw. Dopiero po chwili urodziwy Saturnin, który w nią patrzył jak w tęczę, odpowiedział urwanym głosem:

— Tam... wyżej!...

Istotnie wyżej był i ogarniony w tej chwili uderzającą w bezmiar tęsknotą, Gdy szła, ostawiwszy sługi, samotna ścieżką stromą, spiesząc ku niemu z piersią rozpieraną gwałtownym oddechem, od którego chrzęściały na sukni drogie kamienie, był na zboczu wyniosłem, a myśli jego ważyły się jak orły — nieskończenie spragnione twarzy słońca.

Srebrzysto-szare cienie zasnuły przepaścistą kędyś dolinę, ale oczy Męża widziały, gdzie w utajeniu owem leżało Martwe Morze. Mógłby skroś dalekość czuciem rozpoznać pod płynącymi mgłami ciężki rytm wód zatrzymanych wieczyście, niepocieszenie gorzkich i smutnych.

Zaś w wysokości ponad głowę jego na górze Nebo mieszkalo spojrzenie Mojżeszowe niewymazane przez wieki.

Wyciągnął ręce, odgraniczając się od wszystkiego.

Przez chwilę w sercu miał całą ciężkość tłukącego się o swe brzegi morza... Tak się rozpoczynała mowa tęsknoty.

Wybuchnęło, rosnące zdawna, jak świat ogromne, nieprzemierzone pragnienie.

— Wieszczę, że idziesz za mną, któryś przede mną wždy był; Ogień i Duch... Ktoś Ty?

Stałem się Głosem, który ziemię przeniknął, by wołała ku Tobie... Wszelki padół jest wypełniony, a pagórek poniżon, miejsca krzywe wyprostowane, a drogi ostre uczynione gładkimi... Oto nadchodzisz, nadchodzisz, przybliżenie Twe słyszę... Ktoś Ty?

Ogień i Duch...

Nazwę Twoją powiada głos mój, lecąc, ale — ktoś Ty?...

Na oka mgnienie przejęło go tchnienie ogniste, niewysłowione, wiecznie czynne, odradzające światy jak krople rozbłyśnięte w słońcu miłosnem. Uczuł się bezgranicznym i roztopił w twórczości...

Ale wnet powróciły rubieże ludzkiej istoty i najwyższa, wysilona tęskność załkała: „objaw się!”

Głosem był niestrudzonym, wołającym we dnie i w nocy, bez wątpliwości, bez zapytania, aż oto nastał czas, gdy zażądał najwierniejszemi oczyma ujrzeć Nadchodzącego...

— Jakoż się okażesz Ty światu? Słupem płomiennym, czy falą przelewającą gwiazdy, czy Metatronem¹⁾, który przedstawia moc Bożą?...

Azaliż mię to napotka, iż przebrzmie, ja, Głos,

¹⁾ Najwyższy z archaniołów.

zanim będziesz ujrany? Obaczą inni działanie Twoje błogosławione; ja nie!...

Mówił tłumom: — Stoi w pośrodku was... — To było jako teraz, gdy przeszło ogniste tchnienie. Wiedział, że On jest, ale pierś nie mogła nieskończoności pomieścić, oczy łaknęły, pragnęły uszy, ręce ścigały się ku dotknięciu... Ktoś ty?

W gęstniejącym już zmierzchu najcudowniejsze zjawisko niewieście pochyliło mu się do kolan z powitalnym okrzykiem: „Mesjaszu!”

Spojrzał. Złota głowa opuszczoną była ku pierścionom; na kolanach poczuł rozpalone pieczęcie jej rąk...

Odięła dłonie; wyprostowała się. Przecudna, subtelna twarz śpiewała tryumf dumnej rozkoszy.

Patrzył. Pierwszy raz miał przy sobie tak blisko — kobietę. Myśl nie umiała odnieść się do niezwykłej, zupełnie nowej rzeczy.

Zapytał:

— Czego żądasz?

Odpowiedziała:

— Ciebie!

Usłyszał, ale to słowo przyszło doń jakby z innego, całkiem obcego mu świata.

— Nie przeszkadzaj mi! — wyrzekł krótko.

Poczęła uśmiechać się błyskami, z których sypały się skry.

— Dla mnie jesteś, jakom ja jest dla ciebie!

— oznajmiła. — Jedynym jesteś na miarę żądy mojej, Mesjaszu!

— Imienia tego nie wymawiaj! — rozkazał.

— Marsie! — szepnęła. — Boć nie Febem należy nazywać ciebie, o, Mocny!

Od bliskości jej płynął ku niemu prąd dotychczas nieznany, gorący i silny. Giętkim ruchem przysiadła na ziemi; war niewidzialnym strumieniem objął mu stopy...

Rozkosz, kłębiąc się, podnosiła głowę u jego nóg...

Po włóknach i nerwach muskularnej postaci przyszła do serca wiadomość.

Oto mógłby schylić się i zanurzyć w rzece... Wstąpić w jezioro upojenia... Widział ją najpiękniejszą; oczekiwała. Rozmiłowane i groźne oczy jej dna nie miały. Mógł pograżyć się w morze szalu...

I — w jednej chwili to wszystko odpadło odeń gdzieś w inny świat.

Pomiędzy nim a żądzą upalną ścieliły się przestworza...

Powiodł wzrokiem po członkach swoich z brązu ukutych. Płomienie syczące u stóp obce im były i bezsilne; nie miał ciała jako narzędzia rozkoszy...

Ogarnęła go dziwna wiedza, nieścigłemi, rozwartemi oczyma patrząca w początek rzeczy. Był świadom, iż uczynił ongiś dar z siebie... Kiedy? Może jeszcze w łonie matczynem... Z woli ducha, gdy

dzieciatko drgnęło po raz pierwszy do życia... Wielki, zupełny dar... I dlatego w sferze, w której przebywał, miejsca na osobistą, drobną, śmiertelną rozkosz nie było...

Gdyby nawet chciał teraz na chwilę skłonić się w posłuchaniu ku tej niewieście, nie znalazłby w sobie maluczkich na jej znikomą miarę sposobów. Wielkość przerosła możliwość pożądania. Ciało stało się posagowem mieszkaniem nieśmiertelnego uczucia.

Napełniła mu duszę przestrzenność...

Ona mówiła. Wszystko, cokolwiek namiętność w królestwie swoim posiada, burzyło się, kipiało, przelewało potokiem. Niektóre słowa rozkwitały jak kwiaty, insze uderzały, jak palącego wichru cios:

— Nie wiesz, co jest utopić się w piękności, ja pociagnę cię w wir! Nie wiesz, że pocałunek mój jest perłą z otchłani mórz wyłowioną; taką perłę, położę ci na usta i przeistoczysz się w jeden ogromny szczęścia krzyk. Klejnoty pieczęci moich osypią ci piersi i ramiona... Bogactwem upojenia biodra swoje opaszysz i będziesz stapał jak król...

Więcej niżeli król... Najpiękniejszą posiadziesz o, ty Zeusie! któryś dla najpiękniejszej zeszedł z Olimpu na ziemię...

Oczekiwałam na ciebie!

Wystarczy ci, mam moc!... Wszystkie boginie helleńskie i rzymskie w zespole nie dałyby ci tego, co ja!...

Dźwięki dochodziły doń z oddali. Jeszcze raz zamigotała świadomość tego, co mogłoby być i zgasła na krawędzi ukojonej przestrzeni.

Herodias szeptała:

— Chcę uwielbić się, jakkolwiek się nazywasz; rozumiesz? Boskim jesteś! Uwielbię cię gorącością, w której moc twa pomnoży się tysiąckrotnie i świat przepychem swoim pokryje! Upadną przed nami na twarz królowie wszyscy, zaśię stopę im postawimy na karku... My godni siebie, my jedyni, my dwoje!...

Teraz już żaden z dźwięków tych nie dosięgnął. Ograniczone ciało znikło mu w świadomości. Przewielką, lekką postacią rozciągnął się ponad ziemią, słuch usłyszał, jak bije serce słońca...

Wyniknął Głos Wołający poza obszary poznawalnego bytu, uderzył o najdalsze, nieścigłe strażnice gwiazd zgubionych...

Odpowiedział mu niewysłowny szelest kroków Nadchodzącego, już blisko, blisko, blisko...

Herodias poczęła się niepokoić. Odczuła niewidzialną przeszkodę. Napór pragnień jej nie mógł dotrzeć do celu, co przeraziło zdumieniem, w którym nawet gniew zgasł.

Oto w posągu tym żywy człowiek był od niej daleko.

Trwoga, nie zaznana aż dotąd nigdy, wionęła na pierś tchem lodowatym. Jak przepaść otworzyło się w myśli przypuszczenie, że może być świat inny,

jej niewiadomy, a kędy on mieszkał w tej chwili. Po raz pierwszy nie namiętność targnęła się, ale serce...

Dusza zaszamotała się, by pójść za nim...

Ślepa w nieznanym sobie uczuciach poderwała się jak drobny, osowiały ptak z nastroszonymi piórami i opadła bezsilna w swej cieśni...

Noc czarnymi usty pocałowała spokojny wierzchołek góry Nebo. W ciemnościach zasnuwających się jak tajemnica nad ranami dnia umarłego, leżała u stóp Męża najpiękniejsza i najdumniejsza wstrząsana rozpaczem łkaniem...

ROZDZIAŁ X.

Działanie.

Serafja od dnia, w którym ją Annas ujrzał w ogrodzie, uczuła, że wpływ miłości jej jest przełamany. Kochanek miewał teraz chwile uniesień potężniejszych niż kiedykolwiek, a jednocześnie wzruszających prawie niewieścią, tkliwą słodyczą. Opa sywał ją ramionami, które pragnęły koić... A jednak w objęciach jego serce jej zamierało od pewności niechybnej niedoli.

Było coś pożegnalnego w piękności jego wspa nialszej i namiętniejszej niżli dotychczas i w poca łunkach łagodnych mimo żaru. Szczęście za każdym razem odpływało dalej i dalej w cichym posze pcie wewnętrznych łkań.

— Musiałam odejść od ciebie... — rzekła mu kiedyś, myśląc o tym momencie spotkania. — Zasię ostał się — on...

I poczęła drzeć wszystkiem ciałem.

Ujął głowę jej w obie ręce, wpił się w twarz jej oczyma,

— Obraz twój wezmę z sobą — do końca... — powiedział miłośnie a ponuro.

Wróciły się do niej z ogromną siłą wspomnienia nieszczęsnych dni wiosennych, kiedy na młode czoło Kajafy zdawał się padać cień jakowejś strasznej przyszłości, a on sam przenikniony klęskami Izra ela chciał się ofiarnym i rozpaczonym rzutem pogra żyć w tę noc... Bojaźń podgryzała jej myśli wszy stkie, w oplocie pieśzczot wydierał się nagły jęk:

— Wtedy rozerwałeś związki serc naszych, pa miętasz? A gdyś po latach znowu mię nazwał umi łowaną, mniemałam, iż złą wieszczbę przemogę...

— Bądź jeszcze ze mną... — poprosił.

— Mniemałam, iż cię zatrzymam, byś ku niej nie szedł, ku ciemności ziejącej jak grób...

— Pozostań jeszcze!

— Idziesz, idziesz! — szepnęła.

Pochylił się, ocieniając ją całą swą rozrośniętą postacią:

— A więc ty, kochanko moja, pójdz za mną.

Zapanowała chwila cichości naprężonej od koła tania mogących pęknąć serc.

Wreszcie Serafja wyrzekła bardzo zmienionym głosem:

— Pójdę, dopóki będę mogła iść... Aż do skraju...

Od tego czasu istotnie w każdym zetknięciu, w uściskach, któreby jeszcze powinny być szczęśli-

we, zdawało im się, że idą... A u kresu drogi noc czernią ziała.

Aram zdawna nie mieszkał doma. Wciągnęła go pustynia i przykuł do siebie Głos Wołający. Kiedyś z początku parokrotnie przysyłał wieści żonie, oznajmiając, iż nierychło powróci. Potem całkiem zaniechał.

Synka jedynaka, uprosiwszy o to, wzięła do się na dłuższą gościnę siostra Lazarusowa Marta, która niezamężną będąc, a macierzyństwa spragnioną, wielce miłowała obecność dzieci.

Tedy po izbach pustych przesuwiała się Serafja, mierząc głębie beznadziejności w swojej zacichłej duszy. Niejednokrotnie o zmroku w niewieściej komnacie przystawała z opuszczonemi rękoma, nie rozkazując rozniecać światła. Natenczas po pewnej chwili poczynano się jej wydawać, że stopy kroczą... Zrazu zwolna, potem coraz chyżej i chyżej, pędzone przez nielitośny mus... Oddech zamierał w piersi, a na głowie jeżyły się włosy. Im bliżej, tem okropniej... Czarne oblicze otchłani wynurzało się i wzdymało i rosło jak podniesiony wał ogromnych wód, które runą. I naprzeciwko tej nadchodzącej grozie trzeba było biedz coraz prędzej w śmiertelnem, ostatecznem zdyszanii. Wyciągała ręce, padając w przestrzeń — i uderzała się o ścianę komnaty...

W cieniach wieczornych rozlegał się wtedy jej płacz przerażony, sprowadzający starą służebną.

Wyschłe, pomarszczone palce musiały długo, delikatnie gładzić twarz i ramiona, podczas gdy trzęsący się głos dogadywał jakąś bezmyślną pociechę.

Wrócona do przytomności kobieta zacinała się znów w swojej żałobnej ciszy.

Pewnego poranku ta sama stara służebna przyszła z wieścią piorunującą:

— Powiadają, iż zachorzał Kohen-ha-Gadol.

Serafja porwała się, jakby chcąc biec, ale opadła wnet na siedzenie. Z pochyłą głową wy-rzekła cicho:

— Wiem, iż od chorości onej nie umrze...

I jeszcze szept obniżając, że zaledwo drżał na poblądłych ustach, dodała:

— Gdyby nynie zmarł, byłoby może lepiej... dla niego... i mnie...

W dworzyszczu Kajafy panował popłoch: arcykapłan od wczorajszego wieczora nie dźwigał się z łoża.

Dano znać lekarzowi, utrzymywanemu na stałe przy świątyni. Pośpieszył Fineas Ben Abner, już z góry natężając w sobie wszystkie władze umysłu. Gdy wsuwał się do izby chorego, nieledwie widać było myśl pracującą w ściągniętych pionowo zmarszczkach czoła.

Pomimo dosyć młodego wieku posiadał sławę biegłości ustaloną; teraz trafiała się sposobność zwiększyć ją jeszcze przez starania około takiej

osoby! Boć nie mogło przecie być mowy o złym wyniku... On, Fineas, nie byłby zdołał? Niech Najwyższy od takich przypuszczeń broni!

Wyleczy najdostojniejszą osobę może odrazu, może w jakie dni trzy, albo cztery. Toć wiadomą jest rzeczą, że choroba każda pochodzi od naruszenia równowagi części stałych, płynnych i lotnych, które wszystkie w odpowiednich ilościach powinny istnieć w ciele... Kohen-ha-Gadol zazwyczaj dużą gorącość okazywał, musiał mieć w sobie zawiele — waru!... A to składnikom stałym przeszkadza... Tak! Fineas zauważył to sobie już kiedyś... przedtem i dzięki temu obecnie rychło zaradzi niedobrej sprawie...

W komnacie znajdował się Jonatan Ben Annas, szwagier Kajafy, piastujący godność Sagana¹⁾. Lekarz przemówił doń z cicha z ostrożną chępliwością:

— Niepokoisz się, panie? — Zaufaj mi... Jużem prawie pewien, co choremu dolega, a pewnym będąc, dam niezawodny środek...

Twarz Jonatana, do ojcowskiej trochę podobna, zadrgała złośliwie:

— Sprobuj!

Fineas na palcach skierował się ku łożu; gdy tak szedł, kołysała się nieco jego cienka, wysoka postać. Kajafa nie otwierał oczu. Lekarz chrząknął le-

¹⁾ Wtóry w hierarchji po arcykapłanie.

ciutko. Pierś arcykapłana podnosiła się w ciężkim, wysiłonym oddechu.

— Kohen-ha-Gadol... — zaczął Fineas półgłosem.

Szczupła, nerwowo drżąca dłoń Kajafy szarpnęła rąbek purpurowego ze złotem przykrycia, nawiodła je sobie na głowę.

— Nie będzie mówił z tobą — wyrzekł Jonatan.

— Zaczekam — szepnął Fineas.

Miał na ustach wykrzywienie przez zawód sprawione, ale w wyrazie ócz cierpliwość. Przysiadł na rozścielonym kobiercu w bliskości łoża.

Minęło parę przeciągłych chwil.

— Nie doczekasz się! Do nikogo nie chciał odezwać się słowem!...

— Możebym doń przystąpił? — poradził się Fineas trochę lęklawie.

— Ano, znów sprobuj!

Ale tu z pod nakrycia wydobył się dźwięk chrapliwy, a tak groźny, iż dźwigająca się postać lekarza szybko opadła na pięty.

Jonatan wyszedł z cichym, trochę skrzeczącym śmiechem.

W niewieściem skrzydle domu udzielił wiadomości siostrze Hecybie:

— Trudno zgadnąć, co w nim się dzieje?... Czy, niebezpieczna choroba, czy też nic zgoła...

— Nie może to być niczem — powiedziała Hecybah.

— Gdyby choroba, siostró i... śmierć?... Nie z ciężkiem sercem usiadłabyś żałobnie na ziemi, ani by ręce twoje szukały włosienicy!...

— Niech on nie umiera! — wyrzekła spokojnie choć ponuro.

— Tak o nim mówisz nynie, aczkolwiek już za życia jego — wdową!

— Niemasz mnie! — wyszeptała. — Byłam i zwiędłam, zasię on jest... Tak być musi...

Po rysach Jonatana przewinął się skurcz zazdrości.

— Oczyma rodzica naszego patrzysz nań? Rodzica, który wywyższa go nad swe własne dzieci!...

— Już nie patrzę nań wcale! — odpowiedziała. Ani wzrokiem nienawiści, ni żądy.. Przeminełam! Ale w nim przechowane ma być coś wielkiego...

— Ojciec to w nim upatruje i przekłada obcego nad syny! — mruknął Ben Annas z goryczą.

Popołudnie mijało bez inszych wieści.

Zamyśliła się Hecybah, czy posłać służebne z pytaniem, czy też wybrać się samej, bo jeśli choroba istotnie rozwielniona, przystoi nawiedzić... może ostatni raz... Na przypuszczenie zgonu małżonka nie miała w sobie żadnego wyraźnego uczucia. Jakieś tępe, głucho bolesne zdumienie przyniosło pierś i mózg. Zajdzie i on jak słońce, które świe-

ciło poprzez chmury złoto-czerwonem okiem? A gdzie nadzieje, dla których rodzony ojciec kazał jej zsyhać spokojnie jak podeptany kwiat?...

W osowiałej głowie ważyła, co czynić ma. Wreszcie zawoławszy dziewczki, skierowała się z niemi pospołu ku skrzydłu męskiemu. Wyśle je przodem zapytać, a jeśli istotnie rzecz groźna — wnijdzie sama.

W dużym dziedzińcu spotkał ją Fineas Ben Abner.

Poznawszy żonę Kajafy, zawołał:

— Aj! co się to stało! co stało!

Twarz miał tak ogromnie strapioną, że serce w niej zdrętwiało jakimś ostatnim odruchem.

— Umarł? — spytała cicho.

— Nie! dźwignął się i udał na miasto... Kazał się sługom nieść w lektyce... Jakże to może być? Ja, lekarz, z całą nauką moją i gotowością wyczekuję od rana, a on nic sobie radzić nie dawa i zagnęła — wstaje! Jakby wcale nigdy nie chorzał! Hoi! czyż na nic nieprzydatna jest wiedza moja? To wielki dla mnie zawód! wielki wstyd na uczoność moją! O, hoi!

Nie badała go, dokąd małżonek podążył, czy ku pałacowi jej ojca, czy w inną stronę... O niewierności Kajafy dochodziły ją już od pewnego czasu wieści głuche. Nie mogły nie dochodzić; otaczały ją jak

złowroga mgła. Ale nie przenikały w serce, zaworami śmiertelnej rezygnacji zamknięte.

Gwałtowność tej natury złamała się w ostatnim najsilniejszym napięciu. Teraz była to miłośnica naprawdę do cna zeschnięta, zresztą i siły cielesne poczęła szybko tracić.

Powróciwszy do izb swych, rzekła małym synom:

— Żywie ojciec wasz i zapewne zdrów będzie...

Ucieszyli się, chociaż bez głośnej radości. Były to bardzo skryte i smutne dzieci.

Pomilczawszy chwilę, dodała Hecybah:

— Aliści matka wasza niedługo zstąpi w grób...

— Dlaczego? — spytał młodszy ciekawie.

Nie mogłaby wytłumaczyć nie tylko dziecku, ale i samej sobie. Czy pewno, że los Kajafy pocznie świecić przez chmury, znagła ukazała jej na przeciwnym krańcu już ostateczną niemożność własnego istnienia?

Powiedziała:

— Nie masz przystojnego miejsca dla matki waszej, jeno w pośmiertnych obowiązkach i w całunie...

— Nie przestronno ci tutaj w tej izbie? i w innych? w całym dworze? — I malec wodził badawczym wzrokiem po ścianach.

Starszy nie dopytywał się; stwierdził posępnie:

— Ty nas cokolwiek miłujesz, matko; po tobie nie będzie nikt...

Przesunęła spojrzenie po czarnych głowinach, które ku zatrzymaniu jej nie posiadały mocy.

Chłopiec wymówił:

— Ojciec k'nam serca nie ma...

Smutny ale twardy był głos jej, gdy odpowiedziała:

— I ja mam niewiele...

Położyła ręce swe na ramionach dzieci.

— Ojciec podniesie was wysoko...

— Wysoko... — powtórzyli cienkimi głosikami w bezwiednej zadumie.

Serafia nie zadziwiła się, ujrawszy arcykapłana:

— Do miłującej cię przychodzisz, gdy grot masz w duszy... Jawnie nawiedzasz mię i otom ku tobie wszystka podana, aczkolwiek zniesławia mię dla onej przyczyny i może będą chcieli kamienować — podług Zakonu...

— Oślonię cię — odpowiedział.

A ona rzekła poprostu z głębokim przekonaniem:

— Myślę, że omijałyby mię, nie kalecząc, kamienie... Bo chociażem żona — nie twoja, nie mieszkam we mnie wina...

Oznajmiał:

— Odgadłaś, że przeniknął mię grot. To dusza moja ugodzona rzuciła ciało na łóżko. Rozparł mię ból gwałtowny, od którego członki na czas zemdla-

ły. Bo złamana jest gorąca nadzieja ma w tym człowieku...

— W proroku, mężu z pustyni?... — szepnęła pytająco.

— Tak!... Dłonie nadziei mojej już dosięgły spełnienia, gdy wtem podruzgotało się wszystko od nędnego uporu tego człowieka. Który mógłby lud poprowadzić — nie chce!

— Jakto? — spytała z trwogą.

— Nie chce ogłosić się pomazańcem i wodzem!

— Nie jest nim?... wyszeptala jakby sama do siebie, a szelest głosu kołysał się między pytaniem i rodzącem się w głębi twierdzeniem.

Ale Kajafa nie słyszał. Pograżony w myślach swych mówił:

— Umiera ból mój w gniewie... Gdy wściekłość rozlała mi się po żyłach, uczułem w członkach moc obudzoną i powstałem z pościeli. Działać pragnę!

Zatargał nią ostry niepokój:

— Co zamierzyłeś?

— Należy męża tego — przymusić!...

Dech jej odjęło:

— Można-li? jakże?

— Skoro jedynie odpowiednim jest, a przecie się wzbrania... Azaliż sposobność uratowania wypuścim niegodnie z rąk?... Lud by za nim poszedł! czy słyszysz? Lud by na jego skinienie wstał, a on znaku nie dawa!

— Uciszyć się, mój drogi... — prosiła przełęczoną jego wzburzeniem.

— Nie uciszę się już nigdy, niewiasto!

Widziała, że mówił prawdę; pracowała w nim śmiertelna zaciętość, podrzucająca sercem, które od-tąd musiało bić tylko dla jednego zamiaru:

— Opanujemy go, przynaglím, będzie musiał! Wywyższym go, chociażby się chował, zaświecím nim, chociażby chciał gasnąć! Uczyním zeń pochodnię, która wypali plugawe oczy wrogowi, Edomowi dzisiejszych dni, — Romie!

Gdy opuścił ją, pozostała w dziwnych uczuciach. Nie były całkiem ciemne, aczkolwiek rozumiała, jak bardzo dola ukochanego związaną jest ze sprawą proroka. Gdyby mąż ten był się okazał Mesjaszem! Przypominała sobie lzy srebrzystej radości, z którymi ongiś obwieściła Kajafie błogosławioną wiadomość z pustyni... Kohen-ha-Gadol wszystką gorącość swoją oddałby w służbę wielkiemu wodzowi... Odwróciłby się, z nim idąc, w stronę inną... Jasną... Ukoiłby duszę w czynach owocnych, w zwycięztwie, w świętego ludu chwale...

Pojmowała, iż powinnyaby się w niej podnieść ogromna żalność ku temu, który nie chciał... A jednakże się nie wznosiła... Jakies światelka rozbłyskiwały w uczuciach, nikłe zrazu, lecz słodkie... Coś się nachylało, jakgdyby chcąc słyszeć głos daleki... Czemże był, który oto sławę i godność najwyższą

do rąk podawaną sobie odsuwał? Wszakże nie zwo-
dził serc, nie napróżno lud poruszył nadzieją...

Przebiegł ją, zagnął wiew wewnętrzny tak sub-
telny i przenikliwy, że zadygotał w każdej kropelce
krwi: — Co poza mężem tym jest? Kto — jest?

Zdumiała się sama zapytaniu swojemu, ale już
ono ją całą nappełniło nieutamowanym, żywym sze-
lestem... W półtrwożnym, upojonym ruchu splecio-
ne ręce podźwignęła do czoła...

Rozległ się poza ścianą stukot drobnych, kłu-
sujących kopytek, zaszczebiotał ze śmiechem dzie-
cięcy głos. Matka, ocuciwszy się, otwarła drzwi
i wyrzała.

Snop złocistych promieni wpadł w mroczną
izbę. W podwórku wewnętrznym już stał niewielki,
czarny osiołek, a siedzący na nim mały Amandor
zanosił się od śmiechu. Sługa w ciemno-niebieskim
„kuttonecie“ i brunatnym płaszczu, z głową owiniętą
chustami, pozdrowił panią. To Marta odsyłała sy-
neczka pod opieką domownika zaufanego, bowiem
wypadło jej samej udać się w podróż niespodzie-
waną.

Chłopiec, zgramoliwszy się z osła, opowiadał
matce, jako się właśnie, dojeżdżając do miejsca,
ścigał z paroma już całkiem dużemi wyrostkami
i jako ich potrafił wyprzedzić. Dzwoniły srebrne
wybuchy dziecięcego zadowolenia. Potem przyłgnał
do Serafji swem smukłym ciałkiem i kędzierzawą,
rudo-złotą głowiną; pił ciepło matczyne uścisku.

Dała mu kawał słodkiego, figowego placka; jadł
i świergotał.

Było mu dobrze w Betanji, w domostwie z ogro-
dem na pochyłości wzgórza. Bawił się wśród „ka-
rubów“ i drzew migdałowych. Wdrapawszy się na
mur, widywał w oddali drogę ku Jerychu biegnącą,
jak wchodziła i opadała skrętami po falistości pu-
stynnej, skalistej gleby.

Ale oto w dniu wczorajszym pojawił się Laza-
rus, którego nie widziano oddawna. Przyjechał na
pięknym białym mule, bardzo zakurzony jakby zda-
leka. Słudzy jego także na mułach siedzieli, a mieli
ze sobą toboły i sakwy. Marta rozplakała się, oba-
czywszy brata, a nazajutrz uścisnęła Amandora i po-
darowała mu spory woreczek suszonych słodkich
daktyli i powiedziała, że go do matki odsyła.

— Lazarus jest taki biały! — gwarzył chło-
piec. — I ma takie dziwne wejście... Ale się go nie
boję; musi być dobry jak Marta!

Pogłaskał mię po głowie i mówił, że mi kogoś
świętego pokaże, gdy będę większy. Czyś ty, mat-
ko, widziała kiedy świętego?

— Nie, dziecko... — odparła Serafja cichym
głosem.

— Słyszałem, jak oni potem rozmawiali ze sobą
wieczorem. Marta się czemuś dziwiła i naprzemian
trochę się śmiała i trochę płakała.

Lazarus opowiadał, że jest gdzieś, nie wiem,

gdzie... mąż, który na pustyni żyje i głosi, iż przyjdzie po nim niedługo wielki król...

— Król, syneczku?

Ręce Serafji, położone na barkach dziecka zdrżały.

— Tak! zapamiętałem dobrze! Marta tak samo jak ty teraz pytała: król? A Lazarus mówił: Mościach...

Serafja osunęła się na kolana...

Kajafa nad wykonaniem swej myśli pracował gorączkowo.

Wezwał do siebie Józefa z Arymatei, który wysłańców, współtowarzyszy swoich był puścił przodem, a sam powrócił dopiero ze znacznym opóźnieniem.

Rozmowa odbyła się w sposób gwałtowny z jednej, a wielce naprężon z drugiej strony. Kohen-ha-Gadol miał w piersiach burzę, która z hukiem i świstem wlewała się w wątek słów, zaś Józef widocznie coś zamykał i taił w sobie, uchylał się od bardziej stanowczych odpowiedzi, chwilami zdawał się przed gradem zapytań ochraniać jakiś wewnętrzny skarb.

— Nie umiałeś nacisnąć nań gorącością, która od serca mego szła! — krzychał Kajafa. — Nie umiałeś być wysłannikiem rozplomienionym wolą! Prostemu, pustynnemu mężowi nie potrafiłeś wytłumaczyć — czem jest!

— Pustynny-ć on i zda się, że prosty, — odrzekł Józef pomału — ale...

— Dlaczego nie tchnąłeś weń przekonania?...

Łagodne oczy Józefa nabrały uroczystego wyrazu:

— W niego tchnąć? To od jego postaci i głosu wicher idzie...

— Tedy widzisz, co ominąłeś przez niedołęstwo swoje! Rozumiesz? Ten człowiek musi być dźwignionym na czoło... Ja, Kohen-ha-Gadol, ogłoszę go — Mesjaszem!

Słowa upadły ciężkie zuchwalstwem i rozżarzone rozpaczem postanowieniem.

Józef zbladł od nagłego wrażenia:

— Nie można, gdy zaprzeczył... — rzekł wreszcie z pomieszaniem wyraźnym i trudem.

— Rozszerzaj wieści, że — jest! czy pojmujesz? W Jeruszałaim w Sanhedrynie i wśród Peruszym rozszerzaj! Tłumom Am-ha'arez każ podszeptywać; rozszerzaj! Na pustynię wróć się i mów! Niechaj go gwar ten otoczy! Niedołęstwo swoje naprawiaj! wieść szersz!

Patrzył rozkazująco, wrzał i płonął.

Józef wycofał się nieswój i wzruszon ze słowami wytłumaczenia, które siadały na ustach i gasły niewymówione.

Arcykapłan już się świekra nie radził, nie zapytał go ani razu o zdanie. Runął w drogę i szedł na

oślepi. Głośno mówił, iż czas jest dopełnion i pomazaniec wnet się objawi. Jonatanowi Ben Uziel rzucił wprost w twarz zniewagę, że głupcem jest, bo nie poznał wielkości pod prostym, szorstkim pozorem i dał się złudzić umyślnemu — na próbę przeczeniu.

Niektórzy z wybitniejszych Kannaim przybliżali się teraz do Kajafy otwarcie. Gadano w mieście, że zatargi się rozplątały, że są rozpoczęte układy...

Annas zadychiwał się z wściekłości i przerażenia, jednakże umiał to w sobie dusić i dokonywał nieustannych wysiłków, aby przynajmniej nie stracić z oczu dalszych kroków znarowionego zięcia. Dłonie jego od lat tyłu przyzwyczajone do kierowania drżały z gniewu, ale były gotowe przy pierwszej zdarzonej sposobności znowu pochwycić wodze. Otoczył Kajafę gromadą szpiegów, którzy mu donosili o wszystkim, czego nie mógł sam bezpośrednio pilnować, o postępach, ruchach i słowach. W ten sposób pewnym był, iż się w każdej ważniejszej chwili jeszcze na czas pojawić zdoła i ostatecznemu szaleństwu przeszkodzi.

Któregoś dnia taka wieść szpiegowska gwałtowniej niżeli inne zatargała obawami Annasa. Kohenha-Gadol w południowym krużganku świątynnym rozmawiał z Simonem Ben Juda, bratem Jakóba...

Zebrał się świekier, by pośpieszyć na miejsce, bowiem mogła zająć tam potrzeba już stanowczego wystąpienia.

Idącego zatrzymał syn Jonatan.

— Czas, byś poniechał zięcia! — rzekł gorąco, a jednak nieśmiało, bowiem się ojca bał. — Już nie wybudujesz nic na zdadnościach Kajafy!...

Annas rzucił nań rozdrażnione spojrzenie.

— Myślisz, żem go... utracił?

— Żeś się zawiódł! — odpowiedział syn jeszcze gniewniej i jeszcze trwoźniej.

— Nie wypuściłem go całkiem z rąk! — syknął ojciec. — Obaczycie, że ostatecznie postąpi podług mej woli! To ja mu poddam rozstrzygający czyn!

We wspaniałej, południowej przedsieni, zwanej Salomonową, od cedrowej powały zsuwał się lekki cień, poczwórny rząd cudnych kolumn bielił się zjawiskowo jak las pni nieziemskich, wyhodowanych ku zachwytowi ócz...

Annas przeszedł cichemi kroki. Nie przybliżając się, objął badawczym wzrokiem głowę Kajafy, ale ten był odwrócon, natomiast spojrzenie spotkał Simon Ben Juda i odpowiedział zuchwale drwiącym błyskiem.

Skrzywił się Annas wzgardliwie. Po czternastu schodach wstąpił w okrąg wolny, „dziejnieniec pogan“, a stamtąd znowu po pięciu i przez jedną z bram w obwodowym murze wszedł na Azarah¹⁾. Z jeszcze cokolwiek wzniesionego Ezrat-Izrael²⁾

¹⁾ Właściwy obwód świątyni.

²⁾ Dziejnieniec Izraela.

i najwyższego Ezrat-Kohanim¹⁾) mógł bystremi oczyma łąćno mieć na baczeniu, co się działo wpośród kolumn w przedsieniach.

Ben Juda mówił do arcykapłana ze śmiałością, która zrywała się raz po raz buńczucznie i załamywała jakgdyby w jakowemś wewnętrznym upokorzeniu. Był hardy, a nierówny:

— Doszedłeś, Kohen-ha-Gadol, do przekonania, iż trzeba, nie odwołując, postawić kogoś na czele! A dlaczegoż brata mego odrzucił?

— Twój brat? Od zmysłów odchodziłem z wściekłości, taką mi to było — dla świętej rzeczy zniewagą!

Zdawało się przez chwilę, iż sobie wzajem skoczą do gardła, ale Ben Juda zmaćił się nagle:

— Zanadto gorzko nazywasz... Przeświadczysz się jeszcze i pomiarkujesz...

— Chcę mówić o wielkim wodzu i wielkiem przedsięwzięciu! — rzekł dumnie Kajafa.

Głos Simona wybuchnął:

— Jeśli się na wielkiego wodza nie nada żaden z proroków...

Zachwiał się i dokończył z rozdźwiękiem:

— Niechaj wywyższon będzie brat mój!

Ręce Kajafy wpiły mu się w ramiona:

¹⁾ Dziedzieniec kapłanów.

— Nada się! Kohen-ha-Gadol dostojęństwo jego obwieści ludowi! Ściągajcie się w szeregi... Przepasujcie miecze! Niech każdy wojownik wie i w sercu ma wryte, że idzie walczyć pod dowództwem króla Mosziah!... Wojsko doń przyprowadzim a wtedy będzie musiał pójść przodem i wyznać, że zaiste przysłanym jest, by uczynił koniec nieszczęściu Izraela!...

— O którym proroku mówisz tak? — spytał Simon.

— Jakto?

— Sądziłszy i my, że on jeden... Który na pustyni głos ma podobien do grzmotu. Wieści w Galilei i wieści w Jeruzalaim wiązaliśmy w jedną rzecz... Lecz okazało się coś innego... Jest prorok drugi...

— Gdzie? gdzie?

— Jeszcześmy nie zdołali dociec... W Galilei szelestem rozpowiadają... Chadza wiadomość jak wiew cichego wiatru, albo słonecznych promieni przelatywanie...

Kajafa był żywo przejęty, a nawet wstrząśnion, ale się opanował. Żył mu na czole nabrzmiały:

— Czas nagli, wyrzekł cicho; nieszczęście nasze dojrzało! Zakrzatnijmy się by... przymusić tego, o którym wiemy, że mocny... Niech rozpoczyna bój...

— Gdyby brat mój nie słabnął w dumnym po-

rywie... Gdyby on sam w swem sercu nie szukał — godniejszego... — wyszeptał z żalem Ben Juda.

Kajafa jął szczegółowo wyklądać, jak należy wziąć się do rzeczy. Naradzali się długą chwilę przyciszonymi głosy.

Na świętem wzgórzu ruch był dnia tego niewielki. W dziedzińcu pogan tu, owdzie, siedzieli przepuknie z gołębiami, które się trzepotały w pierzastych chmurkach białych i pstrych. Na Azarah, w obu podwórcach: męskim i żeńskim przesuwaly się nieliczne gromadki i zrzadka stały zamodlone postacie, rytmicznym ruchem podające się naprzód i wtył. Głębinie niebios ponad tem wszystkim były przedziwnie łaskawe, obejmujące świat czystą kopułą, z której mżyły litośne, nieupalne promienie.

Kajafa w pewnym momencie doznał dziwnego wrażenia. Ktoś nań patrzył. Nietylko na niego, ale i przezeń kędyś wdał, patrzył z zamyśleniem, które płynęło jak fala światła. Było w tem coś jak smutek urodzony z litosnego współczucia, lecz przedewszystkiem ogromnie wiele słodczy.

Szybko wzrok podniósł. Ujrzał twarz kobiecą, której rysów nie byłby w stanie określić; pojął raczej, niżli obaczył, że jest precudnie piękną. Uczuł na sercu dotknięcie kwiatów białych... Zdumiał się; nie zauważył był przedtem w tem miejscu żadnej niezwyklej postaci...

Stała prawie we wrotach wiodących z Ezrat-

Naszim¹⁾. Gdy patrzyła, na wzburzone jego tętna sy- pały się jakby kwiaty niepokalane, wonne i żywe; potem wydało mu się, że to dłonie jej chcą objąć serce nabrzmiałe bólem i dumą.

Znowu spojrzął: ze spuszczonech, szczupłych, przepięknych rąk rozchodziły się jasne, ciche promyki...

Na mgnienie wpłynęło mu do piersi ciepło naj- żywszego współodczuwania; zaszeleściał najserdeczniejszy dźwięk, wyraz: siostra... Skronie pochyliły się, by otrzymać pocałunek błogosławiący, matka przeświecistym objęciem ogarniała mu czoło...

Ale wzrok jej wdał patrzył i serce jego ponie- sione być miało w przestrzeń na falach przebacza- jącej słodczy...

Szarpnął się w pomieszany odruchu zdziwie- nia i niepokoju, buntu i — żalu... Odwrócił głowę.

Twarz jej spoglądała, jakby ją miał przed sobą...

Wykreślił się już nie tylko obliczem, lecz wszy- stkiem ciałem; ta sama twarz ukazała mu się patzą- ca z miłością — daleko. Na prawo i w lewo, naprzód i wstecz... Zadygotało w nim przerażenie.

Przetarł oczy i — widział. Zamknął powieki i widział ciągle bez zmiany.

Ze zdławionym krzykiem zatargał ramieniem Simona.

¹⁾ Dziedziniec niewiast.

— Kto to jest? kto to?

— Gdzie?

— Ależ tam?

Ostro wyciągnięty palec wskazywał.

— Nie masz zgoła nikogo...

Ręka Kajafy wciąż wyciągnioną była w kierunku Ezrat-Naszim.

— Nie dostrzegam, gdzie wskazujesz, nikogo...

Annas, który zdaleka zauważył, że coś się dzieje, biegł teraz ku nim, unosząc przednią połę szat swych w pośpiechu.

Kajafa oprzytomniał:

— Kto był? Ktoś musiał tam być przed chwilą...

— Mogły się modlić niewiasty zbożne... — odrzekł Ben Juda.

A nadbiegły za Annasem lewita powiódł wzrokiem w stronę ukazywaną: — Była, ale już pewien czas jak odeszła, niewiasta Miriam, żona cieśli galilejskiego Józefa...

ROZDZIAŁ XI.

Aż do brzegu przepaści.

Antypas zaciekł się, by zawiązać stosunki z Chrzcicielem. Po pierwszych momentach gniewu i bardziej udawanego niżeli istotnego lekceważenia poczęła w nim tem silniej nurtować ciekawość co do tego człowieka. Przytem nie chciał wyrzekać się planów, które mu się zdawały tak doskonałe, tak chytrze obmyślane.

Śmiałka uczyni — swym przyjacielem... Mniejsza o to, czy obłąkaniec to jest, czy prorok, może jedno i drugie... Ale lud w niego wierzy! Uczynienie takiego — stronnikiem i druham równać się będzie zasłonięciu się nagle przed oburzeniem pospólstwa tarczą mocną... Zdumieją się zrazu, ale potem ktoś się poważy upatrywać występku tetrarchy za podobnym puklerzem. Wygra sprawę zawiłą i groźną, rozstrzygnie ją po swojemu, ulubionym sposobem dogodzenia i przeciwnikom i sobie...

Herodias powróciła do Tyberjady; nie zatrzymał jej, raczej na rękę, wypadało mu obecne odda-

lenie olśniewającej niewiasty. Grzech w ten sposób usuwał się nieco z publicznego widoku, co ułatwi zabiegi... Małżonka była w ostatnich dniach dziwnie cicha; nie zwyczajnem sobie, niepokojącem zamyśleniem przed burzą, ale jakby wewnętrznem zgięciem czy przełamaniem.

Po odjeździe jej tetrarcha ze swym pomniejszonym taborem posunął się nieco w górę rzeki za śladami Chrzyciela i jego słuchaczy; miał go na oku.

I przeczekawszy tak dni parę w pobliżu, kazał ponownie sprowadzić do się Męża. Ten przyszedł wprawdzie, ale dopiero na drugi dzień po wezwaniu.

Rozpoczęło się całkiem inaczej niżli za pierwszym spotkaniem, Antypas nie przemawiał z wyżyn swej władzy, przybrał wyraz i ton jakgdyby zamyślony i cokolwiek smutny i prawie korny:

— Znieważyłeś mnie, ale — mędrcomi wybaczam. Co więcej rozpamiętywam, azali nie masz właśnie... słuszności... Przykłady są, że wywyższani bywali mędracy nad władców... Tak! na mądrości powinna się władza opierać i od niej uczyć... Ty musisz wiedzieć wiele, skoroś o sobie powiedział z taką dumą... Możebym stał się ja... uczniem twoim?...

Rzucił pytanie trochę niższonym głosem i nie wprost Mężowi, ale przed siebie. Zmrużył oczy. Ukośnie po przez szczeliny powiek spoglądał, badając, jak na tamtego twarzy wybuchnie w pysze radosna odpowiedź.

Ale Chrzyciel myślał przez chwilę. Zdawało się, że istotnie usiłuje dostrzec i wyrozumieć coś niezmiernie drobnego. Obraza poczyniała Antypasa ponownie dławić, gdy zabrzmiały spokojne słowa:

— Nie żywisz prawdziwej woli.

Tetrarcha zachnął się. Potem roześmiał się prawie szczerze:

— Nie pewien-eś, jak widzę, swej wiedzy.

Jeszcze nie mógł zrozumieć, iż nie zachodziło tu żadne podejsście, że to nie jakaś nadzwyczajna przebiegłość występowała mierzyć się z jego sprytem.

Powoli i z trudnością poczęła mu w podejrzliwych myślach prześwitywać ta prawda i wtedy napłynęło nań takie zdumienie, iż zgubił się w niem na pewien czas całkowicie.

Stosownie do natury swej powinien był odstąpić niepojętej, nie dającej się obejść rzeczy. Jednakże nie uczynił tego. Ciekawość trwała jeszcze, obecnie połączona z jakąś zabobonną trwogą.

Niejednokrotnie dostawiać się kazał na miejsca, gdzie Chrzyciel mówił do tłumu. Koła wozu zatapiały się w złotym piasku, a nad głowami podróżnych bezdenna, pustynna cisza pławiła się w przejrzystości powietrza i w żarze. Nie wysiadając, przysłuchiwał się tetrarcha z pewnego oddalenia, poczem po rozejściu się gromad niekiedy podwoływał Chrzyciela albo zgoła sam się do niego zbliżał i rzu-

cał słów kilka niepewnych, napół przyjacielskich, a napół badawczych i spragnionych.

Któregoś dnia rzekł mu Chrzciciel:

— Słuchaczom swoim powiadam: Kto ma dwie suknie, niechaj udzieli temu, co niema. Jakoż więc będzie z tobą, który posiadasz tak wiele?

Antypas odpowiedział:

— Słyszałem jak pouczałeś Gabbaim¹⁾: nie wyciągajcie więcej nad to, co wam jest postanowieniem! Owóz ja nie wyciągam nic ponad miarę; postanowiona mi godność ma i bogactwo moje!

— Lisie! — wymówił Chrzciciel.

Antypas uczynił rękoma ruch łaskawy.

— Daruję-ć i to! Długa a wspaniała cierpliwość moja przekona cię i przywiąże do łaski mej!...

Utrwalał się dziwny stosunek.

Wśród ludu jedni z niedowierzaniem niechętnem spoglądali na zachowywanie się Herodjana - tetrarchy, drugich przeciwnie utwierdzało to jeszcze w przekonaniu o wielkości proroka.

Antypas był sam z siebie zadowolony. Wprawdzie zamysły jego nie stawały się jeszcze rzeczywistością, ale już w tem widział korzyść, że zagadkowego męża ma bezpośrednio na oku i na odległość swych rąk...

— Inszy władca nie raczyłby się sam trudzić!

¹⁾ Celnicy.

mówił do Chuzy. Wysłanniki byłby wyprawił, zaśie któryż to goniec umie zażegnać niebezpieczeństwo w iskierce? Rozruch mógłby się snadnie urodzić tutaj z najdrobniejszego powodu!... Ale ja się zbliżyłem i czuwaam!

Chuza przytakiwał panu z uszanowaniem, ale miał w dniu tym na obliczu tak widoczny wyraz strapienia, że tetrarcha zwrócił na to uwagę. Przeciągnął się na postaniu, (było to czasu spoczynku południowego) i rzekł dobrotliwie:

— Mów, co ci się przydarzyło.

— Panie! — odpowiedział dworzanin; — żonę swą napotkałem w gromadzie cisnących się do tego proroka. Miasto domu pilnować, tu przybyła bez mojej wiedzy. Kiedym powrót jej nakazywał, skłoniła mi się nisko z płaczem i prośbą, a ja po tych łzach jej poznałem, że — ostanie!... Trudnym do przełamania jest upór niewieści, zaś ona już stateczna w latach i zawsze bez nagany przede mną była, przeto niewolić ją nie po myśli mi teraz i nie całkiem przystoi...

— Dopuść jej jeszcze pomieszkać tu krótki czas! — doradził tetrarcha. — Póki obecność nasza... Wszakże wyruszam stąd niedługo.

Jednakże nie wyruszali. Antypas czuł, iż aczkolwiek nie przygiął Męża ku sobie; już przez samo z nim obcowanie wytwarza dla się przed zgorszonymi i niechętnymi pewną osłonę. Pragnął i musiał

zaczekać, by rzecz dojrzała. Może takim nieznacznym, stopniowym i okreśnym sposobem uzyska się w końcu to samo? Nie spostrzeże się twardy prorok, jak mimowoli stanie obok tetrarchy, a potem w jego orszaku jako najbliższy, najprzydatniejszy — ze sług!...

Więc odwłóczył wyjazd. Przyłączyła się i inna przyczyna. Przywyknął do dziwnego stosunku, do słów, któreby go powinny gniewać, a przecież urok nań wywierały. Przy zaciekawieniu i obawie wyrósł niespostrzeżenie — szacunek. Antypas dotychczas właściwie nie szanował nigdy nikogo; pogardzał albo się lękał, lekcewżył lub ujednywał; teraz uczuwał pewną cześć; było to dlań czemś zupełnie niezwykłym, zdumiewającym i obcym... Prawie jeszcze dziwniejsze poczęło wytwarzać się — przywiązanie. Tak! polubił tego człowieka z brązu, tego męża zagadkowego; radby go mieć przy sobie, co więcej, byłoby mu — pożądaniem ujrzeć życzliwość k'sobie na tem surowem obliczu...

Poufni dworzanie przyboczni zauważyli, co się w panu odbywa i poczynali się niepokoić zazdrośnie. Ale, że rady nijakiej nie znachodzili przeciwko temu, przycupnęli sercami, naśladując tetrarchę w uważnem słuchaniu nawoływań proroka. I tak wszystek miękki dwór Antypasów wydał się nagle przejęty gorliwością pokutną i zaczarowan ku rozpamiętywaniu.

Antypas rozmaicie próbował:

— Zważ, ilebyś dobrego uczynił, gdybyś stał się mym powiernikiem! — rzekł kiedyś Mężowi. — Azaliż nie poprzez serca panujących najwięcej zdziałać się daje?

— Wyprostuj ty wpierw to serce swe — odparł Chrzciciel. Na krzywizny nie zstąpi Czyn.

Było to już ciemnym wieczorem. Utaił się pod stopami złoty piasku kobierzec, zasnuły się oddalone, skalne ramy obrazu; u góry przeczyste niebo, z którego żywa światłość wyciekła, zapalało się w nieskończonych wyżynach gwiazdami jak modlitwą tęsknoty.

Ogarneło Antypasa jakieś nieznane, nieokreślone pragnienie; w ociążałej, samolubnej istocie niepokoiła się obudzona, drobna iskierka.

— Jak prostować? — zapytał prawie pomimo woli i cicho.

— Odetnij w sobie, cokolwiek nie przynosi owocu sprawiedliwego.

— Odciąć? — głos Antypasów drżał przełknięciem.

— Już siekiera do korzenia drzew przyłożona.

Wstał na rozłogach wiatr, niewymowny oddech pustyni i przyjął brzmienie słów spokojnych i twardych i poniósł je daleko.

.....

Herodias nie czekała wyniku zabiegów tetra-

chy. Wynik dla siebie, jedynie ją obchodzący, już miała. Czuła go jako ostrze niezmierne, które dotychczasową, namiętą całość jej życia nieodwołalnie rozciąło... Bowiem żyła aż dotąd pragnieniem tak wyteżonem, iż przechodziło ono niejednokrotnie już w wizję osiągnięcia i wtedy jednolita, ślepa, szalona rozkosz zatapiała wszystko po brzegi. Teraz rozpadło się to na dwoje: na żądzę i — niemożliwość urzeczywistnienia. Był na świecie półbóg, kochanek wszystkich pożądań godny i — nie będzie nigdy jej miłośnikiem...

Chociażby, zagnon staraniami tetrarchy, przyszedł na dwór ich i zamieszkał w ich domu i pożywał u stołu, pozostanie przeraźliwie dalekim, a jej miłosne, rozżarzone ramiona obwisną na zawsze puste i wdowie.

Niemożliwość potwornemi oczyma uragała szalowi i dumie.

W precudnych marmurowych galerjach pałacu nad błękitnem jeziorem wymawiała Herodias to niezrozumiałe, a tak rzeczywiste słowo: nie będzie!... Natenczas ogarniała ją nieprzytomność. Dalekim nieswoim głosem wołała na córkę i kazała jej tańczyć przed sobą aż do utraty sił.

Nieletnia, szczupła, senna Salome gięła się pod ciężkością nakładanych na nią klejnotów. Dziewczęce ciało świeciło poprzez tęczowe, przejrzyste, jak mgła rozwiewne tkaniny. Poczynała lekko dźwię-

czeń złotem obręczy na ramionach, rękach i nogach. Szeleściła kamieniami nieprzeliczonych, iskrzących się naszyjników. W oczach jej zapalały się długie, węzowe, w przestrzeń lecące błyskawice. Tańczyła...

Wszystek cud się odbywał w jednym miejscu komnaty. Nie przebiegając, nie krążąc, obezwładniała oczy. Rytm jej ciała kołysał, potem porywał, nareszcie oszalał. Był już tylko jeden błysk, jeden płomień, jeden zawrotny, bez słów bijący krzyk...

Herodias, patrząc, miała w żyłach syczenie ognia. Możliwość i niemożliwość zlewały się znowu w wirze.

Wreszcie osuwała się córka już nieprzytomna z ostatnim zamierającym klekotem zausznic i napierśników. Ramiona matki kładły się na dziewczynie i obie dyszały bolesnym oddechem wyczerpania.

Kiedyindziej poczyniała się Piękna modlić do tych nieznanych sobie światów, które jak toń ogromnie szeroka legły pomiędzy kochankiem półbogiem a jej objęciem głodnem.

— Zwęż się ty nielitośne morze! Zemknij się brzegami i daj przestąpić przez siebie. O! kto mię nauczy jak ten bezmiar przepływać moją piersią najurodziwszą i barkami z kości słoniowej? Srebrnobiałe mam ciało lecz wewnątrz pełne najmocniejszego pożaru. Pałaca się, nadaremnie stoję na brzegu; kto most przede mną uściśle?

Potem zjawiała się nagle, dziwna i beznadziejna myśl, że do tego potrzeba mieć — duszę białą.

— Jak te ramiona me marmurowe, jak te skrzydła gołębie w ogrodzie nad wierzchołkami drzew, jak ten srebrny obłok na niebie...

Przeczysta, niepokalana dusza przeleci...

Gdzie ona?

Chwytała się za piersi, które odpowiadały kipiącym warem.

Dokąd iść po nią? jak daleko cofnąć się, kędy szukać?

Nigdy, przenigdy z najwcześniejszego dzieciństwa nie pamiętała wrażenia czystości duszy...

Przejmowała ją rozpacz. Wszystko w sobie stworzyć potrafi tylko nie to... Wszelkie barwy rozwinię... Wszelkimi zagra mocami. Przeistaczać się może dowoli z pieśni wielkością grzmiącej w najlubieźniejszy szept, z przepysznego wonnego owocu w czarę słodkiego jadu, z burzy w upajający sen... Ale tego jednego nie wyprzedzie w swych piersiach, nie wywoła, nie zjawi...

Zaczynały spadać łzy wielkie, krwawiące się, rozpalone...

Z kwitnącego gąszczu ogrodów bił w górę ku krążącom rzeźbionym zapach odurzającej rozkoszy.

Łzy ciekły.

Każda stawiała się kroplą ognistą jeszcze powiększającą płomienne upagnienie. Nad niedostępną, nieosiągalną czystością Herodias skrami żądry płakała...

Potem przyszły na nią dni potężnego skupienia. W palcach uczuła twórczą moc. Wodziła nimi w lekkim, subtelnym ruchu, jakgdyby dotykając rysów ukochanego. Uwydatniały się plastycznie; skóra odpowiadała na badawczość dłoni, była gładka i letnia, jak przystało zadumanemu obliczu. Ręce obwiodły cały kształt drogiej czaszki...

Siedziała Herodias nieporuszona, trzymając na kolanach — tę głowę. Piersi napępniało uspokojenie... Posiadała skarb... Palce zabłądziły w obfite włosy, potem zsunęły się jeszcze raz po chłodnawych policzkach na szyję... Wydało się, że znagle lgną w krwi, ale to nie wzbudziło najłżejszego dreszczu w rozmiłowanej. Obu rękoma spokojnie podniosła głowę... Przybliżyła usta do ust... Całowała... Syciła się — za przebolesne dni pożądania.

Stwarzała sobie namacalność upagnioną i... krwawą.

Aż wreszcie w którejś z chwil — zrozumiała. — Tylko tak go posiadę... Tak mogę...

Tetrarcha powrócił. Kazał się witać wystawnie i zarządził natychmiast igrzyska i uroczyste uciechy.

Ale twarz miał strapioną. Nurtował go żal udaremionych zabiegów, ciężko coś, z czemby się rad

był oparł na zaciętej sile małżonki, lecz nie znajdował sposobu wypowiedzenia. Zbierał się w sobie, mierzwił i szukał. W końcu dnia pewnego wybuchnął z żalością:

— Zgoła nie przypuścisz, czego ten szaleniec śmiał żądać po mnie!

— Mów! — rzekła, podnosząc k'niemu złotozielone głębie swych ocz.

— Abym oddalił — ciebie!

Spokojnie położyła na jego barkach swe prześliczne ramiona:

— Utnij mu głowę...

Tetrarcha przeraził się:

— Co powiadasz?

— Rozkaż, aby mu ścięto głowę... — powtórzyła.

— Nie! nie! — zawołał, zachłystując się z trwogi, wstrętu i żalu.

Ręce jej paliły go napływami rozkoszy:

— Uczynisz, gdy zażadam! Uczynisz...

— Nie! nie! — bełkotał, ale pot wystąpił na czoło, a w sercu coś skamlało. Wiedział, że się nie oprze. Stało mu się czczo, smutno i strasznie...

Józef z Arymatei parokrotnie odwiedził Serafję. Był Aramowi wujem i przeto godziło mu się widzieć niewiastę i zapytać o dom.

— Mniemam, iż małżonek twój nie rychło powróci, albo wcale... Wolno jest uczniowi proroka opuścić domostwo i żonę, jak Eliszah opuścił dobytek, ojca i matkę...

I ja się niezadługo precz wybieram z Jerusalaime...

Wyznał Serafji, co przed Kajafą ukrywał, że ochrzczon był od Męża w pustyni i zamierzał przyłączyć się do grona słuchaczy:

— Przy nim trwając, oczekiwać będziemy...

— Więc aczkolwiek nie on, to wnet po nim? — wyszeptła kobieta.

— Pytałbym się nie ważył, tak drży serce me przed potęgą tych rzeczy, ale wierzę, że on słyszy i widzi, a z głosu jego domniemywam się, że już rychły czas...

Umilkli. Na dole w podwórku szczebiotały ptaszki zwabione widokiem kilku krzaczków zielonych i ziarnem, które z rozkazu Serafji codziennie rozsypywano.

Kobieta rzekła cicho ze wzruszeniem trwożnem i jakby chemś wewnątrz olśniona:

— A jeśli i Tamten nie zechce stać się królem?...

W górnej izbie gościnnej znów zaległo milczenie. Trzepotały się jeno serca tych dwojga ludzi, serca proste, które się oto znagła uczuły na progu nieobjętych tajemnic i w oddechu niezgłębionego zamiaru.

Pokornie i nieśmiało powiedział Józef:

— Może się On jako światło dobro czyniące na lud rozleje? Może nie zechce przybrać inszej postaci?...

Nazajutrz mały Amandor przyszedł do matki dziwnie rozradowany.

— Co ci jest, synku? — spytała.

— Widziałem taką śliczną rzekę świecącą! — rzekł chłopiec.

Zadziwiła się:

— Gdzie?

Dziecko obejrzało się z nagłym zakłopotaniem:

— Nie wiem...

— Może we śnie? — poddała Serafja.

— Nie wiem... — powtórzył Amandor.

Ale się wnet znów ożywił:

— Wody jej były jak słońce... Wszystko, co zapelnily, stało się takie wesołe... I nic się w tem nie topiło, doprawdy, matko! To musiały być jakieś bardzo lekkie wody? Widziałem, jak krzaki się w tem zanurzały, i drzewa, i zwierzęta, i ludzie, a wszystko było wciąż żywe i jakby jeszcze więcej i tylko świeciło się tym ślicznym złotym kolorem. A kamienie i różne inne rzeczy, które przecież nie żyją, wyglądały jakby i one właśnie stawały się żywymi... Nieprawdaż, jakie to dziwne i jakie przyjemne?

Płynąłem po tej rzece... Nic się nie bałem, mat-

ko... Tak mię coś niesło prędko, a cicho... Tak jaśniało wszędzie dokoła...

Jaka szkoda, że gdzieś zniknęło, że może obudzilem się, jeżeli to, jak powiadasz, był sen!...

Serafja objęła syna. Przytuliła twarz do jego świeżych policzków: głośno uderzające serduszko dziecinne czuła tuż na swej piersi. Obcowała z przyszłością...

Nie wiedziała, co to jest, ale odczuwała potęgę węzła sprężniętego tak mocno, że zda się, wszystkie ścięgnięta w jej ciele i wszystkich myśli drgnienia rozpromieniły się od tego nadzieją. Był to albowiem związek — z życiem. Na drogach ciemnych, zapamiętałe biegnących ku ostatecznemu smutkowi zawołało — swoim przemożnym prawem — życie. Przyszłość domagała się służby. Wszystkie tętna odpowiedziały jej gotowością, aczkolwiek wola nie wiedząca jeszcze nie rozstrzygała.

Rozsunęła się męka obejmująca duszę od tyłu dni. Jak przez słoneczny wylot ujrzała się Serafja kędyś na tym świetlistym szlaku, o którym dziecko mówiło. Zoczyła siebie jako wędrownicę na złotej smudze, z białą chustą w rękach wzniesionych, z chustą, na którą brała cichego słońca odbicie¹⁾...

Od tej chwili szczególnie w porannych godzinach zatapiała się w jakimś kornem oczekiwaniu.

¹⁾ Późniejsze imię Serafji było Weronika.

Amandor jako nieletni nie wygłaszał obowiązującego mężczyzn dorosłych „Sz-ma Izrael“ ale oboje z matką mówili modlitwę przepisaną wszystkim w narodzie, i kobietom, i dzieciom, i niewolnikom¹⁾. Gdy chłopiec głośno i dosyć pośpiesznie wymawiał wyrazy, jej cała dusza gubiła się w słowach: „Który pamiętasz na obietnice ojcom podarowane i dzieciom dzieci ich zsyłasz Zbawcę dla Imienia Twego z miłości...“ Albo przylegała ze szczęściem do brzmień: „Wszechmocny jesteś w wieczności o Panie, który umarłe czynisz żywemi...“

Niebawem ten stan dziwnego przeniknięcia wszystkiego serca zastąpił jej całkowicie modły poranne. Usta nie poruszały się nawet w szepcie bezwiednym, natomiast ucho zdawało się wciąż nasłuchiwać.

Arcykapłana nie widziała już od pewnego czasu. Po całych dniach zamykał się w swoich izbach nie sam, lecz z gromadami stronników i zauszników, do których obecnie należeli mężowie najrozmaitsi z pomiędzy Kannaim i Peruszim i zgoła niektórzy z Zadukim. Annas pozornie wziął na wielką cierpliwość, w istocie zaś rozważał, czemuby stanowczo uderzyć w umysł zięcia. I pod tę chwilę przyszły doń wiadomości o nagłym, a tak dziwacznie upodobaniu tetrarchy galilejskiego do obłąkańca w pustyni.

¹⁾ W późniejszym rozwinięciu modlitwa „Sz-moneh Ezreh“.

Ucieszył się. W mgnieniu jednym postanowił odmienić cały sposób postępowania. Przedewszystkiem, przez ludzi odpowiednich dał poznać Kajafie, iż zamiarów jego już nie potępia, ale owszem im sprzyja. Zmiana była tak wielka, iż zięć z początku zachował się nieco nieufnie; czekał. Ale Annas wiedział, że czeka z upragnieniem...

Więc rychło potem wybrał się doń w odwiedziny.

Zastał go z twarzą, po której przelatywały w zmieszaniu smugi tryumfu i niepokoju.

Świekier obejrzał się, czy w przyległej izbie nie masz nikogo, starannie zamknął drzwi, siadł i patrzył.

— Przekonałeś się, iż zamiar mój nie może być cofnion! — rzekł Kajafa.

— Już cię nie powstrzymuję — odparł Annas.

— Widzisz tedy...

— Nie sprzeciwiam się...

— Gromadzić ludzi spragnionych świętego boju...

— Słyszę...

— Gdyby nie był i tem przyniewolon, mam... takich, którzy wysłani na pustynię porwą go i tutaj przywiodą... A wtedy ja oznajmię ludowi, że jest...

— Układasz...

— Działam!

Annas podniósł się:

— Zamało!

— Co?

— Zamało i zapowoli!

— Ty to powiadasz?

— Ja mówię: spiesz się! Ja mówię: więcej, szybciej i gwałtowniej czyn!

— Przynaglasz zamiary moje?

— Tak! Człowiekiem jestem, który nie znosi porażki; co masz wykonać, czyn tak, aby swój skutek wzięło!

Tu wyluszczył Kajafie wszystko znaczenie zabiegów Antypasowych.

— Skoroś, synu, w szaleństwie odstąpił własnych praw...

— Nie dotykaj świętości serca mego! — zawołał Kajafa.

— Skoroś rzucił się na tę drogę — nie ścierpie, aby ręce twoje w ostatku nic nie ujęły!...

— Ujmą! ujmą!

— Mogą nie ująć! Tego proroka, który ci tak potrzebny, mogą na narzędzie swe dostać insze dłonie... Plemię Idumejczyka użyje go gwoli zamysłom swoim, nie ty!

— Upredzę! — porwał się gorączkowo Kajafa.

— Upredź! Dlatego stanąłem przy tobie...

Niedowierzenie Kajafy stopiło się w podnieceniu. Wracał dawny tych dwu stosunek.

— Trzeba go od rąk Antypasowych uchronić na wszelki sposób... — mówił Annas.

— Zdamę i potrafię!

— Czy wszystko przewidziałeś?

— Co przez to mniemasz?

— Masz-li sposoby na wypadek każdy i możliwość wszelką do końca?

— Pośpieszę się, bym go dostał...

— Jako słyszę, Antypas jest jeszcze z nim... Gdyby otwarta bójka wynikła, nie omieszkałby się w to wtrącić prokurator Pontius Pilatus, człowiek nieujednany... Pontius Pilatus pożąda wykazania swej władzy... Więc rozstrzygnęłaby ona sprawę — wpierw nim się Mesjasza zdobędzie — pięść Romy!

— Jeszcze zatajać się potrzeba, aby nareszcie tę pięść Edomu utracić... — wyszeptał z boleścią Kajafa.

Po chwili otrząsnął się z przygnębienia.

— Zaufanych pošle, nie bawiac... Jeżeli dwór Antypasów tam jeszcze w pobliżu, niech Męża pod pozorem jakimś wywabią i uprowadzą go skrycie...

— Dobrze, synu...

Kajafa odetchnął głęboko. Przez chwilę panowało milczenie.

— A gdy go będziesz tu miał pod ręką; zaczął Annas, zniewolisz jego serce prędzej lub później?

urobisz jako zapragniesz? Wątpliwości nie żywisz, zniewolisz?

— Jakożbym mógł... czuć wątpliwość?...

— A jednak... Jeśli człowiek on już ma wewnątrz namowami Antypasa zyskane?... Jeśli oddał się tamtej stronie?...

— Odmienie! wydrę to z jego duszy! przemożę! — krzyczał Kajafa.

— A jednak... Jeżeli on to w sobie skryje głęboko i dopiero potem w działaniu pełnem objawi? Gdy go postawisz na czele poświęconych szeregów, objawi... Gdy potężny będzie i rozkazujący mirem swoim wśród ludu i twoją uprzednią pomocą, odsłoni i objawi... Cha! cha! cha! cha! cha! Na wysokości zgotowanej królowi — Mosziah — sługa Antypasowy, który walkę rozpocznie o odzyskanie Jeruszałaim — dla rodu Idumejczyka!

Kajafa zbladł przeraźliwie; ręce mu się poczęły miotać, jakby szukając ofiary do rozszarpania.

— Co w tym razie, mój synu?

Ciężkie, stanowcze, rozstrzygające słowo zawisło między nimi.

Cisza przydłużyła się o mgnienie brzemienne ostatnim wysiłkiem.

— Zabiję go!... — wydobyło się z piersi Kajafy.

— Tak, synu!...

Głos wdzierał się przez słuch gdzieś w głąb mózgu i chłodnem ostrzem świdrował:

— Nie mogąc użyć, zabić potrzeba...

Pamiętaj! jeśli narzędzie nieodpowiednie, albo... obraca się przeciw dłoni...

Otożes już we wszystkie sposoby zaopatrzony i do końca wyraźną masz drogę!...

Tego wieczoru Annas był tak radosny, iż sen mu to wypłaszało z pod powiek. Kazał przywołać mieszkającego pod dachem ojcowskim Jonatana. Poleciwszy, by syn usiadł tuż na posłaniu, dzielił się z nim najmiłszą dla się nowiną. Znał synowską półtrwożną zazdrość do szwagra, ale to zlekceważył. Narzucił Jonatanowi swą niewymowną uciechę. Po raz pierwszy, odkąd żył, potrzebował powiernika dla nadmiaru najżywszego zadowolenia. Chwilami śmiał się jakimś głębokim, niewyczerpanym chichotem; chwilami nie mógł spokojnie uleżeć na posłaniu.

— Ubezpieczyłem się ostatecznie... Tak, właśnie teraz... Nietylkom znowu pochwycił wodze, ale opanowałem rzecz aż po kres... Odtąd będzie Kajafa strzegł... wysokości, na której go — z czasem posadzę... Których by chciał wywyższyć — zabije... Wrzuciłem ziarno w serce. Będzie badał na miarę pragnień swoich dla Izraela, a gdy stopniowi nie odpowiedzą — zabije... I tak, nie wiedząc, zachowa miejsce dla nas... Dla siebie i mnie!

A Kajafa dojrzewał do swego losu...

Jak rozkwitły kwiat nocy, który przechodzi w owoc, dający śmiertelne nasycenie...

Cicho leżały w piersiach gotowe ziarna przedsięwziętego czynu. Niewyraźne przecucia lat młodzięcych stały się widmami dostrzegalnymi tuż przy drodze; mówiły: jesteśmy! okazywały się jako cienie już bliskich rzeczy.

Wstępował w ciemność bez trwogi i bez żalu, z twardością bólu noszonego przez długi czas i z zapamiętaniem miłości, której się wszystko należy.

Jeśli dla Izraela potrzeba będzie przelać krew człowieczą, krew bratnią — przeleje...

Choćby to nawet była niewinna krew...

Nie użyje nikt świętego imienia Mesjasza, jeno ku odbudowaniu królestwa Dawidowego, ku wydzwignięciu pohańbionego dziś ludu na górę wywyższenia, na stolec chwalebny świata...

Pachołkowie zbrojni posłani na pustynię powrócić mieli lada dzień z porwanym Mężem lub z wieścią jak uskutecznić porwanie. Nakazał im postępować ostrożnie. Sam postanowił, iż w każdym razie kres położy zgromadzaniu ludu w miejscach ustronnych; jeżeli się w tym proroku duch Mesjaszów nie zbudzi, głos jego już nie będzie nigdy słyszany. I tak samo pogina inni, którzyby jedyne go dostojęństwa nie mając, przewodzić chcieli... Wola Kajafy rozprężyła się ponad świekra rachubę. Czuł się stróżem nie tylko stanowiska zachowywanego Mesjaszowi-Królowi, ale słuchu i dusz całego Izraela... Nie powinien się lud odwracać od jedynej tęsknoty, nie po-

winien myśli rozpraszać na odmienne względy i rzeczy. Ktoby go do tego wiódł, kradnie zeń siłę...

W podwojach przyszłości ukazywały się mgły szkarłatne, ale wzrok w to patrzył bez drgnień... Wyrosło serce ponad próby szamotania się, skrzepło. Była w tem bolesna surowość większa nad przewidywaną, bliską potrzebę. Serce miało swoje spojrzenie. W tajemnicy oglądało sprawę jeszcze nie objawioną w zrębach czasu. I zacięło się, przeciwstawiając swą krwawą miłość — niewysłowionej zgrozie.

Uspokoił się Kohen-ha-Gadol. Nikt z otaczających nie pamiętał go takim. Znano młodość bolesną i namiętne upalenie południowego czasu, zaś teraz nastąpiła nagle cisza. Od tego ukojenia padał na ludzi nagły lęk...

I spokojne były ramiona, które ogarnęły Serafię w przesłiczne, wiosenne, słodkie rano...

W objęciach tych zadrżała:

— O, miły mój! co-ć jest?

Pieścił jej czarne włosy:

— Gołębico moja, tyś ze mną!

— Czuje — mówiła — w sercu twojem coś niezwykłego. Ty sam nie wiesz, co dźwigasz w sercu swem...

— Dojrzały owoc wszystkich moich dni... — odpowiedział.

Cała jej miłość, od najwcześniejszych pier-

wiosnków, od dziewczęcych tęsknień począwszy, skupiła się raz jeszcze dokoła jego żałobnej głowy. Nie było w tem już żadnych pragnień dla siebie. Uczucie, wiernością poślubionej duszy żywione, przez krótki czas bujne szkarłatem upojonego szczęścia, wyrażało się teraz u końca znów w białym kwiecie wierności i żalu...

— Jestem przy tobie — rzekła. — Aczkolwiek osłaniając, nie osłoniłam... Odwracając, nie umiałam odwrócić...

— Przyszliśmy do czasu wypełnienia — powiedział.

Umilkli oboje. Wiedzieli, że od wczesnego ranku niósł ich, spodem wszystkich godzin, płynący, głuchy prąd.

— Miły mój, ucho two nasłuchuje, oko twoje wygląda; czego dusza two czeka?

— Wyprawiłem pacholków, już niebawem wrócić się muszą; wyczekuję wieści z pustyni...

— Pustynia dziwną ma mowę... — zaszeptala Serafja...

— Co ty wiesz, gołębico? — wyrzeknij — co teraz wiesz?

— I ja nasłuchuję... — odpowiedziała.

Przywarli do się piersiami; jej słodka twarz była na jego łonie, a postać wysmukła leżała mu w ramionach wszystka wyglądająca jak wyraz zasłuchania.

Taka cisza owijała ich głowy, iż zda się, można by uchem ułoić dalekie stapania powracających z wieścią z pustyni.

Gdzieś wysoko ptaki przecinały lekki błękit powietrza. U nóg kochanków rosa srebrzyła wonność traw; grunt jak kobierzec przedziwnie świeżej zieleni nachylał się, opadając stopniowo w zagłębioną dolinę Ben-Hinnom.

Stali wpośród krzewów mirtowych. Za niemi zbocze wzgórza wyrastało bezdrzewnie i stromo aż ku okrągławemu szczytowi, gdzie za kępą drobno-listnych dębów przeziarał podmiejski, zrzadka zamieszkiwany dom Kajafy.

Szczęście wiosny przesuwalo swój uśmiech po ziemi. Złowrogi i przeklęty parów Ben-Hinnom, kiedy ongi dzieci izraelskie palono Molochowi w ofierze, teraz ze dna swojego odpowiadał jasnemu niebu rozradowanym i niewinnym poszeptem ziół bujnych, miękkich, puszystych, wdzięcznych życiu.

Po przeciwległej stronie wzwyż leciała spiętrzona białość marmurów Miasta Górnego. Strzelały na północno-zachodniej krawędzi zdumiewające wieże-strażnice: Hippikos, Fazael i Mariamne. We wczesnej łagodności wiosennej obraz nie olśniewał, nie ślepił, marmury odbłaski swe przyciszyły... Oddychały pogodną czystością... Rzeźwość była w przestrzemi.

Serca odpoczywały... Po długiej, burzliwej nocy i przed ostatnią chwilą... Piły przytłumioną słoneczność, wzajemny śpiew swój najśłodszy, przenikający do najsubtelniejszych tajników. Oddały się i brały w swą władzę. Wszystko odpuszczonem było, ukojonem i świętem. Przez jedno bezpowrotne mgnienie zupełna, niewysłowiona błogość przepoiła i zlała dwie człowiecze istoty...

Głośniejsze tętno zadygotało w piersiach Kajafy.

— Czego się ty dowiedzieć pożądasz? — zapytała Serafja słowami, które szły na spotkanie — zgrozie.

— Że zbliża się do rąk moich tryumf ludu lub krew...

Perłami szeptu poczęła doń przemawiać:

— O, miły! na pustyni kwitną wieści jak kwiaty w wiosny, słodki dzień... Na pustyni świecą wieści jak gwiazdy w przeczystym, wieczornem niebie... Nie tych-li zapragnie dusza twoja?...

Opowiadał mi Józef i opowiadał mi Obed sędziwy, krewniak mój, który mieszka w Jerychu... Nadzieje są jak promienie łaskawie kładące się na powieki... Przychodzą z dalekości, może... z samego serca słońca...

— Niech mi do rąk przyniosą tryumf lub krew...

— Czyją krew? — zapytała, zbladłszy śmiertelnie.

— Tego, kto wywyższeniu Izraela przeszkodzi...

— Jeśli nie zechce stać się królem walczącym — zabijesz?...

— Wyrzekłaś...

— Chociażby większym był od proroka, którego głos się rozległ w pustyni?...

— Rzekłaś...

— Większym i świętszym?...

— Rzekłaś...

— Choćby o nim świadectwo składała w tobie twoja dusza?...

— Choćby świadectwo składała we mnie dusza...

Zatrzymała się, szukając słów na olbrzymiość uczucia; myśli jak ptaki nad bezdenną głębią latały.

— O, ukochany! azaliś nie był karmion mądrością Nabijim? Azaliż nie Nabi Izajah to mówi: Nazowią imię jego Przedziwny, Radny, Bóg Mocny, Ojciec przyszłego wieku... Oczy moje się ściły i rozum mój się miesza...

Odpowiedział:

— Niewiasto, pamięć mam, która to wszystko zawiera i duszę mam obciążoną spojrzeniem...

— Widzisz? — szepnęła zbielełymi ustami. Krew jest niewinna...

— Widzę...

— I uczynisz?

Ujrzał na mgnienie otworzone podwoje przy-

szłych rzeczy, nachyliła się k'niemu obecność Światła, od którego wszystko co w istocie jego było ludzkiem, zadrżało; wiew wiekuistej miłości położył mu się na piersi wichrem twórczym...

Cofnął serce, aż jęknęło.

— Uczynię... — odrzekł.

Dodał:

— I On mi przebaczy...

Serafja rzekła ze śmiertelnym spokojem:

— Teraz wszystko pojmuję... Oto noc, którąś zdala oglądał w zaraniu naszych dni; oto przepaść, do której z tobą przyszedłem — na brzeg. Miły mój, byłem z tobą aż do przepaści brzegu...

W wiosennym, niewinnym blasku woniami ziół oddychało dno złowrogiej doliny Ben-Hinnom, kędy ongi dzieci izraelskie palono na ofiarę, której Adonai nie nakazał i od której odwracało się serce Jego...

Serafja powtórzyła:

— Aż dotąd byłem z tobą...

Powiedział:

— Odchodzisz...

Odrzekła głosem, z którego już wyciekł był wyszlochany, najcięższy ludzki płacz:

— Nie z mojej woli, o, miły!

Nad brzegiem przepaści przez wnętrności matczyne zawołała na nią niepowstrzymanie — służba Życiu... Czuła w sobie nieprzemожone dotknięcie chłopięcych rąk synowskich, ciągnęły ją na szlak da-

leki — w przyszłość... Nie mogła się pograżyć... Przestała być swoją i przez to należącą do ginącego, była już na smudze ku słońcu.

Zdjęła namitkę białą. Ostatnim najlitośniejszym ruchem podniosła ją do spokojnej, stężalej twarzy miłego. Przyjęła w nią dwie spływające zwolna, jedyne, ciężkie, bolesne łzy Kajafy...

Epilog.

„Głos Wołający“ zcichał. Zanikał. Znać było, iż wyczerpał, co świata miał poleconem objawić i gasł.

Wypełnił swoje.

Poczucie bliskiego zgonu objęło Męża...

Na słuchaczy padł jakowyś nieokreślony, a wciąż rosnący niepokój.

Antypas przyczaił się w Galilei i stamtąd czuwał z przymrużonemi oczyma jak spasiony kot domowy, z pozoru ociężały, ale w potrzebie gotów do skoku. Że czuwał, wiadano po wysłańcach jego, którzy co pewien okres zjawiali się koło Męża z jakowemś od tetrarchy poleceniem. Czasami było to tylko pozdrowienie brzmiące jednakże jak przestroga, czasami wyraźne żądanie, aby wygłosił do ludu o Antypasie słowo życzliwe. Na jedno z tych ostatnich Mąż odpowiedział:

— Mowa moja do wszystkich jednaka: idzie, w którego ręku łopata Jego, Ten wychędoży bojowisko Swoje...

W parę tygodni potem oddziałek żołnierzy Antypasowych przyciągnął w okolicę. Nie czynił wstęptów, ale wszelkie poruszenia proroka i uczniów miał na oku. Prawie jednocześnie rozbiegła się wiadomość wnet sprawdzona, że i pachołkowie arcykapłańscy z Jeruszałaim krążą w pobliżu. Zasadzili się w pustyni jedni i drudzy w jakowychś głuchych przygotowaniach.

Działo się to na Judzkim brzegu Jordanu.

— Dlaczego nie zatroszczysz się o ucieczkę? — rzekł Chrzcicielowi Saturnin. — Przeprawilibyśmy się w cieniach nocy za rzekę. Stamtąd wązami górskimi ku krainie Arabiów jest droga. Zasię król tych plemion Aretas przyjmie nas wielce mile... Antypas bratowej gwoli poniechał pierwszej małżonki swej, a jego córy, ta do ojca zbiegła, który dziś zemstą pała!...

— Jakoż i dokąd mógłbym uchodzić? — odparł Mąż. Byłem, ziemia krzyk swój wydała i przebrzmiewam...

— Przebrzmiewa... — rozplynał się szept wśród uczniów.

Dni w pustyni miawały teraz co rano oblicze wyczekujące niechybnych, wielkich zdarzeń.

Którejś chwili Andrzej powiedział z zafrasowaniem:

— Nastają na głowę twą, nie dbasz o to... Ale cóż będzie z nami?

— Nie słyszysz? — spytał Chrzciel.

Oczy Andrzeja podniosły się nań ze zdumieniem i pewną trwogą. Ujrzał brunatną dłoń wyciągniętą i wskazującą płowy obszar lekko falisty pod słońcem złotem.

— Azali nie napełnion jest okrag — Nadchodzeniem?...

Uczniowi serce w piersiach na moment przystało, natomiast skroś nateżoną ciszę do słuchu jego przyszedł jakby szept morza, jeszcze tak przytłumion, iż nieuchwytny prawie, a wszelako bezdenny i przenikliwy. Zatrząśł się człowiek, nie wiedząc, azali po za sobą czy w sobie dźwięk poznaje...

Nakdimon, Natanael i Lazarus naradzali się wieczorem, siedząc w progu namiotu i patrząc w noc tak rozświetloną pełnią księżyca, iż w rozlanem srebrze odcinały się wszystkie wypukłości i rysy wielkiego oblicza pustyni.

Właściwie Lazarus nie miał tu wątpliwości najmniejszych:

— Ja pozostaję — oświadczył spokojnie; — zostaję przy nim. Wiem iż ziszcza się rzeczy od początku zapowiedziane...

— Nie może nie dolegać mrok niepewności! — rzucił gwałtownie Nakdimon.

— Wstąpię w mrok i wynijdę zeń... — odrzekł Lazarus.

Było w jego zazwyczaj echowym głosie coś tak

dziwnego, że tamci dwaj chyżo zwrócili ku niemu głowy.

W otuleniu białego płaszcza na tle czarnego wnętrza namiotu wyglądał jakby jakieś zjawisko w całunie wychodzące z czeluści na srebrny, lśniący świat.

— Wielki jest Pan! — zawołał Natanael. Gdybym cię nie znał od młodu, nie wiedziałbym w tej chwili co mniemać: azaliś jest człowiek żywy jak my!

Zapanowała cisza, którą przerwał raptownie głęboki, ciężki szloch. Nakdimon płakał. Boleśnie lkało długo cierpiane upokorzenie i żalność z nieosiągnięcia prawdy upragnionej od lat:

— Ja, który jestem nie z poślednich, lecz owszem z przodujących Izraelowi... Który młodzień uczam dróg Zakonu... Którym wziął na to zachętę i pochwałę od następcy Hillela... Nic nie objęły wyciągnięte ramiona; nie dostąpiłem, czego serce żądało!... Nadaremnie mozoliłem się tyle czasu... Umknęła się od tęsknicy mej tajna prawda; nie dotarłem, chociażem zawsze chciał!...

Krwawo płakała przytarta pycha:

— Dlaczegożem tak ukrzywdzon? Czyliż nie miałem prawa słusznego o! Addonai? Wszakże zdatnych dopuszczasz, wszak gorliwym odsłaniasz i dla przewodników przysposobiłeś? Byłem przed Tobą pomiędzy stojącymi na czele ludu Twego...

Kędyż spływać będzie z tajników Mądrość najwyższa, jeśli odtrącisz nagotowane naczynia?

Wszystko ciało kołysało się w silnym bólu.

— W niespokojności szukałem od wczesnych dni. Czekałem i otom się nie doczekał! Odrobinę dostawałem na wargi łaknące, zaś całość pokarmu i smak jego dobry odsuwane są ode mnie wždy na odległość... To-lim wysłużył sobie w gorliwości mego męskiego wieku!

Natanael patrzył nań z przyjaźnią, lecz także z odrobiną pogardy:

— Takiś jest zawsze! Nie ważysz się na wszystko rzeczy i w połowie stanawszy, pragniesz!...

— Cóżbym zyskał, ważąc się, jako ty? Nie powiadaj mi o tem! nie wywyższaj się, boć nie wierzę! — krzyczał Nakdimon. — Świadom jestem, iż równie jak ja przywiązałeś serce do Męża, czekając, a widzisz dni uchodzące pusto i czczo!...

— Och! to nie to! to nie to! — wyszeptał Natanael, chwyciwszy go za ramię.

— Nie? Cóż nazowiesz? Czy nie dostrzegam na obliczu twojem wątpienia? Dłuży się wygląkanie. Wzburzona dusza wreszcie rozrywa piersi: prędzej!... I ani ostać tu, ni stąd odejść! Nie utłumić nigdzie zapalczywości, która nasycy krew!... A przecież nie ku rozkoszy zapalczywość ta płonie; zrodziła się z tęsknicy ku przeświątym tajnikom, ku dziedzictwu obiecanemu Izraelowi!...

Istotnie podniecenie zdawało się rozsadzać jego mocno sklepioną pierś i szerokie bary.

Na twarzy Natanaela odbił się lekki tryumf:

— Nie widzisz różnicy pomiędzy nami, a jest...

— Nie niecierpliwił się w tobie serce podobnie zdręzione?...

— Ja mogę mieć nadzieję, że to ostatnia próba... Zasię ty nie...

Ciężka walka wstrząsnęła postacią Nakdimona; zwierzały się w zapasach tęsknota z pychą. Z ust wypadły w szepcie wyrazy:

— Azaliż jeszcze nie ja sam, lecz przez ręce drugiego?... Azaliż przyjąć mam z warg pośrednika?

Przemogła tęsknota. Uczyniła twarz szaro-błądą z wyrazem złamania się w wielkich oczach.

Rzekł cicho:

— Jeśli będziesz coś wiedział, wspomnij o mnie...

Tejże nocy przed świtaniem Nakdimon ze sługami swemi odjechał. Uwoził w sercu smutek. Stała się między nim i Natanaelem umowa, że jeśli ten ostatni wyrozumie coś dającego promień pewności w tajemniczym i przewlekłym oczekiwaniu, zawiadomi o tem przyjaciela bez zwłoki.

Obozowisko słuchaczów Męża znajdowało się teraz na południo-wschód od Jerycha i w bliskości pobraża rzeki. Od tego miejsca już niedaleko Jardein wlewał się do Martwego Morza. Wił się cicho

szepecący przez zagajniki cienkich topoli, niósł wody żywe do uwięzionego na wieki zbiornika...

Natanael szukał chwili sposobnej. Upatrzawszy, gdy nikogo ze świadków nie było, padł Chrzcicielowi do nóg.

— Wstań! — rzekł mu Mąż.

Natanael dźwignął się do połowy.

— Nie wstanę, bo uniżone jest serce moje w ostatniej prośbie. Zgmatwały się wszystkie rzeczy w jeden straszliwy węzeł potrzebujący rozcięcia słonecznym mieczem... Wzruszony stał się porządek dusz jak rumowisko pod niewidzianą jeszcze budową... Kostniały myśli moje z bojaźni, ale podnosiłem ku tobie pokorne oczy... Jeden tylko Mosziah zniżyć może na to splątanie śmiertelne i rozprostować, spuszczać ostrza promieni...

Że nie umarłem, anim został ubity w pokruszeniu tajnych objawień, to jeno dla bliskości przyjścia Świętego...

Powiedziałeś, żeś nie — jest!... Ale wszakżeś ramieniem wskazującym, skąd On przychodzi...

Gdy krzyczały w głowie mojej myśli spłoszone, jak poranione i oślepte od strachu ptaki, spoglądałem na ciebie, o! wyciągnięte ramię!...

Skróć mękę ostatniej próby; odśłoń mi oblicze Jego, abym tejże chwili nie błędząc, poznał Go i pokłonił Mu się i przywarł sercem do onych świetlistych stóp...

Skróć moją próbę bolesną, odśłoń oblicze Jego; ty wiesz!...

Niewysłowny smutek ogarnął duszę Chrzciciela:

— Oblicze Jego jest nachylone nad nami... — rzekł cicho. — O obliczu Jego tu świadczy każde ziarno pustynnego piasku w rozjaśnieniu słonecznem przeobrażone w kroplę złota... I każde westchnienie twej własnej piersi, gdy wzdyma się narodzinami miłości i woli do czynu...

Natanael zaszeptał:

— Poprzestałbym na tych słowach, gdyby On był jeszcze daleko... Ale teraz, o! teraz rzeknij, błagam, coś więcej; nazwij Jego oblicze!

Cicha pewność śmierci dotknęła końców dłoni i stóp Chrzciciela. Dusza na moment ugięła się pod ogromem powinności spełnionej bez oglądania owocu upragnionego. Potem ięła odprostowywać się i jakby jeszcze rość w jakimś bardzo dziwnym uczuciu. Z początku miało ono w sobie cień smutku jak spokojne żegnanie; niebawem napłynęło słodyczą. Była to szczęśliwość nieporównana, dumnie pokorna i najbardziej ukojone nasycenie miłości: oto wszystko oddałem, nie biorąc wzamian i nie żądając niczego. Serce utęsknione przez długie dni znalazło godność swoją i szczyt swój i wyraz w zwyciężającej wszystko ofierze. Rozprężyły się wielkie

skrzydła, umiłowanie paliło się ogniem najdostojniejszym, wystarczającym samemu sobie.

Gdy się to działo w piersiach człowieka, głos na prośbę Natanaela odpowiedział zanikającym ale jeszcze spiżowem odbrzmieniem:

— Oczy moje zachodzą, gdy On wstaje; ubywa mnie, gdy On na niebiosach przed wami rosnać poczyną... Wy doczekacie... Patrzajcie i tężcie wzrok...

Zatrzepotał się w piasku Natanael by nie mogący podnieść się ptak:

— A jakóż Go poznam i po czym? Jak utrafię? jak zdołam?

Jęk wezbrał wielką, udręczoną, bezradną trwogą.

Litościwie nachylił się Chrzciciel:

— On sam cię pozna...

— On?

— I przemówi do ciebie...

— Przemówi?...

Zaszeleścił obszar piaszczysty, jakby łono pustyni odetchnęło ogromnym i łaskawym wtórem do naglej ulgi doznanej przez spracowaną, drobną ludzką istotę...

Odchodzące kroki Natanaela kładły się bez szelustu na sypką glebę złotawego kobierca. Postać oblekła się ukojeniem; poruszając się zwolna, stopniowo malała, wsiąkla w przestrzeń...

Przed nocą gromadka ludzi obstała Chrzciciela. Byli wpośród nich Saturnin i Andrzej, zaś cokolwiek opodał Lazarus i Josef z Arymatei.

— Ciśniemy się do twych kolan... — rzekli chórem zmieszanych głosów.

— I nie odejdziem... Wierzimy, iż nam Go ukażesz...

— Wierzycie...

Żyłaste, brunatne dłonie przesunęły się po nachylonych barkach i głowach. Głęboko zakołysała się pierś potężna, już pełna wichru z zaświata. Teraz gdy był na szczycie ofiarnego zwycięstwa, uczył, że Go jednakże przed odejściem — obaczy... Nie stało się to przez żadną, na wyżynach niemożliwą, zapłatę, ale poprostu mocą spojrzenia ze szczytu...

— Ukażę wam... — rzekł do ludzi.

Rozpoczęła się dziwna noc. Uczniowie, siedząc półkolem, drżeli z trwożnego choć radosnego wzruszenia. Niebawem uczyniła się ciemność tak gęsta, że skryła całkowicie z przed oczu ich postać Chrzciciela. Siebie wzajemnie rozpoznawali po szeptach i przerywanym, zdyszczanym, gorącym tchu.

Żaden błysk gwiazd nie przebijał opon czarnych: rozciągały się pełne niewidzialnych, dusznych oparów; pustynia w ciemności ziała znojem.

Uczniów chwilami ogarniał wielki niepokój; nie śmieli pytać, a nie wiedzieli, czy Mąż jest z nimi, czy nie został wzięty z pośród ich grona. Wszakże

jako Eljasz mógł zniknąć, jak Eljasz... Najbliższy szmer o obecności jego nie świadczył...

Jedno pocieszało strwożonych; w porwaniu byłby przecie owinięty płomieniem na podobieństwo Eljasza... Więc zapewne trwa jeszcze i obietnicy dotrzyma...

Godziny szły do świtu coraz bardziej natężone w gwałtownej, rozpierającej nadziei.

Stało się trochę chłodniej, przeciągnął powiew.

— Dzień niedaleko... — szepnął Saturnin.

— Gdy będzie wschodził, upadnijmy na twarz... — poradził Josef z Arymatei. — Bezpieczniej to, abyśmy snąć nie olnęli...

— Może zgoła nie pocznie świtać; — rzekł Andrzej — jeno odrazu wybuchnie na świat wszystek pożoga...

— O, Adonai! O, Sabaoth! — westchnęły złękłe głosy.

— Kogo zachowasz, a kogo zmiażdżysz El-Elyon? — szepnął któryś z gromady.

Zawiażywała się i rwała rozmowa:

— Zali sklepienie pokryje się hufami Cherubim, Beni Eloim, Miałachim i Serafim, którzy na trąbach ognistych grając, obwieszczają Jego przybycie?

— Nie... Wiatr wirujący rozerwie ciemność, Hajoth objawią się nam w obłokach z płomieni; czworo skrzydeł u ramion każdego, nad głowami

ich utwierdzenie z przeraźliwie jasnego kryształu nad utwierdzeniem podobieństwo tronu z szafirów¹⁾...

— Merkabah²⁾!... o, El Hai!

— Ściągajmy serca swe męstwem, by nie pomdlały w nas i nie zmarły...

— Ukrzep w nas żywot, o Panie! Panie! Którzyśmy doczekali, niech nie giniemy! Którzy ujrzymy przyjście, niech oglądamy królestwo Jego...

— Czy nie skruszeje ziemia, gdy zstąpi na nią z władzą?...

— Czy nie wyschną od blasku i żaru Jego morza?

— Nie spadnąż tutaj gwiazdy, by krasić Mu mieszkanie?

Jeden Lazarus nie odzywał się wcale. Srebrny świt począł wsączać się łagodniej niż kiedykolwiek; była cisza tak ukojona, iż zda się, zatrzymały się by najłżejsze drgnienia powietrzne, znieruchomiły w słodkiem skupieniu. Uczniowie z wyjątkiem Lazarausa leżeli twarzami na ziemi. Powstrzymywali bicie serc... Pod czaszką każdego od szumu w skroniach wirowały skry i kręgi płomieni... Oto maluczko już... Zaraz... Zaraz...

Zwolna wyrysował się nastrzępiony smukłą drzewiną brzeg Jordanu. Z za gór Moabskich wymykały się pierwsze, różane, strzeliste smugi zorzy... Było

¹⁾ Z widzenia Ezechjela.

²⁾ Tajemniczy rydwan — z widzeń Ezechjela.

już całkiem widno i niezmiernie pogodnie na wszystkim rozłoczonem obszarze pustyni...

Ptaszki w zaroślach dźwiękneły parę razy ci-chutko jeszcze, przesłodko, a nieśmiało...

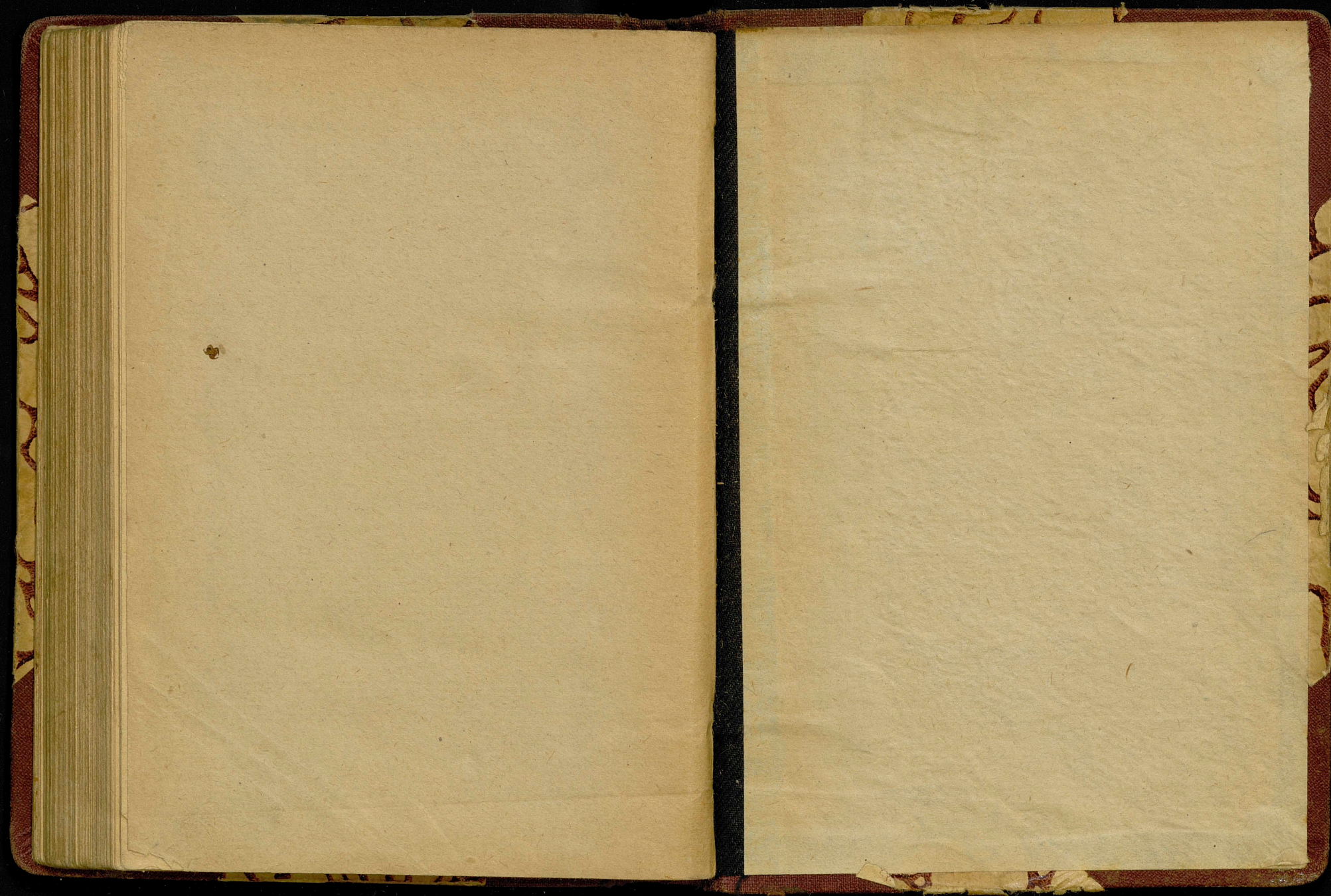
— Spójrzycie! — rzekł głos Chrzciciela.

Podnieśli głowy, niepewni czy nie oślepną wnet...

Z oddali szlakiem nabierającym jasności szedł ku nim ubogi i prosty Syn Człowieczy...

K O N I E C.





8404

